WYDANIE ZBIOROWE DZIEŁ
STANISŁAWA PRZYBYSZEWSKIEGO

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

MOCNY CZŁOWIEK

POWIEŚĆ

WYDAŁ ODDZIAŁ WARSZAWSKI
INSTYTUTU LITERACKIEGO „LEKTOR", SP. Z OGR. ODP.
WARSZAWA — LWÓW — POZNAŃ — KRAKÓW — LUBLIN
1923

Nie pożycza się do domu

BG

WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE
Copyright by „Lektor" nineteen hundred twenty three

Biblioteka Główna
Uniwersytetu Gdańskiego
1100510583

BIBLIOTEKA
WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
W GDAŃSKU
Nr. inw. 11116 4/1950
0374 P13093/1

SKŁADY GŁÓWNE:

WE LWOWIE:
„LEKTOR", MIKOŁAJA 23
(d. własny) Tel. 525

W WARSZAWIE:
„LEKTOR", SIENKIEWICZA 5
Tel. 253-99

W POZNANIU:
„LEKTOR", RATAJCZAKA 33
Tel. 39-23

W KRAKOWIE
„LEKTOR", RYNEK Gł. 22

W LUBLINIE:
„LEKTOR", SZOPENA 5

H. NEUMANA

IX 4 A/a

OKŁADKĘ RYSOWAŁ EDMUND JOHN W WARSZAWIE

d'Alcoforado: Listy miłosne.
Asnyk Adam: Panna Leokadja.
Barbey d'Aurevilly: Plemię djabła, ilustr. Ropsa.
„ Pieczątka z onyksu.
Bohowityn: Dzieje mężatek.
„ Kobieta z przeszłością.
Bukowski: O kobiecie i o miłości.
Ewers: Alraune.
„ Indje i ja.
„ Mamaloi.
„ Serca królów.
„ Wampir.
Farrère: Człowiek, który zabił.
„ Korsarz z Malo.
„ Ludzie cywilizacji.
„ Markiza Yorisaka.
„ Nasze sojuszniczki.
„ Ostatnia bogini.
„ Panieństwo panny Dax.
France: Bunt aniołów.
„ Czerwona lilja.
„ Historja komiczna.
„ Zbrodnia Sylwestra Bonnard.
Garricks: Kobieta, która zabiła.
Gella: Rozmowy o miłości.
Grabiński: Demon ruchu.
Kellerman: Ingeborga.
Louys: Kobieta i pajac.
Maran: Batuala. Powieść murzyńska. Lector-Romania.
A. Nowaczyński: Bajki o księżniczkach i karłach.
„ Facecje z Lodomerji.
Obrzud: Honor Karola Pęksy.
Orkan: Pomór.
Przybyszewski: De Profundis.
„ Krzyk.
„ Homo Sapiens.
Na rozstaju.
Po drodze.
W Malstromie.

Srokowski: Epigoni.
„ Hedone.
„ Kult ciała.
„ Ich tajemnica.
da Verona Gvido: Życie zaczyna się jutro.
Villers de L'isle Adam: Ewa przyszłości.
Willy: Małżeństwo Klaudyny.
Zapolska: A gdy w głąb duszy wnikniemy.
„ Antysemitnik.
„ Córka Tuśki (2 wyd.).
„ Fin-de-siekle'istka.
„ I tacy bywają.
„ Jak tęcza.
„ Janka.
„ Kaśka Karjatyda.
„ Kobieta bez skazy.
„ Krzyż Pański.
„ Małaszka.
„ Menażerja ludzka.
„ Modlitwa Pańska.
„ O czem się nie mówi.
„ O czem się nawet myśleć nie chce.
„ One
„ Pan policmajster Tagiejew.
„ Przedpiekle.
„ Rajski ptak.
„ Sezonowa miłość.
„ Śmierć Felicjana Dulskiego.
„ Szaleństwo.
„ Staśka.
„ Szmat życia.
„ Wodzirej.
„ We krwi.
„ Wieczory teatralne.
„ Wirujące myśli.
„ Zaszumi las (2 tomy),
„ Znak zapytania.
„ Z pamiętników młodej mężatki (2 wyd.).
Zbierzchowski: Djabelska przełęcz,

WYDANIE ZBIOROWE
DZIEŁ
STANISŁAWA PRZYBYSZEWSKIEGO

MOCNY CZŁOWIEK

DZIEŁA
STANISŁAWA PRZYBYSZEWSKIEGO
WYDANE PRZEZ INSTYTUT LITERACKI „LEKTOR"

DE PROFUNDIS
HOMO SAPIENS
I
NA ROZSTAJU
II
PO DRODZE
III
W MALSTROMIE
KRZYK
POWRÓT
MOCNY CZŁOWIEK
II
WYZWOLENIE
III
ŚWIĘTY GAJ
SYNOWIE ZIEMI
II
DZIEŃ SĄDU
III
ZMIERZCH
DZIECI SZATANA
SZOPEN A NARÓD

LUCYANOWI PACZUSKIEMU
i WILHELMOWI ZIELONCE

poświęca

Autor.

I

Cóż to mnie obchodzi, że to wszystko, co piszę, nad czem całe noce trawię, nic nie warte... Wiem aż nadto dobrze, że to wszystko wpół obłąkane majaczenie, że całej tej gmatwaniny niktby nie był w stanie zrozumieć.

Górski leżał rozciągnięty na łóżku i mówił cichym, sennym głosem.

Bielecki siedział oparty o stół i słuchał z natężeniem.

— Ja dla nikogo nie piszę — rozumiesz — ja piszę dla siebie samego. Piszę pamiętnik własnej duszy, pamięcią nie zdołałbym ogarnąć tego ogromu, co w sobie przeżywam, więc piszę... Zanim zdechnę, raz to sobie wszystko przeczytam, by choć odrobinę poznać mechanizm mej duszy, prawa, jakiemi się rządzi i którym ulega... Zresztą, głupstwo. Prędzejbym się w ziemię zagrzebał ze wsty-

du, zanimbym tak haniebnie moją duszę miał spaskudzić, i to, com napisał, publiczności na żer rzucił... Raz, raz jeden wydałem małą książczynę — wtedy się kochałem, rozumiesz — a kobiety, jak ci wiadomo, strasznie lecą na sławę; przez dwa miesiące nie wychodziłem potem na miasto, by nie ujrzeć mego nazwiska zhańbionego i sprostytuowanego za witryną okna księgarskiego.

Czy sobie nie zdajesz sprawy, jakie to ohydne, że dajesz każdemu prawo grzebania w twej duszy, że musisz pozwolić, by plugawili to, co ci jest najświętsze, a uwielbiali to, co na śmietnisko rzucasz?

Nie, nie!

Zerwał się nagle z łóżka i przysiadł.

— Sława! sława! — zaśmiał się ochryple i zakaszlał.

— Tylko dla jakiegoś próżnego bydlęcia może mieć to urok, że się za nim oglądają, że go sobie publicznie palcami pokazują, że panienki, gdy się taki pan przechadza, oczy błagalne w niego wlepiają, by raczył łaskawie na nie uwagę zwrócić — ach! jakie to marne i biedne — a taki pan, ha, ha! mamy tu takiego wielkiego poetę, przypatrz mu się tylko, jak on dumnie kroczy, jak roztargniony na

rogach ulic przystaje, bo właśnie przyszła na niego święta łaska tworzenia, jak się naokół kłania od niechcenia, tak racząco — małpa! nie wiem, która gorsza — on, czy publiczność.

Bielecki uśmiechnął się.

— Zapominasz, że literatura popłaca, że można z niej wyżyć, i to często bardzo dostatnio...

— To jeszcze większe świństwo. Prostytutce bierze się za złe, że ciało swoje sprzedaje, a taki literat duszę swą sprzedaje — co gorsze, he? Zresztą, brednie klepię...

Machnął ręką.

— Co mnie to zresztą obchodzi, co kto robi, lub nie. Ja jestem sam, własnemi prawami się rządzę, nikt mnie nie obchodzi — byłem sam, jestem sam i chcę sam pozostać.

— Jesteś chciwym lichwiarzem.

— Aha! aha! — Górski roześmiał się na cały głos — Bóg mnie obdarzył talentem, ja należę do społeczeństwa, więc muszę temu społeczeństwu coś dać... Co za bezdeń brednil! Przedewszystkiem nie należę do żadnego społeczeństwa, tylko do siebie samego — poza tem nikt mi nie dawał talentu, tylko moja własna dusza mocą swej siły przerwała zapory, jakie dla innych mózgów istnieją...

Nagle twarz mu się zmieniła, jakiś skryty przebiegły uśmiech przeleciał mu przez usta.

— Ty, zdaje mi się, chcesz mnie sondować? — zapytał podejrzliwie — wprowadzasz mnie na manowce zwierzeń, osobistych wynurzeń — a może cię jaki nakładca do mnie przysłał, a teraz posucha w literaturze, jałowizna straszna, a ja mam, mam poematy, poemaciki, historję duszy własnej i jeszcze jednej obcej. W teatrze nie mają co grać, a ja mam dramaciki — ciekawe dramaciki, jeden nawet bardzo a bardzo ciekawy. Bohaterem jest człowiek, którego ambicja pożera, chłonie go, na żużel spala — on chciałby być też wielkim człowiekiem, sławą, a tu ani w ząb. Nic stworzyć nie może — a pół życia oddałby za jedną chwilę, kiedy go przed rampę wywołają, gdy kawiarnia nagle umilknie, gdy on do niej wchodzi. Całe życie oddałby za ten dreszcz milutki, łechcący, gdy po całej sali przebiega szept: „To on — to on! nasz! nasz!“ Ha, ha, ha!

Zerwał się z łóżka, stanął nagle przed Bieleckim, zagibotał się na nogach.

— A co? znasz takiego pana?

Bielecki spojrzał na niego spokojnie i zimno.

— Temat może być bardzo ciekawy. Cóż dalej?

— A! a! co dalej? Nic dalej, gotów jesteś zdradzić moje kapitalne pomysły — a któryś z naszych wieszczów mi je skradnie i masz, djable, pociechę — „Sic vos non vobis" gotowe... a tego nie chcę...

Przeszedł się po pokoju parę razy zmęczonym, leniwym krokiem.

— Wy literaci — no tak! Ty właściwie do nich nie należysz, boś ty tylko dziennikarzem no, no — nie obruszaj się, świetnie się mścisz, bo masz ostre, cięte pióro, tak, tak, bystry jesteś i złośliwy. Pomyjki, które na nich wylewasz, cuchną, cuchną. Ale co ja to chciałem powiedzieć? Aha, prawda: więc ci literaci, ci wieszcze i te kagańce oświaty i jak się to tałałajstwo nazywa...

Przerwał nagle.

— Dajmy temu spokój — rzekł po długiej chwili — jestem zbyt zmęczony, żeby sobie głowę tem śmieciem zaprzątać.

Obszedł kilka razy pokój dookoła, a potem schwycił stołek i usiadł naprzeciw Bieleckiego i wlepił w niego gorączką trawione oczy.

Bielecki wytrzymał cały ten ogromny na-

pór duszy Górskiego, która w tej chwili w niesłychanym wysiłku zdawała się przedzierać przez oplot własnego ja i sięgać do dna duszy obcego człowieka.

Trwało to długą chwilę.

— Co chcesz powiedzieć? — wycedził wreszcie Bielecki.

Ale tamten jakby nie słyszał, tylko jeszcze uporczywiej wpatrywał się w twarz Bieleckiego.

Bieleckiego opanowywał zwolna lęk przed temi oczyma, które przedzierały się przez najgęstsze zasłony najskrytszych jego tajemnic, przed temi obłąkańczo jasnowidzącemi oczyma.

— Cóż się tak we mnie wpatrujesz?

Górski jakby ocknął się z głębokiego snu.

— Nic, nic — zaśmiał się cicho — tak tylko... tak sobie, nie wiem, czemu miałem chwilę, kiedy mi się zdawało, że jestem w stanie człowieka przeniknąć... bo, bo ja tak dawno z tobą przestaję, jedyny jesteś, którego do mieszkania mego wpuszczam, wszystkie moje majaczenia przy tobie wyplatam, a właściwie cię nie znam...

Wstał, zapalił papierosa, przeszedł się kilka razy po pokoju i znowu przystanął.

— No, nie bądź tak zachmurzony. Ja wiem, a raczej pragnę wiedzieć, żeś ty jest

moim przyjacielem. Czujesz się urażonym, żem nieufnie na ciebie spojrzał, hi, hi... bracie drogi, poza siebie nie wyleziesz — ja cię znam takim, jakim cię w moim mózgu widzę—a jakiś ty poza mną? Nie rozumiesz, że jestem tego trochę ciekawy?

— Oczywiście.

— Czasami zdaje mi się, że cię znam, że się już dobrałem do rdzenia. Wiesz, ja już niezadługo rozpocznę wędrówkę przez jelita robaków, chciałbym więc jeszcze przed końcem porozwiązywać rozmaite zagadki.

Wstał i poklepał Bieleckiego po ramieniu.

— Aleś ty mi przestał być zagadką.

— Chwała Bogu.

Górski szyderczo się uśmiechnął.

— Jesteś bardzo inteligentny, masz cięte, ostre pióro i styl doskonały, to, że tworzyć nie możesz, to głupstwo—są inni, którzy tworzą, a pisać nie umieją, to znowu inna rzecz... więc słuchaj — tu leżą całe stosy papierów — patrz, patrz — całe góry papierów się tam piętrzą, bogactwo całe — kopalnia — hi, hi! — braciszku, a co? To nawet bez testamentu możnaby zabrać, uporządkować, rozlewność uplastycznić, spopularyzować zawiłości, ciemność i laurowość uprzystępnić, a co? a co?

— Jesteś chory, kochany Jerzy, i bredzisz. To wszystko razem funta kłaków nie warte.

— Nie warte, mówisz? Wierzę ci, wierzę, boś ty wielki krytyk i znawca, nieskończenie ci jestem wdzięczny, żeś tak dzień po dniu zabijał wiarę we mnie, żeś moje myśli ze szczytów ściągał w błoto, żeś tak systematycznie i z tak doskonałym rezultatem ośmieszał to, co było dla mnie najszczytniejszem, żeś osłabiał i niweczył każde naprężenie mej twórczej woli, żeś łotrowsko i zbrodniczo podcinał rusztowanie, którem stawiał dla budowy mej duszy, aż się zwaliło i ja sam runąłem, pogrzebany gruzem...

Górski umilkł, twarz jego spopielała, na usta wybiegła piana wściekłości.

Bielecki patrzył na niego z lodowatym spokojem.

— To wszystko ja miałem zrobić? Taką mi ogromną siłę przypisujesz, że ja, biedny robak, złośliwy czerw zaledwie, mógłbym stoczyć dąb — olbrzyma, jakim ty jesteś? Chyba żartujesz?

Górski opanował się nagle i cicho się uśmiechnął.

— Jesteś gładki jak wąż, i takim cię lubię. Nawet twą grubą, niewybredną i wcale

niewyszukaną ironję lubię... Bardzo nawet lubię. I wybacz mi — całkiem a całkiem się na tobie pomyliłem. Mnie się zdawało w przystępie takiej prostej, chorej megalomanji, że to wszystko, com przez tyle nocy nasmarował, mogłoby się komuś na coś zdać — naprzykład tobie — pogardzam tem, szkoda... a może i nie, tyś mądry, ty o całe niebo wyżej ode mnie stoisz, chociaż nie tworzysz i tworzyć nie możesz. Ciekaw jestem, jakbyś w jakiejś powieści opisał stół albo krzesło, rozumiesz taki stół, na którym przed chwilą ktoś bezsenną noc przepędził, ot np. taki Mickiewicz, który na nim pisał swoje improwizacje, albo takie krzesło, na którem siedział mężczyzna, a potem na niem usiadła dziewczynka, która tego pana kochała i uczuła się zapłodnioną... Barbey d'Aurevilly piękną rzecz o tem napisał... Wcale się śmiać nie powinieneś, to są rzeczy twórcze — tegobyś zrobić nie umiał.

— Radzę ci, byś się do łóżka położył, boś chory i majaczysz.

— A tak, tak, rzeczywiście masz słuszność, tyś dobry i kochany, jedyny mój przyjaciel... Nie chcesz wierzyć? Zapytaj się stróżki, czy ktokolwiek, prócz ciebie, przestąpił od dwu

lat próg mego pokoju, idź, zapytaj się... I gdybyś ty wiedział, jak ja ci jestem wdzięczny za to, że tak nade mną czuwasz — och! jak ty czuwasz...

Górski położył się na łóżku; zaległo długie milczenie — nagle zerwał się.

— Poco i naco ty tak nade mną czuwasz? Rozumiem, że nad chorym, a bardzo bogatym wujaszkiem ubodzy krewni na palcach chodzą i z zapartym oddechem śledzą na jego twarzy najmniejszą zmianę na gorsze — oczywiście na gorsze.,. i głęboko współczuję z czułym małżonkiem, który niecierpliwie na zegar patrzy, kiedy jego ukochana, na rękach noszona małżonka na wieki oczy zamknie... Lekarz powiedział, że za godzinę się wszystko skończy, a tu już trzy minęły i ani rusz. Co za twarde życie, psiakrew! Ale ty, ty, taki bezinteresowny, taki pokorny i ubożuchny w duchu — ty, który nawet moją puścizną, tu wszędzie naokół rozsianą, pogardzasz,.. Ha! ha! teraz już się nie uśmiechasz, teraz udajesz, że nic nie słyszysz z tego, co mówię — nie warto zresztą, nie warto — to wszystko chore brednie...

— Może cię męczę? — przemówił po chwili Górski z jakąś pokorną tkliwością.

— Bynajmniej, miałem dosyć czasu przyzwyczaić się do twego niepoczytalnego gadania.

— Niepoczytalne gadanie?

— No, oczywiście... Nie pierwszy raz to słyszę i nie pierwszy ty, który na tę manję chorujesz. Znałem raz malarza, który mnie z swej pracowni wyrzucił, bo mu się zdawało, że ja chcę podchwycić tajemnicę jego sposobu malowania, a ja przecież malarzem nie jestem...

— Ciekawe, ciekawe... i wyrzucił cię?

— Ordynarniej, niż ty nawet.

— To bardzo ciekawe... Pewnie jako malarz nic nie był wart?

— Zaledwie był dyletantem...

— No widzisz, to tak jak ja — całkiem jak ja... Grafomanem jestem, na szczęście takim bez wszelkiej ambicji, bez pragnień zostania drukowanym — zerwał się nagle, przymrużył oczy i szepnął złośliwie:

— A mimo wszystko robię cię jedynym moim spadkobiercą, te wszystkie papiery możesz sprzedać na funty, a może coś będziesz mógł zużyć, w każdym razie... Ha, ha, nie zauważyłem, że masz nowy garnitur na sobie i śnieżno białą bieliznę, tylko ci jeszcze mo-

nokla brak, a będziesz wyglądał jak najsilniejsza podpora naszej literatury.

Bielecki wstał.

— Słuchaj Górski — gdybym nie był tak do ciebie przywiązany, jak jestem, dawnobym już stąd wyszedł. Twoje papiery djablo mało mnie obchodzą. W tym całym chaosie sam genjusz nie mógłby się połapać. Żadnych ambicji pisarskich nie mam, nie chcę być ani jednym z „naszych", ani jednym z „wielkich". Jeżeli, jak powiadasz, zabijałem w tobie wiarę w twój talent, to czyniłem to, by cię bronić przed śmiesznością, a teraz daj mi spokój, rozumiesz?

Górski patrzył nań chwilę. Cały wydawał się niezmiernie zadziwiony.

— Ale czemuż ty się srożysz, jedyny mój dobroczyńco? Ty nie wiesz sam, ile ja ci zawdzięczam, nie rozumiesz, jak ci jestem zobowiązany, żeś mnie bronił przed śmiesznością. Był czas, kiedym się rzeczywiście chciał ośmieszać, a tyś nie dopuścił do tego... Ty jesteś silny, mocny, masz władzę i mir: jak ty komuś drogę groźbą ośmieszenia się zagrodzisz, to jakby warjatowi przed nosem niebosiężny mur wystawić, by na ulicę nie wyleciał...

Górski nagle opadł i ziewał.

— Słuchaj, o czem innem pogadamy. Wymłóciliśmy głupie plewy, wróćmy do rzeczy realnych. Przyrzekłeś mi się o strychninę wystarać, zrozumiałeś głęboko, że niema sensu pozwolić płucom najniepotrzebniej w świecie gnić aż do skutku.

Bielecki spojrzał na niego zimno i bystro.

— Strychninę mam zawsze przy sobie na wszelki wypadek, ale poco i naco tobie strychnina?

Górski siadł na łóżku i patrzył na niego rozwartemi, gorączkowemi oczyma.

— Masz strychninę, masz?

— Mam!

— Daj mi!

— Poco? Wy, suchotnicy, czepiacie się życia, jakbyście je nadewszystko kochali.

Górski jakby nie słyszał, co Bielecki mówi.

— Daj mi, błagam cię, daj mi odrobinę.

Bielecki zamyślił się.

— Dlaczegobym ci nie miał dać? Chociażby dla twego uspokojenia, dla zadowolenia twej ambicji, że w każdej chwili możesz być panem swego życia i śmierci. To też pewnego rodzaju satysfakcja.

Wyjął epruwetkę z kieszeni, napełnioną

popielatym proszkiem, z drugiej kieszonki od kamizelki wydobył próżną epruwetkę, przesypał z jednej do drugiej trochę proszku, zakorkował i podał Górskiemu.

— To starczy, by pół miasta wytruć.

Górski nie posiadał się z radości,

— Dobrodzieju mój, jedyny dobroczyńco, jak ci dziękować?!

— Nie błaznuj.

— Nie, nie, nie błaznuję, jestem ci wdzięczny, ponad wszelką miarę wdzięczny. Patrz na moją chusteczkę — krew, krew bez końca... Tobie się zdaje, że w ten marny, ohydny sposób chce mi się umierać...

— A więc możesz teraz umrzeć z pięknym gestem, teraz w każdej chwili możesz swem życiem rozporządzać. Pomyśl tylko, co to za wspaniała rzecz móc sobie powiedzieć: teraz ja jestem panem nad sobą, a nie niewolnikiem jakiegoś głupiego choróbska.

— Och, jak pięknie, jak przedziwnie to powiedziałeś...

Górski zdawał się to mówić w jakiejś nieziemskiej ekstazie.

— Czem ja ci się odwdzięczę? Dobroczyńco mój, czem? Wszystkie papiery ci pozostawię, całą tę górę papierów...

— Spal je, do jasnego pioruna, zanim zdechniesz, nie kompromituj się po śmierci.

Górski wyłupił z komicznym grymasem oczy na Bieleckiego.

— Spalić, bój się Boga, ale tam są skarby. To ci się może przydać, tyś bystry i inteligentny, tyś poprostu genjalny z twoim olbrzymim krytycyzmem, twoją jasnością...

— Spal, powiadam ci raz jeszcze!

Górski zerwał się z łóżka, stanął na środku pokoju.

— Co za kapitalna myśl! Sam nawet nie przeczuwasz, jak wspaniały pomysł mi nasunąłeś... Poco ja mam to sam spalić? Spal ty mnie razem z tem wszystkiem... Co tak na mnie dziwnie patrzysz? Myślisz, żem zwarjował? — niech Bóg broni... Widzisz, ja zawsze coś wielkiego, coś niezwykłego w tobie upatrywałem — teraz możesz istotnie dokonać czegoś, coby ci poczesne miejsce między ludźmi wielkich, rzeczywiście wielkich czynów zapewnić mogło...

Podszedł ku niemu i mówił z cichym chichotem.

— Domek, w którym mieszkam, znajduje się w podwórzu — prawda? — Na dole stajnia i szopa siana, a nad nią pięterko, które ja

zamieszkuję — prawda? No, no — nie przerywaj mi, dopóki mnie nie wysłuchasz, bo mam rzeczywiście wspaniały pomysł — a ty, ty jeden mógłbyś go wykonać... Aha! na strychu tuż nade mną beczki smarowidła do wozów, dziegieć prawdopodobnie i tym podobne łatwo zapalne rzeczy... Nie bądź tak niecierpliwy, poczekaj chwilę, zauważyłeś chyba, że schody do mego mieszkania odgrodzone są od szopy ścianą z sosnowych desek... a w tych deskach są sęki — okrąglutkie sęki — podczas upałów wyciekała z nich żywica — trzeba tylko gwoździem podważyć, i bez trudu możesz taki sęk lub sęczek wybić... I słuchaj, mój dobroczyńco — jedyny mój przyjacielu — na cóż mi strychnina? — tysiąckroć razy wspanialszy gest, gdy mnie razem z temi śmieciami spalisz...

Siadł na krawędzi stołu, przegiął się ku Bieleckiemu i mówił z natarczywem podnieceniem:

— Rozumiesz? — wyjmiesz sęk — całuteńka szopa sianem napełniona — siano suchuteńkie — wyjmiesz zapałkę, woskową oczywiście, by przypadkowo nie zgasła — możesz użyć gałganka przepojonego spirytusem, włożysz przez dziurkę, zapalisz — i w jednym

momencie cała ta rudera stanie w płomieniach... A co? co? Żadnego ratunku — najmniejszego — nawet nikt nie zdąży pomyśleć, by ratować, zanim straż pożarna nadjedzie, już po wszystkiem.

Ach, jaka głupia twoja strychnina, a jak iście wspaniały pogrzeb mógłbyś mi wraz z mojem śmieciem, którem tak pogardzasz, wyprawić. Romantyczną śmiesznostką spalenie przez Byrona trupa Shelleya! Ale ty, ty, demonizmem i zbrodniczością wszystkich ludzi przewyższający, mógłbyś mnie żywcem spalić. Aha, uśmiecha ci się ta myśl? nie? nie?

Bielecki się uśmiechnął, ale tylko usta jego wykrzywił grymas, w oczach przyczaiło się wytężone rozważanie.

— Istotnie, pomysł, godzien twej twórczej fantazji, ale coby mnie z tego przyszło? Nie zdążyłbym przez ulicę przejść...

— Mylisz się — przerwał namiętnie Górski — gospodarza, który naprzeciw w tej kamienicy mieszka, niema przeważnie w domu, lokatorzy na pierwszem i drugiem piętrze, to robotnicy, którzy się kładą z kurami spać, a stajenny, który śpi przy koniach, obok tej szopy z sianem, przeważnie siedzi w knajpie do późna w noc; zanimby ogień spostrze-

BIBLIOTEKA

żono, ty możesz już być na drugim końcu miasta...

Bielecki wstał zwolna.

— Dosyć tych bredni, mój kochany Jerzy, teraz muszę iść...

Górski zagrodził mu drogę.

— Dlaczego mnie chcesz opuszczać?... ale masz słuszność. Mogłeś się na mnie obrazić... Och, jaki ja roztargniony i niepoczytalny! Jak ja mogłem ci radzić, byś razem ze mną i moje papiery popalił! Więc słuchaj, weź to wszystko sobie, albo ja ci prześlę przez posłańca, no a potem dopiero...

Bielecki cały sponsowiał. Stanął groźnie naprzeciw Górskiego, dyszał z wściekłości:

— Gdyby nie wzgląd na to, że jesteś chory, tobym się teraz inaczej z tobą rozprawił!

Górski wybuchnął teraz niepowstrzymanym złym śmiechem, zakrztusił się nim i zakaszlał ciężko, potoczył się i nagle wyprężył się groźny i straszny.

— Precz, nędzny komedjancie! Precz!

Bielecki zatrząsł się i zbladł.

Górski ochłonął.

— A, a... przestraszyłem cię. Wybacz... Tak, to wszystko były głupie pomysły, obłą-

kane podrygi chorego mózgu... Nie, nie! nie lękaj się, staw się, staw się jutro rano, tak! rychłym rankiem, a to wszystko, rozumiesz?— syczał tajemniczym szeptem — to wszystko będzie twoje, twoje... Będziesz niezadługo sławnym, bardzo sławnym człowiekiem. Ja cię tak nienawidzę, że chcę cię sławnym zrobić. A teraz precz, nieczysty człecze, precz!

Wyciągnął groźnie rękę w stronę ku drzwiom.

Bielecki się odwrócił i bez słowa wyszedł z pokoju.

II

Stanął przed jakąś tajemną bramą, którą kazano mu otworzyć, by mógł się wreszcie tam dostać, dokąd go jego tęsknota gnała.

Ale brama była zawarta, gdzieś w mroczny cień nieba sięgać się zdawała.

Szukał klamki, ale jej nie było. Widział tylko cieniuteńką szparkę między dwoma ogromnemi skrzydłami, a przez nią przesunięty olbrzymi rygiel, który bramę od wnętrza zamykał.

Stał i nie wiedzał, co począć, ale myśl, że będzie musiał wracać z powrotem tam, skąd przyszedł: w krainę bolesnych snów, rozpacznych tęsknot, rozszalałych szamotań i krwawych zmagań się z czemś, czego nie znał, a co kipiącym warem w jego żyłach się gotowało, głowę jego strasznym bólem ocier-

niało, tak go przeraziła, że przywarł do bramy i już od niej nie odstąpić postanowił.

Niczem Chrystusowa droga na Golgotę, niczem wieczność niewypowiedzianych męczarni drogi skazańca, wobec tej, którą on przebył, a teraz miałby się wracać?!

— Otwórz się, otwórz! — błagał rozpaczliwie — niech się za mną na wieki zawrą twoje skrzydła, niech raz na zawsze zamknie się księga mego żywota, niech piorun świadomości na twoim progu mnie spopieli, pokaż mi twoje tajemnice na jeden błysk, chociażby już na zawsze miał zgasić światło mych oczu...

Nie wiedział, jak długo tak błagał, modlił się i zaklinał, ale snać pokora, z jaką się kajał, niebiosa przebiła, żar jego błagań i ślubów skruszył nieugięte Moce: zaskrzypiały zardzewiałe wrzeciądze, ciężkie żelazne skrzydła się rozwarły.

Przed sobą ujrzał ogromną równinę, która gubiła się w nieskończonej dali w czarnych cieniach nocy, a cała jakby była wysypana popiołem, pokryta czarnym żużlem: popiołem pokuty hardych i grzesznych dusz ludzkich, żużlem wygasłych pragnień, daremnych wysiłków, rozpacznych borykań się z nieznanemi mocami.

Wzdłuż długiego kanału, którego woda lśniła martwym, kosztownym połyskiem, jakby zastygła, starannie oszlifowana i opolerowana ciecz stopionego kruszcu, stały po obu stronach rzędy czarnych cyprysów gdyby olbrzymie magiczne świece, a na ich wierzchołkach paliły się błędne światełka ogniem, który nie grzał, ani też świecić się nie zdawał — wyglądały one na czarnem niebie jak złote ćwieki weń powbijane.

Z brzegów kanału, tuż nad wodą, zwieszały się w dół ogromne grona z bezlistnych prętów krzewów Asphodelusa, a w dali ciemna pineta z odwiecznemi piniami, których olbrzymie korony, rozpostarte w kształt czarnych, krągłych baldachimów nad zmurszałemi pniami, rysowały sie na niebie gdyby jakiś olbrzymi archipelag niezliczonych czarnych wysepek.

I w tej ciężkiej, martwej ciszy ozwały się głosy, których wśród jarmarcznego rozgwaru, kramarskiego rozgiełku życia nigdy nie przeczuwał. Milczenie wokół niego stało się głośnem, ale nie słyszał ni głosu, ni dźwięku; próżnia poza nim i przed nim jęła się wypełniać nieprzeliczoną mocą dziwnych, rozumem nie objętych kształtów, ale spostrzegł się, że nie widzi ich nigdzie wokół, tylko w sobie,

a im więcej wytężał się, by zrozumieć, co jest w nim, a co poza nim, tem więcej zlewały się z sobą granice zjawy i rzeczywistości, zewnątrz i wewnątrz tworzyło jedną nieprzerwalną ciągłość, przeszłość i przyszłość stopiły się w jednym kotłującym się wirze: tem, co jego „teraz" stanowiło.

Przeraził się, gdy milczenie coraz głośniej przemawiać, próżnia coraz gęściej zaludniać się jęła, a miljard wieków w jednej chwili stężał; kamieniał z przestrachu, gdy przez wrota jego duszy olbrzymią falą cały świat zjawy się przewalił i w nim się rozlał oceanem nigdy nie widzianych kształtów, nie słyszanych nigdzie dźwięków, rozpalił się odgłosem przeżyć, których nigdy nie przeżywał, i takich, które w miljard lat odległej przyszłości, gdyby słupy graniczne sterczały, a które on już teraz w błyskawicznym pędzie mijał.

Czas z wszystkiemi nawrotami, powrotami, z tysiącznogłową hydrą przeszłości i wszystkie wieki oplatającym ogonem przyszłości, stopił się w nim w jedno, całe dno duszy rozświecające oko, w którem ujrzał rozwiązane tajnie przyszłych czasów i wszelkie losy tych, które dopiero nadejść mają.

I nagle ogarnęło go uczucie niesłychanego

triumfu. Z duszy rwały się płomienne krzyki uniesienia, ognisty wicher radosnego szału porwał go i kręcił wokół, by ujrzał, jak wszystko dokoła niego szalało w tych samych płomieniach wyzwolenia. Gdyby olbrzymie pochodnie zapłonęły odwieczne pinie po niebie, rozżagwiły się żużle na bezkresnej równinie, rozpalił się popiół i wyrzucał z pod siebie snopy iskier, roztopiła się na nowo zastygła ciecz kruszcowa kanału i przelewała się przez brzegi kipiącym warem — milczenie wokół rozszalało się bluzgającemi, ogniem niebo rozrywającemi krzykami, i wśród tej szalejącej burzy ognia wyciągnął w błędnem upojeniu radości swe ramiona, bo wreszcie zrozumiał, że umarł.

Umarł! umarł!

Szerzej, szerzej jeszcze rozwarł ramiona, bo zapragnął niemi ogarnąć cały ocean swych widzeń — rósł, potężniał w nieskończoność, bo Boga dosięgał, z oczu jego, wytężonych w swoją, wszechbyt i wszechboskość ogarniającą wizję, biły pioruny, gdyby lepka ciecz ognia, głową sięgał ponad obłoki, a pod stopami cała ziemia gdyby kruchy, chwiejący się podnóżek, a w rękach trzymał tablice praw, przed któremi jedno i drugie i trzecie morze zajękło,

a ziemia w posadach swych się trzęsła jakby nią konwulsje szarpały.

Chwilę jeszcze, a Bogiem się stanie przez śmierć — przez śmierć zapanuje Bogiem nad życiem całem, nowego Szatana zapłodni w sobie przez śmierć, na nowe tory rzuci gwiazdy, by się wzajem porozbijały, w pył skruszy tę marną ziemię, słońce zagasi — by mocą swoją nowy, doskonały twór i nowe, doskonalsze światy do życia wskrzesić.

A wszystko to się stanie przez śmierć.

Długi, ciężki kaszel rozbudził Górskiego, ale już go nie męczył, dusza jego cała jeszcze była spowita płomienną wizją śmierci, cała jeszcze upojona boskim triumfem panowania nad życiem, jakie tylko śmierć daje.

Pasek krwi ściekał mu z kącików ust. Odruchem otarł usta, spojrzał bezwiednie na chusteczkę i uśmiechnął się.

— Jakie to życie głupie! — pomyślał — takiem błazeństwem jak chorobą chce człowieka odstraszyć od tak świętej, rozkosznej, moc i panowanie dającej śmierci!

— Ha, ha, ha!... *Tod, wo ist dein Stachel?* — różą mistyczną jesteś, arką przymierza pomiędzy Bogiem we mnie a Bogiem poza mną. Lękał się mnie i opętał mnie kajdanami życia,

a ja je teraz rozerwę i przekroczę próg, poza który mnie wygnał, i, potężniejszy od niego, z tronu go zwalę, by doskonalszy twór i doskonalsze światy do życia powołać.

Dźwignął się nagle z łóżka, uczuł świadomość nieznanych, nigdy nie przeczuwanych sił w sobie, stanął wyprężony na środku pokoju i obejrzał się dokoła.

Oczy jego padły na biurko i na stosy papierów.

Uśmiechnął się z pogardą.

O, głupie, błazeńskie życie! — tem więc musiał je sobie wypełniać — on, w którego mocy leżało, by za chwilę stać się Bogiem; obracał w ciemnym lochu żarna, na dnie galery dzień i noc wiosłami pracował, smagany żelaznym prętem, biczowany bezustannie kańczugiem, pod stromą górę toczył ciężki kamień, który wciąż na nowo na niego się zwalał... O, nie! nie!

Całego wypełniło jakieś wielkie, majestatyczne postanowienie, a poprzez czarne odmęty jego myśli przebłyskiwał wielki triumf śmierci.

Chwilami opadał, a wtedy majaczył mu się Bielecki.

Zachichotało coś w nim — Bielecki czy-

ha już dawno na jego smierć — Bielecki zbierze plon jego zasiewów... A gdyby zboże na pniu spalić? gdyby tu wszystko zaorać, zniszczyć — pusty ugór pozostawić?

Zląkł się nagle. Wyraźnie czuł, że ktoś zdziera z niego płaszcz jego królewskiego majestatu, że ktoś wytrąca mu z rąk berło panowania nad życiem i śmiercią, i znowu się wzmógł.

Podszedł do biurka, ułożył papiery, zeszyty, notatniki, wyciągnął kartę białego papieru i szerokim gestem możnowładcy napisał:

„Plewy mego mózgu przeznaczam dla Henryka Bieleckiego.

Niechaj ziarna, które w nich znajdzie, nie udławią go.

Jerzy Górski"

Kartkę przypiął szpilką do teki, w której manuskrypty uporządkował, i odetchnął swobodnie.

— Teraz już się ze wszystkiem załatwiłem — pomyślał — teraz już tylko pozostaje, by się godnie i iście po królewsku wybrać w tę niedaleką podróż.

Umył się, przybrał odświętnie, wyciągnął z szafki fiolę ze strychniną, popatrzył na nią

miłośnie, zawinął starannie w papier, z szufladki od biurka wyjął pieniądze, przeliczył je i schował do kieszeni; raz po raz drażniła go ta myśl, że nie ma dokładnej świadomości jawy: wszystko, co robił, wydawało mu się, jakby sennem majaczeniem.

Ktoś pukał do drzwi.

Miał wrażenie, że już dawno to pukanie słyszał, ale teraz dopiero sobie uświadomił, że istotnie ktoś pukał.

— A! Imć pan Bielecki! Witam, witam — ściskał z wylaną serdecznością ręce Bieleckiego — istotnie niezwykły zaszczyt, ale na razie przyjąć nie mogę. Niezmiernie mi przykro, żem taki zawód ci zrobił, ale jeszcze nie zdążyłem wyjechać — jutro, jutro rano, około 6-ej będziesz pan mógł wejść bez pukania, drzwi będą na oścież otwarte — cały ten pokój będzie do rozporządzenia pańskiego — cały — caluteńki wraz z dobytkiem, który w nim zastaniesz. A teraz, wybaczy pan, ale muszę pozostać sam... Jakto, jakto? Pan nie zaciera rąk z radości — twarz pana nie oblała się szkarłatem szczęścia? Nie pada mi pan do nóg, że sny najgorętsze się ziściły? Ale właściwie pocóż? Nie mam prawa wymagać od

niego wdzięczności—pozostawiam tylko plewy, plewy — zatrzasnął drzwi i zamknął na klucz.

Słyszał teraz dokładnie, jak Bielecki schodził na dół po schodach, i oprzytomniał.

Stał się zimny, nieugięty; to, co wpół we śnie, wpół na jawie postanowił, teraz się stało jasnem, świadomem postanowieniem, pełnem jakiegoś spokojnego wyczekiwania.

Pojął wreszcie i zrozumiał, czem jest śmierć — korzył się w duchu przed tym początkiem istotnego życia i uczuł głęboką pogardę przed tem błazeńskiem, idjotycznem, obłąkanem preludjum, jakiem było to życie, które przeżył. Wydało mu się sennym majakiem, błąkaniem się bezcelowem po tysiącznych ścieżkach w kółko, wciąż w kółko — złośliwy i pełen humoru szatan wodzi człeka po wertepach, moczarach, kałużach i umyślnie myli trop jedynej, prostej drogi do życia w mocy, sile i boskości przez śmierć...

Tak — tak — tak!

Już nie rozumował — był pełen takiej ogromnej wiary, że nic już tego postanowienia zachwiać nie mogło.

Tego tylko pojąć nie mógł, że tak długo pozwolił się przez takiego głupiego, prostacze-

go djabełka za nos wodzić, na ślepo mu ulegać, dać się po podeszwach łechtać.

Zdjął go wstręt i obrzydzenie.

Uczuł nagle potrzebę ruchu.

W pokoju szarzało.

Wziął kapelusz, zwrócił się ku drzwiom i nagle przystanął.

— Czyżby nie lepiej odrazu? — pomyślał — pocóż się jeszcze męczyć?

Ale chęć, by się przejść, przemogła jego rozważania, mimo tego nie ruszał się z miejsca.

Więc na co jeszcze czekał? Z trudem zbierał myśli, ale ustawicznie mu się rozsypywały, tańczyły jak iskierki parnego słońca na rozbujałej fali jeziora, a w jedno pasmo zlać się nie chciały.

Zdawało mu się, że słyszy odgłos jakiejś muzyki — oderwane, piskliwe dźwięki — jakieś błyskawiczne pasaże — szybkie jak poświst wichru kadencje ognistą rakietą strzelające w górę gamy chromatyczne w wyjących oktawach, a to wszystko na tle jednego, olbrzymiego tonu, który wył, pienił się, cichł, gasł, by znowu w zmożonej potędze cały przestwór wypełniać.

Rozumiał tę muzykę, rozumiał, że ten je-

den ton wszystkie inne zagłuszać musiał, i był szczęśliwy mocą tej zasadniczej dominanty.

Posłyszał głos śmierci i uśmiechnął się.

— Wołasz mnie, wołasz — musisz jeszcze trochę poczekać. Kocham cię, tęsknię bezbrzeżnie za tobą, gorąco pragnę twe wrota przekroczyć, ale panować nad sobą nawet tobie nie pozwolę.

Musisz zaczekać, aż sam do ciebie przyjść zechcę — ja sam — poczekaj, aż cię zawołam: poznałem twoje tajemnice i teraz ja jestem panem, panem nad życia ohydą i pięknością twoją... A teraz się przejdę, jeszcze mam parę godzin czasu...

Wziął kapelusz, laskę, zapalił papierosa i wyszedł.

Na schodach zrobiło mu się słabo i nogi zaczęły drżeć i, gdyby się szybko nie był schwycił poręczy, byłby runął w dół.

Zaklął wściekły i zawstydził się. Nad życiem i śmiercią chce panować, a nędzny cherlak nóg swoich opanować nie może — a wstyd! a hańba!

W głowie czuł ogień, jakąś ognistą mgławicę. — Teraz się gwiazdy rodzić poczną — pomyślał — w ustach jakiś słodkawy smak —

a! to krew — odkaszlnął, wypluł skrzep krwi i teraz już raźnie szedł na dół.

Dawno już nie był na ulicy.

W pierwszej chwili pociemniało mu w oczach. Ludzie sunęli jak cienie bezwymiarowe, czarne nietoperze przelatywały bezgłośnie tuż obok niego — ehe! to welocypedy — czarne, chyże chmurki toczyły się zwolna po bruku — to pewno dorożki — a całe powietrze wyło, huczało, dudniało — tak! jak najwyraźniej powietrze samo czyniło ten nieznośny łoskot, gwar, huk i szum — bo przecież te cienie, te nietoperze i te chmurki całkiem bezgłośnie fruwały naokoło niego.

Wlepił oczy w cały szereg białych, świetlanych globów, co wyciągniętym rzędem wisiały w tem nieznośnie rozbrykanem powietrzu. Zastanawiał się, jakim cudem te białe księżyce, a tyle ich było, mogły tak swobodnie wisieć w przestworzu, i nagle drgnął, oprzytomniał.

— Toć to lampy elektryczne — pomyślał uradowany. Już, już widocznie chciała go gorączka opanować, ale on, pan życia i śmierci, nie pozwoli, by cośkolwiek miało mieć władzę nad nim. A będzie czuwał, wszystkiemi siłami czuwał, by jasności jego mózgu nic

nie mąciło, by majaku rzeczywistości nie opanował majak gorączki. Wprawdzie to na jedno wyjdzie, bo to majak i tamto również, ale tamten majak stały, więc wygodniej go kontrolować.

I uczuł teraz taką moc, że zdawało mu się, iż, gdyby zechciał, mógłby zapanować nad obiegiem krwi — i istotnie panował, bo serce, które przed chwilą swoim naporem o mało co żył mu nie porozrywało, teraz biło spokojnie i leniwie — teraz mógłby nawet, gdyby zechciał, wolą swoją wpłynąć na wymianę materji, mógłby ją przyśpieszyć, albo też całkiem zatrzymać tak, że możnaby go żywcem pogrzebać, a onby po paru miesiącach z grobu powstał.

To poczucie siły radowało go niezmiernie, bo czuł, że dojrzał do śmierci.

On jeden!

Bo nawet Chrystus krwią się pocił i błagał swego Ojca, by ten kielich od niego odwrócił, a na krzyżu jęczał, czemu go opuścił... A cóż dopiero to dwunożne, niechlujne robactwo, które wokół pełzało, roiło się i jego spokój zakłócało!

Dojrzeć do śmierci! Ile mocy na to potrzeba, by te straszne kajdany życia, któremi człowieka Bóg czy też Szatan spętał, rozerwać

i życie kopnąć jak coś nieczystego, niechlujnego, co duszę plugawi...

Poprzez ciżbę ludzi, tłoczącą się na chodnikach i ulicach, kroczył dumnym, królewskim krokiem, wyniosłym swoim majestatem sterczał nad nią, jak wysmukły chajer nad gęstwiną zagajnika; nadpływająca i odpływająca fala tej czerni ludzkiej zdawała się przed nim rozstępować, a on szedł i szedł w natchnionem poczuciu swej mocy.

Tylko to nieznośne światło go raziło i ten piekielny rozgwar mącił mu myśli, a przytem miał to przykre wrażenie, że ktoś za nim idzie.

— Oczywiście — pomyślał — nie ktoś, ale setki, tysiące ludzi...

Skręcił w boczną ulicę, zawrócił potem w jakiś ciemny prawie zaułek, ale bezustannie słyszał czyjeś kroki poza sobą.

Irytowało go to, ale nie przyszło mu na myśl, by się odwrócić i zobaczyć, kto za nim idzie.

Zdjął go tylko niewymowny lęk, że to ktoś, ktoby go mógł zatrzymać.

I w tej samej chwili zawstydził się, że mógł nawet taką myśl dopuścić, by jeszcze, jeszcze ktoś mógł drogę zastąpić i zatrzymać go; przystanął, odwrócił się i czekał.

Ten ktoś przystanął, a raczej oparł się o ścianę kamienicy.

Górski podszedł bliżej i stanął oko w oko z jakąś kobietą, która wlepiła w niego szeroko rozwarte, błyszczące oczy.

Tak patrzyli na siebie w milczeniu długą chwilę.

— Nie poznajesz mnie? — pytała nieśmiało.

Górski patrzył z wytężeniem,

— Trudno w tym ciemnym zaułku kogoś poznać, kogo się długo nie widziało... A muszę cię znać, jeżeli mówisz mi ty. Ale czego chcesz?

— Chodź, chodź — tam przy latarni mnie poznasz.

Poszli kilkanaście kroków dalej.

— Jeszcze mnie nie poznajesz?

Górski ujrzał drobną, zbolałą twarz — jak mu się teraz wydało — dziwnie piękną pięknością, jaką bliska śmierć daje: w błyszczących, jakąś gorączką trawionych oczach dziewczyny widział jak w jasnowidzeniu ów kanał wizyjny z zastygłego kruszcu, starannie oszlifowany i wypolerowany.

— I czego chcesz?

— Wiesz, kto jestem?

— Nie!

Spojrzała na niego przerażona.

— To pan mnie nie poznaje? A ja cały rok żyłam tem jednem wspomnieniem, że ktoś w mojem życiu był dla mnie dobry, tak nieskończenie dobry. Nie pamięta pan przed rokiem, kiedy mnie spito jak nieboskie stworzenie, a pan mnie już nieprzytomną uwolnił od całej plugawej zgrai, która mnie bezcześciła, zniechlujała, świniła, zawlókł mnie pan do dorożki, ułożył na swojem posłaniu, a sam całą noc na kanapie przespał.

— Aha! pamiętam, Łucja. No i cóż z tego?

Szerzej jeszcze rozwarły się jej oczy.

— Cóż z tego? Prawda — prawda... — zachwiała się — pan rzucił mi ochłap swej dobroci pod nogi, a dla mnie była to królewska uczta, którą rok cały żyłam.

Nagle urwała.

Górski przetarł czoło.

— Prawda — teraz sobie dobrze przypominam... a, a... muszę panią prosić o przebaczenie — tak, w istocie, prosiła mnie pani wtedy, byś mogła raz po raz do mnie zachodzić...

— Chodziłam, chodziłam, jak pies warowałam u progu drzwi pańskich, ale drzwi były

dla mnie zamknięte, a na drzwiach pańskich wiecznie ta sama kartka: wyjechałem! A przecież pan był w domu — widziałam pana w oknie — pan mnie nie widział, nie chciał widzieć...

— Byłem chory, pani wybaczy, ale czem teraz mogę pani służyć?

— Spotkałam teraz pana na ulicy i szłam za panem zdala, nie chcąc być natrętną...

Górski zamyślił się nagle. Stał długo, patrzył na nią, nie widząc jej, to znowu w dół, jakby czegoś szukał — wreszcie po długiej chwili zdawało mu się, że chce coś powiedzieć, ale się znowu zamyślił.

— Co, co? co pan chciał powiedzieć? — pytała z gorączkowym niepokojem.

Ocknął się.

— A prawda, mam parę godzin czasu, teraz mi już nic nie przeszkadza, ani przeszkodzić nie może, wszystkie moje sprawy załatwione, jestem całkiem swobodny, do odejścia pociągu jeszcze parę godzin czasu.

— To pan wyjeżdża?

— A tak, wyjeżdżam, droga pani. Ale pocóż tak to wszystko ceremonjalnie? Mówiliśmy sobie przecież ty — kiedy to było? — prawda, przed rokiem... a, a — coraz jaśniej

sobie przypominam — aha! poznałem cię w towarzystwie Bieleckiego — tak, to wtedy było — spoili cię — nie, fałszywie się wyraziłem — Bielecki miał dobre zamiary względem ciebie — kształcił cię, otwierał ci nowe horyzonty, zeskrobywał z ciebie małomieszczańską skórę, włosy kazał ci krótko obciąć, papierosa kładł ci w usta i lał wódkę w ciebie i rozkładać ci się kazał, byś w królewskim bezwstydzie piękność twej nagości...

— Milcz pan!

— He, he!... Cóż się pani tak oburza, przecież Bielecki...

— Nikczemny łotr! — zgrzytnęła zębami i nagle wybuchła spazmatycznym płaczem.

Spojrzał na nią cicho i spokojnie, jakby się jej z jakiejś dalekiej gwiazdy przypatrywał.

— Niech pani nie płacze. Po co? na co? Przecież to wszystko takie głupie, nędzne, małe, i wie pani, niech pani wybaczy, ale mnie żaden płacz nie wzrusza... Nad czem pani płacze? Zwichnięte życie? Ha, ha, ha! — jakie to śmieszne! Przecież życie to tylko głupie, idjotyczne preludjum... — urwał, nie chciał o swej głębokiej tajemnicy mówić.

— Panią wielka piękność oczekuje, trzeba

tylko do niej dojrzeć... Nie płacz pani, dajmy temu spokój...

Ucichła.

Szli długo obok siebie w milczeniu.

— Panie, panie — szepnęła błagalnie.

— Mów mi ty.

— Nie mogę, jesteś zbyt dla mnie wielki i święty...

— Jeszcze nie.

— Panie!

— Cicho, cicho...

Górski zasłuchał się w siebie.

Nagle zmiarkował, że szła pokorna i wystraszona kilka kroków za nim.

— Chodź tu ze mną.

Wziął jej rękę i wsunął pod swoje ramię.

— A jednak nie zdołał mi duszy zniszczyć — mówiła szybko i namiętnie. — Wszystkiemi siłami pracował nade mną, by zrobić ze mnie ostatnią ladacznicę, spijał mnie, bił, kopał, pastwił się nade mną, ale tyś stał zawsze przed mojemi oczyma święty swą niezmierną dobrocią, czysty, niepokalany — schwyciła go nagle za rękę i przycisnęła do rozpalonych ust.

— Daj spokój — Górski szarpnął ręką i wsłuchiwał się w głuchą ciszę swej duszy.

Ale silniej jeszcze uczepiła się jego ramienia.

— Uwolnij mnie od niego! Błagam, zaklinam cię. Ty jeden to zdołasz zrobić, on się ciebie boi, on ustawicznie o tobie majaczy. Ja będę ci służyć jak najwierniejsza sługa, niczego od ciebie nie chcę, tylko pozwól, bym mogła być przy tobie. Mówił mi, że pan chory — on cieszy się, żeś pan chory — będę pana pielęgnować, daj mi pan to największe szczęście, jakie mnie spotkać może...

Górski zdawał się nie słyszeć.

— Pan nie wie, co to za rozkosz będzie dla mnie panu służyć, i pan, pan taki dobry, taką radość będzie panu sprawiało, jak rany mej duszy się poczną zabliźniać, jak... jak... jak to wszystko wróci, czem byłam, zanim go poznałam, tego złego szatana, jak, jak...

Plątała się, powtarzała jedno i to samo w kółko, i nagle zamilkła i spojrzała uważnie na Górskiego.

— Panie?

— Co?

— Pan może myśli, że ja pijana? Nie, nie, widzisz, zaciągnęli mnie do knajpy, jakąś tajemniczą stypę pogrzebową chcieli urządzić, a ja się wymknęłam, uciekłam, taki mnie wstyd,

takie obrzydzenie, taki wstręt ogarnął, duszę chciałabym z siebie wyrwać, rzucić sobie pod nogi, spluć, stratować, i wtedy ciebie ujrzałam i powlokłam się za tobą cicho i pokornie, czekając, aż mnie spostrzeżesz...

Górski przystanął, spojrzał na nią długo i przenikliwie.

— A może on cię wysłał?

— Kto, kto?

Spojrzała na niego zdumiona.

Górski patrzył jej długo w zdumione, wystraszone oczy, potem cicho pocałował jej rękę i szepnął:

— Niech pani wybaczy.

— Co, co?

— Nic, moje dziecko, tu niedaleko jest mała kawiarnia. Cicho tam i zacisznie, ja mam jeszcze parę godzin czasu...

— To pan rzeczywiście wyjeżdża? — pytała z obłędnem przerażeniem.

Nic nie odpowiedział.

— Wyjeżdżasz? Jezus, Marja, cóż ja wtedy poczne?

— Co poczniesz? — Górski przystanął i uśmiechnął się. Na ustach jego rozgościł się bezustanny, cichy uśmiech. — Co poczniesz beze mnie? A na co ja ci potrzebny?

— To prawda, prawda — powtarzała błędnie te same słowa — na co ja panu potrzebna?... Wstyd mi teraz, żem się tak przed panem obnażyła. Niczem cielesna nagość wobec tej, w jakiej się panu pokazałam. Pan się pyta, na co mi jesteś potrzebny, na co ja tobie byłabym potrzebna, ja, ja... ścierka — wybuchnęła nagle. — Wiesz, Bielecki ścierką mnie nazywa, jak jest wściekły, a nie wiem, dlaczego jest teraz ustawicznie wściekły.

Górskiego zdjęła nagle bezbrzeżna litość.

— Nie mów już, zapomnij, przecież jeszcze nie wyjechałem, jeszcze kilka godzin... — Wsłuchiwał się uważnie w siebie, ale nic, prócz wielkiej, świętej, wieczystej ciszy.

A może ją wziąć ze sobą? Ale nie! Do tego trzeba samemu dojrzeć, inaczej to paskudztwo — zawstydził się — razem, z kimś obcym... nie, nie! jak mógł coś podobnego pomyśleć.

— To tu! — Otworzył drzwi kawiarni.

Wahała się.

— No? Czemu nie chcesz wejść?

— Lękam się... pan taki dobry, a ja się do ciebie przyczepiłam.

— Jestem ogromnie rad, żem ciebie właśnie spotkał. Chodź, bardzo cię proszę.

Górski był nad wyraz uprzejmy.

A ona wciąż jeszcze stała.

— Tu światło, pan mnie tak onieśmielił. ja, ja... — dławiła się płaczem.

— Niech mi pani sprawi tę prawdziwą przyjemność i posiedzi ze mną chwilę. Ja potem panią odprowadzę.

— Dokąd? — Drżała z lęku i przerażenia.

— Jakto dokąd? do mieszkania pani.

Wyciągnęła ręce, dygotała jak w febrze; nerwowe, chude jej ręce latały w powietrzu jak spłoszone jaskółki.

— Nie wrócę, nie wrócę!

— Nie chcesz wrócić — Górski uśmiechnął się dobrodusznie. — No, to wejdźmy. Tam sobie spokojnie pogadamy.

Wziął ją pod ramię, weszli i siedli w pustej prawie kawiarni.

Kazał podać kawy. Przypatrywał się teraz uważnie dziewczynie. —Taka młoda, piękna i już tak zniszczona — pomyślał.

I ona mu się przypatrywała, nieznacznie, ukradkiem, i czuła się coraz więcej onieśmielona.

— Niech mi pan wybaczy — mówiła cicho — żem się tak do pana dziś przyczepiła.

— Ależ pani się wcale nie przyczepiła...

— Ale — mówiła, jakby nie dosłyszała Górskiego — gdym pana w tym całym obcym tłumie ujrzała, zupełnie nie wiedziałam, co robię, musiałam za panem iść, coś we mnie głośno krzyczało, że w panu jest mój ratunek...

— Przed czem ja mam panią ratować?

— We mnie jest taka straszna walka — cała jestem wypełniona wstrętem, obrzydzeniem, chciałabym się wyrwać z tego życia, a nie mogę: jestem bez woli, bez sił... Bielecki mnie doszczętnie zmarnował, wyssał, zatruł mi duszę. Czego się czepię, ręce mi opadają, o niczem myśleć nie mogę, bo tak się rozwielmożniło we mnie uczucie upodlenia i zmarnowania, że we mnie już nic, prócz jadu i goryczy... I tak pomyślałam, że pan, pan jeden ze swoją bezmierną dobrocią... ale to szaleństwo, mnie już nic uratować nie może... mój mózg obłąkany, dusza do cna zatruta...

— Pani go kocha?

— Kochałam, kochałam, tak chyba żadna kobieta nie kochała.

Górski uśmiechnął się.

— Pan się śmieje, ja wiem, tak każda kobieta mówi o swej miłości, ale może żadna w rzeczywistości nie dała tyle, co ja. Przyje-

chałam tu z duszą czystą, niczem nieskalaną— w szale obłędnej miłości oddałam mu się bez wahania, bez zastrzeżeń, z rozkoszą — i z rozkoszą deptałam wszystko, co mi było dotychczas świętem, bo on nienawidzi tego, co ludzie czystością nazywają. Zerwałam z całą rodziną, zerwałam ze wszystkiem, co mnie łączyło z nimi, ze wszystkiem, com dotychczas ukochała... Tak, tak, ma pan słuszność, rozszerzał mi horyzonty. Zdeprawował mnie, rozpasał moje zmysły, nocami całemi włóczył mnie od knajpy do knajpy — zmuszał mnie do rzeczy wstrętnych dla mnie i ohydnych, całą moją duszę wywrócił na ręby. Niema brudu, niema ohydy, którejbym nie poznała— a ja, by mu się przypodobać, starałam się wszystkich prześcignąć w plugawym cynizmie. Och, jaki on dumny ze swej pojętnej uczennicy! — Aż nagle ocknęłam się... Wtedy, wtedy przed rokiem, gdym pana poznała... Jedno pana spojrzenie, gdym bluzgnęła jakimś sprośnym dowcipem, padło przeraźliwie jasną błyskawicą na dno tej odmętnej przepaści, w którą się staczałam... I wtedy, gdym jeszcze na wpół przytomna nad ranem na łóżku pana się obudziła, gdy się wszystkie wspomnienia na mnie zwaliły, wszystko pode mną walić się jęło —

wtedy postanowiłam wyrwać się, ale już było zapóźno, już nie byłam zdolna do niczego...

W oczach jej skamieniała rozpacz.

Schwyciła głowę w obiedwie dłonie.

— Och, och! za rychło się obudziłam. Trzeba mi było tak spodleć, tak upaść, by nic już nie czuć, nie byłoby tego piekła we mnie... upić się, upić tak, by o niczem nie myśleć — tak się zaprzepaścić, by coraz haniebniejszy upadek rozkoszą mi się stawał...

Podniosła głowę i ujrzała Górskiego.

— Panie — chciała go chwycić za ręce i nagle umilkła.

Oczy Górskiego patrzyły przed siebie, ale były całkiem zgasłe i jak ślepe. Twarz śmiertelnie blada i tak w sobie skupiona, że wydawała się być upiorną wizją. Cała postać jakby stężała w nieludzkiem jakiemś napięciu, jakby zastygła w kataleptycznym stanie.

Łucja patrzyła na niego przerażona, chciała na niego zawołać, ale głos zamarł w jej krtani, a ręka, którą ku niemu wyciągnęła, leżała obezwładniona na stole.

Tylko jakiś ciemny huragan myśli przewalał się przez jej głowę.

Trwało to długą chwilę — wreszcie lekki skurcz przebiegł przez skamieniałą twarz,

w oczach załopotało życie. Górski spojrzał na nią, przetarł czoło, jakby sobie coś z trudem przypomniał.

— Przeraziłem panią, jak widzę. To nic, nic, już przeszło.

Drżącą ręką nalał z maszynki kawy.

— Pani to wszystko bierze zbyt tragicznie. To wszystko są złe sny w złych snach, istotnie życie jest wielką i świętą pięknością, tylko trzeba do niego dojrzeć.

— Do czego?

— Do jedynego życia, jakie istnieje, a które my naszym biednym mózgiem śmiercią nazywamy.

— Pani mówiła, że pani postanowiła życie zakończyć ze wstrętu, z obrzydzenia. To ordynarne. To potrafi każda szwaczka, która w ciążę zajdzie, każdy nędzarz, któremu głodowa śmierć grozi — nie! nie! O czem innem myślę — trzeba sobie uświadomić, że to życie, którem żyjemy, jest tylko śmieszną parodją innego, doskonalszego życia, w którem człowiek z Bogiem się brata — zatęsknić tak gorąco za przeolbrzymią pięknością tego istotnego życia, że z radością, rozkoszą, triumfem wyzwolenia, bez żalu i rozpaczy, człowiek sam dobrowolnie — jak już powiedziałem — z nie-

wypowiedzianą rozkoszą zaporę rozwala. Tylko ten, co z radością, z utęsknieniem, gorącem pragnieniem w śmierć idzie, ten tylko dostąpi królestwa niebieskiego. Umierają tylko ci, którzy ukochali to życie — małpie przedrzeźniania tamtego.

Przysunęła się do niego.

— Trzeba śmierć ukochać? — pytała cicho.

— Próg do wielkiej piękności i istotnego życia. Kto to zrozumiał, ten wszystko zrozumiał. Dusza jest wieczna, ani skalana, ani zbrudzona w tem życiu być nie może; niema grzechu, ani potępienia, bo dusze skazane tylko na błądzenie — życie nasze jest tylko błądzeniem duszy, dopóki się nie odnajdzie w poznaniu, że jest inne życie, ku któremu wszystkie swe siły, wszystkie pragnienia i tęsknoty wytężyć musi. A gdy przyjdzie to poznanie, ustaje błądzenie, wszystko, co grzechem i zbrodnią, kalaniem i zbrukaniem nazywamy, wydaje się dziecinną grą słów.

— Kto nie dojdzie do tej prawdy, ten skazan na ciężkie, boleśniejsze jeszcze błądzenie i w tamtem życiu. Kto tę prawdę posiadł, dla tego śmierć jest najwyższą pięknością, bo go z Bogiem równa.

Twarz jego uroczyściała, a jej przejrzysta bladość zdawała się płonąć cichym blaskiem.

— Niema potępienia? — pytała i zdało jej się, że uchwyciła się jakiejś krawędzi skały tuż nad przepaścią.

— Dla tego niema, kto wdarł się na szczyt i ujrzał manowce, jakiemi błądził, moczary, w których tonął, przepaście, w które się staczał. Kto stęsknione skrzydła rozwarł do lotu i z hymnem wyzwolenia szybuje na drugi brzeg. Och, jakiem śmiesznem wydaje mu się to całe życie tutaj, jak tanią jego cnota, jak marną jego zbrodnia, jak potwornie głupiemi jego cierpienia i miłości i nienawiści, jaką nędzotą rozgłos, sława... Ha, ha!... sława, to dobre dla takich nędzarzy jak Bielecki... Nie, nie, moje dziecko — ujął ją cicho za rękę — jak zrozumiesz to, o czem ci mówiłem, jak uwierzysz w prawdę moich słów tak, jak ja w tych ostatnich dniach wierzę, to zaiste nie potrzebujesz Chrystusa, któryby ci musiał powiedzieć: „idź w spokoju, wiara twoja cię uzdrowiła" — sama się rozgrzeszysz. Twoja dusza wieczna, ani zbrukana, ani skalana, rozgrzeszy cię — tak bowiem Budda powiedział. Trzeba tylko objąć ogrom tych słów.

Mówił to wszystko manjackim, przytłu-

mionym głosem, powtarzając w kółko urywane zdania i słowa, ale z taką wiarą i siłą przeświadczenia, że Łucja słuchała go z zapartym oddechem — nie potrzebowałaby nawet jego słów rozumieć — tylko patrzeć w jego twarz, by uwierzyć.

Nagle popadł w ciężką zadumę. I znowu widziała, jak twarz jego stygła, oczy gasły.

Schwyciła jego rękę.

— Mów pan jeszcze, mów, mów...

— Już ci wszystko powiedziałem...

Wyciągnął zegarek, wpatrzył się weń długo.

— Teraz muszę pójść — rzekł po chwili.

— Pójść — pójść?! Pan mnie chce teraz zostawić samą? — pytała strwożona.

— Ależ nie, ja panią odprowadzę do domu...

— Ja tam nie pójdę — głos jej się łamał — ja tam już teraz nie wrócę — nie, nie, nie! W tobie jest moc i piękność — ratuj mnie — na klęczkach błagam, nie opuszczaj mnie teraz, kiedy czuję, że będę się mogła dźwignąć z twoją pomocą z mego upadku!

— Jakiego upadku? Co ty nazywasz upadkiem? żeś pokochała łotra, który chciał twą czystą duszę obłocić? On stokroć razy bie-

dniejszy od ciebie. Tyś już zrozumiała, że dusza twa błądziła, a on nędzarz — straszny nędzarz, on taki nędzarz że miałem nad nim zlitowanie... — uśmiechnął się.

Łucja patrzyła na niego zdziwiona, miała wrażenie, że to wszystko śni, że to jakieś przywidzenie.

— On nędzarz? Ależ to szatan, zły, łotrowski szatan.

— I dlatego go kochasz i kochać będziesz — bo jeszcze większym nędzarzem się stanie.

Zrobił nagle ręką szeroki gest.

— Ale to mnie już nic nie obchodzi. Gdybym mógł patrzeć na życie tak, jak ty patrzysz, toby mi ciebie było żal — ale tak...

Machnął ręką, popatrzył na nią uważnie i uśmiechnął się dobrotliwie.

— Raz ci jeszcze powiadam: jesteś bez winy, a gdybym był Chrystusem, rozpiętym na krzyżu, tobym ci powiedział: dziś jeszcze będziesz ze mną w raju.

Wstał, podszedł do kelnera, zapłacił i wyszli.

— Dokąd cię teraz odprowadzić?

Przystanęła.

— Chcesz mnie się pozbyć — mówiła cicho, niewyraźnie, jakby do siebie mówiła —

przyczepiłam się do ciebie, a ty mną gardzisz... ha, ha!.. jakbyś nie miał gardzić tą, którą nawet taki Bielecki ścierką nazywa — ha, ha, ha!... Idź, idź — zostaw mnie w spokoju — rzucił mi znowu ze swego królewskiego stołu ochłap dobroci — bym się nim udławiła — a potem idzie — idzie...

Górski wziął ją za rękę.

— Słuchaj — rzekł surowo i z jakąś straszną powagą — teraz nadchodzi chwila, w której muszę być sam. Rozumiesz?

Jakby się ocknęła, patrzyła na niego, jakby go teraz dopiero ujrzała.

Spojrzenia ich zwarły się nierozerwalnie.

— To ty... ty... — dławiło ją pytanie, którego ze siebie wykrztusić nie mogła.

— Tak!

Objęła go oburącz:

— Nie, nie, och! nie rób tego, nie rób... Ty jeden, jedyny, och, dzień jeszcze... jeden, jedyny dzień... nie odpychaj mnie od siebie... ja ci teraz wszystko powiem, wszystko...

— Cicho, ludzie nadchodzą.

— Na cały świat to wykrzyknę.

Szarpnął ją i pociągnął za sobą.

Oprzytomniała.

Szli długo w milczeniu, siedli na ławeczce na pustym placu.

— Coś mi jeszcze chciała powiedzieć?

— Nic, już nic...

— Coś chciała na cały swiat wykrzyknąć?

— Nędzę moją, moją małą, marną nędzę, mogę ci teraz powiedzieć... tak, tak, mogę ci powiedzieć, boć przecież ciebie to nie obchodzi, nawet wstydzę się, żem mówiła, iż moją ciężką tajemnicę chciałabym wykrzyczeć, nie, nie, pokornie, nieśmiało, z tym twoim cichym uśmiechem nie z tego świata wyznaję ci, że cię kocham...

Górski patrzył na nią z zimnym uśmiechem, który zdawał się być przymarzniętym do jego ust.

— Biedactwo! Teraz dopiero widzę, jak go kochasz... Ostoi szukasz u mnie w twej obłąkanej miłości do innego... chciałabyś się nie trzykrotnie, ale po wszystkie wieki wyprzeć twej miłości, a opita jesteś żądzą za nim, chciałabyś się pomścić, że twoją miłość stratował — zamyślił się i nagle powiedział dobrotliwie: — Idź, moje dziecko, zastanów się, przestań się okłamywać, ja cię tak dobrze rozumiem: terazbyś się pierwszemu lepszemu na szyję rzuciła, a potem po chwili sama sobie

głowę skręciła ze wstydu, ze wstrętu, obrzydzenia, bo tylko jego jednego kochałaś i kochasz...

Górski wstał zwolna i ociężale z ławki.

— Chodź — powiedział głucho.

— Zostań jeszcze, zostań! — krzyknęła, padła na kolana, chwyciła go za nogi, tarzała się przed nim — zostań!

Starał się od niej uwolnić.

— Nie puszczę cię! nie puszczę! Zostań! — skomlała.

Zniecierpliwiony, prawie przemocą rozerwał jej splecione ręce i szedł szybko przed siebie.

Czołgała się na kolanach za nim, opadła z sił, przykucnęła bezradnie i nagle zerwała się i z cichym, obłąkanym uśmiechem zaczęła się za nim skradać w śmiertelnym lęku, by się wypadkowo za nią nie obejrzał i nie ujrzał, że za nim idzie...

Przystanął — przywarła w cieniu do muru, serce jej bić przestało: teraz się obejrzy, teraz zniknie na zakręcie ulicy...

Ale Górski się nie obejrzał — po chwili szedł dalej wolno, coraz wolniej...

Dochodził do domu, w którym mieszkał.

Szła na palcach z nieskończoną ostrożnością.

Droga wydawała jej się niezmiernie długą. Górski pewnie pobłądził — z przerażeniem myślała o tem, że mógłby pobłądzić, a wtedy musiałaby się za nim wlec bez końca, a już jej sił nie starczyło, teraz już przystanąć musiała, bo nogi jej już dalej nieść nie chciały.

Rozejrzała się i odetchnęła. Niel nie pobłądził, dokładnie rozpoznawała ulicę... jeszcze parę domów.

Górski zatrzymał się przed żelaznemi sztachetami, które na niewielkiej przestrzeni łączyły dwie kamienice, zamyślił się, spróbował, czy furtka otwarta, znowu się zamyślił jak człowiek, który o czem innem myśli, potem począł szukać dość długo klucza po wszystkich kieszeniach, znalazł go wreszcie, otworzył drzwiczki i nagle obrócił się ku niej.

Dech jej w piersiach zamarł. Nogi się pod nią zatrzęsły.

Podszedł ku niej i wziął ją za rękę.

— Chodź — mówił — tam u mnie zacisznie, możesz tam spocząć. Tyś strasznie zmęczona. Teraz mi przykro, żem cię samą zostawił. Zdawało mi się, że miałem jakieś jeszcze obrachunki z sobą poczynić, ale ja się

ze wszystkiem już załatwiłem. Mam tam jeszcze na górze flaszkę wina... urządzimy sobie stypę — ale nie pogrzebną — stypę postrzyżyn, stypę dojrzenia do nowego życia... Chodź, chodź — tylko cicho, by sąsiadów tam z przeciwka nie pobudzić...

III

Przeszli przez ciemny ganek, weszli na dość obszerne podwórze, w głębi którego stała remiza. Na parterze była stajnia i skład siana, na pierwszem piętrze mieszkanie Górskiego.

Otworzył wąskie drzwi, weszli w małą sionkę i dostali się na strome, niewygodne schody.

Skradali się po schodach cicho, cichuteńko jak psotne dzieci; przystanęli, krztusząc się od śmiechu, dławił ich wprost jakiś dziwny, niepojęty śmiech...

— Czekaj, czekaj — szepnął nagle Górski — pokażę ci coś... — zapalił zapałkę.

— Patrz, ta cała ściana z cienkich desek, widzisz? poza tą ścianą skład siana, a tu: ot sęk — podważyć go gwoździem, a możnaby go wyjąć jak korek z butelki i napowrót wsadzić. A przedtem możnaby tam zapałkę

wrzucić, i odrazu cała ta buda stanęłaby w płomieniach... A co? wspaniałe. Ja już to Bieleckiemu mówiłem — ale to tchórz, matołek, gdzieby go stać na taki czyn... ha, ha, ha!...

Zbiegł ją zimny dreszcz lęku.

— Chodź, chodź — szeptała — ja się boję.

— Czegoż ty się boisz? Czegoż ty możesz się lękać, jeżeli ja jestem przy tobie?

Nic nie odpowiedziała, z trudem panowała nad sobą, dygotała jak w febrze.

Wreszcie omackiem dostali się do mieszkania Górskiego.

Zapalił lampę, wyciągnął flaszkę wina, postawił dwie szklanki na stole, wydawał się być swobodnym i wesołym.

— Teraz pijmy, nie myślmy już o niczem. Ja już nie mam o czem myśleć, bo już wszystko do samiuteńkiego końca przemyślałem, a ty o wszystkiem zapomnisz...

— No, pijże, co tak na mnie patrzysz?

— Ja się czegoś tak strasznie lękam.

— Czego ty się lękasz? Chyba życia, tu tego marnego, głupiego życia? Przecież nad niem w każdej chwili zapanować możesz...

— Zabić się...

— Co za naiwne powiedzenie — zabić

się! — Zabić się nie można. W nową formę się wcielić, tak. W nową, nieskończenie doskonalszą formę przez wielkie dostojeństwo śmierci, tak! to można, ale zabić się — nie!

— Lękam się śmierci.

— Lękasz się — ale to kapitalne! Czyż się kiedy lękałaś rozkoszy, choć ci nie była znana? Lękałaś się oddać Bieleckiemu, chociaż, czysta i niewinna, nie wiedziałaś, co cię czeka, rozkosz czy męczarnia?

— Wiedziałaś, słyszałaś, że to rozkosz, a ja ci mówię, że niema większej rozkoszy nad śmierć. Nie wierzysz mi? Mnie, mnie nie wierzysz, który niczego od ciebie nie pragnie, a Bieleckiemu wierzyłaś, chociaż wiedziałaś, że tylko swojej rozkoszy pragnie! Och, jakaś ty naiwna: tamtemu wierzyłaś, a mnie nie...

Oczy jego. rozwarły się nadmiernie, żar gorączki buchał z nich. Przysunął się nagle do niej.

— Nigdy nie pragnąłem połączenia cielesnego z tobą — może, może zechcesz połączyć się ze mną w śmierci, co?... co? Powiedz tylko, jeden gram szarego proszku, jedno rozkoszne westchnienie i będziesz ze mną w raju. Och! jakaś ty wystraszona... Możesz się nawet odwrócić, nic nie będziesz widziała i dosta-

niesz się do raju i nie będziesz potrzebowała nędzy swej po świecie rozwłóczać.

Ręce jego wyciągnęły się do niej drapieżnie, oczy jego paliły ją...

— Pomyśl tylko, co ciebie czeka? On cię niezadługo porzuci, ścierką cię teraz już nazywa, jak mi mówiłaś; wyrzuci cię na ulicę: jakiś miłosierny a spragniony samiec weźmie cię do siebie...

Nagle zastanowił się. Brwi ściągnęły się, twarz wykrzywiła się dzikim uśmiechem, zerwał się, strzepnął palcami, z oczu spełzła gorączka, i teraz patrzył na nią zimnym, obojętnym wzrokiem.

— Zdumiewające, że mi to już dawno na myśl nie przyszło. Myślałem — że już wszystko załatwiłem, nie chciałem już o niczem myśleć, a teraz widzę, że przed mojem przedzierzgnięciem się w boską formę mogę tu jeszcze komuś wielkie dobrodziejstwo wyrządzić, piękny, szlachetny czyn spełnić... Ha, ha, ha!... jak dobrze, że cię spotkałem — wprawdzie to tani, bardzo tani czyn, ale dla was, nędzarzy, mój najmarniejszy czyn jest czemś wielkiem, niesłychanem... To zupełnie tak, jak gdy człowiek, który za chwilę ma się powiesić, wyrzuci z kieszeni kilkadziesiąt ty-

sięcy rubli: jemu to na nic, a bezbrzeżne szczęście dla żebraka.

Mówił szybko, bez związku, oczy jego nabierały coraz więcej zimnego blasku, a usta kurczyły się w szyderczej pogardzie.

— Cóż to — wstajesz? na drzwi się oglądasz? myślisz, żem oszalał? Nie lękaj się... siadaj!

Szerokim ruchem pociągnął ją za ramię i zmusił, by siadła.

— No, no... uspokój się, wybacz, żem tak do ciebie mówił. Widzisz, to nie drobnostka być zmuszonym nanowo do myślenia, gdy się te śmiecie z mózgu raz już wymiotło... Daj mi rękę.

Dała mu rękę; pogłaskał ją, spojrzał na nią.

— Słuchaj, a jak ci na imię?

— Łucja.

— A więc to dobrze, to mi przypomina moje dzieciństwo; znałem dziewczynkę, której było tak samo na imię, nazywałem ją Łusią. Więc słuchaj, Łusiu: byłaś pod panowaniem Bieleckiego, takiego biednego łotrzyka, niemocnego, doszczętnie wypranego z talentu, ale z straszliwą, zbrodniczą ambicją. Ja mu zostawiam majątek: patrz na te papiery, to wszystko ja napisałem, ja z mej duszy... No!

głupstwo! nie bawmy się w te frazesy. Wszystko, com przemyślał, com prześnił, całą zawartość mej duszy tu w tym stosie papierów zostawiłem. A ponieważ wszystko, com przeżywał, w twórczą formę się przeobrażało, więc są tu i powieści, i nowele, i dramaty, i rozprawy, wszystko, co chcesz. Teraz to uporządkowałem, on tu za kilka godzin przyjdzie, zabierze to z sobą... Rozumiesz?

— Nie!

— Jakto nie? Nikt o tem nie wie oczywiście, że ja mu to pozostawiam, on może to wydać jako swoje.

Zerwała się.

— Nie pozwolę! — krzyknęła.

Znowu pociągnął ją na stołek.

— Tylko nie krzycz, obudzisz sąsiadów tam, naprzeciw. Tu nie masz nic do pozwalania, lub nie, bo to moja własność i to taka, która dla mnie nie ma najmniejszej wartości, bo ta tak zwana sława, potomność, mir i szacunek pośmiertny społeczeństwa — to glisty, na które się głupią rybkę złapie, ale nie mnie...

— No, ale czemu nie pijesz? Duszkiem, duszkiem — nalegał.

Wypiła duszkiem.

— Tak, dobrze! Mówiłaś mi, że jest teraz

ustawicznie wściekły. Wiesz, dlaczego? Trawi go gorączka, kiedy ja wreszcie umrę: on jest biedny, dręczy go niepokój, że mógłbym to wszystko spalić, chodzi jak obłąkany, dzień w dzień, czasem dwa razy na dzień tu przylatuje... jego oczy jak psy policyjne, na smyczy trzymane, a rwące się, niespokojne, węszą po tym pokoju — a ja na to patrzę, i wstręt mój do ludzi urósł w nieskończoność...

Szumska patrzyła na stos manuskryptów i nie mogła od nich oczu oderwać.

— Patrz, patrz uważnie, byłaś poniewierana przez niego, po rynsztokach cię włóczył, niewolnicą jego byłaś, teraz ja dam ci nad nim panowanie.

Teraz będziesz ty panią, rozumiesz? Jeszcze nie rozumiesz? Daję ci takie panowanie nad nim, jakiego jeszcze żadna kobieta nad mężczyzną nie miała. Jak robak będzie pełzał przed tobą, byś jego tajemnicy nie zdradziła, jednem słowem w proch go skruszyć będziesz mogła. Od ciebie będzie zależało z wyżyny, na jaką go stawiam, w najgłębszą przepaść wzgardy go wtrącić.

Szumska znowu się zerwała, przywarła do ściany, wszystka krew spłynęła jej do serca.

— Jakaś ty piękna w tej chwili z tą trupią

bladością, w jaki zaciekły wyraz zacisnęły się twoje usta! Tak, tak! Ty teraz panią, teraz możesz z nim robić, co ci się podoba.

Umilkł, odkaszlnął, przyłożył chusteczkę do ust, zafarbowała się krwią. Spojrzał na nią odruchowo, uśmiechnął się i popadł w zadumę.

Łucja stała jak skamieniała.

Po chwili podniósł głowę.

— A na wszelki wypadek, dla ostrożności, schowaj jedną część manuskryptów, byś miała broń przeciwko niemu. Gołemi słowami się nie obronisz, a tak po jednem dziecku pozna się i inne tego samego ojca... widzisz, jaki ja przezorny... Jak to dobrze, że cię spotkałem... mam głęboką litość nad tobą i wdzięczny ci jestem, że już teraz mogę przyrzeczenia mego dopełnić i do raju cię wprowadzić. Rajem tym to panowanie nad robactwem.

Opadł i mruczał coś niewyraźnie.

— I zemsta może być rozkoszą dla tych, którzy do śmierci nie dojrzeli. Jak zechcesz, to się możesz pomścić, a jeśli zemsty nie zapragniesz, to wiedz, że cię już nie opuści, że będzie cię na rękach nosił, będzie warczał pod twoją rajtpajczą, a czołgać się będzie pokornie u stóp twoich.

Wstał, przeszedł się po pokoju, potem siadł, wsunął się głęboko w fotel, przetarł czoło.

— Czy to już wsystko? Aha! na wierzchu leży przypięta karta. Odczep i podrzyj... Wahasz się?

Spojrzał na nią gniewnie.

— No?

Bez woli podeszła do stosu papierów, podarła wskazaną kartkę w kawałki.

— Wrzuć ją do pieca i spal.

Posłusznie wykonała.

Odetchnął głęboko.

Nalał kieliszki.

— Siądźże, proszę cię bardzo. Już teraz — spojrzał na zegarek — nie mam dużo czasu...

Łucja podeszła powoli ku niemu. Chciała coś przemówić, nagle opuściły ją siły, osunęła się cicho na ziemię.

Wpatrzony przed siebie, w dal, wyciągnął rękę i bezwiednie pogłaskał jej głowę.

— Teraz jesteś panią, jam cię panią uczynił: jak to dobrze! A może ty go kochasz, no, to tem lepiej, będziesz szczęśliwa...

Jakby ją ktoś harpunem smagnął, zerwała się na równe nogi.

— Nie bluźnij! — krzyknęła, ale opamiętała się w tej chwili, obejrzała się dokoła, jakby się lękała, że ktoś słyszy. — Już go nie kocham — wyrzuciła przez zęby.

Słyszał te słowa jak poświst dalekiej burzy.

— Nie przeszkadzaj mi teraz — rzekł zmęczony.

Klękła przy nim, objęła jego kolana.

Jedną ręką gładził machinalnie jej włosy, drugą wyjął nieznacznie epruwetkę z kieszeni, wsypał całą zawartość do szklanki wina.

— Wstań.

Było coś w jego głosie, co jej kazało słuchać.

Popatrzyła na niego wpół nieprzytomnie i nagle szarpnęła go za ramię.

— Nie słyszysz, co mówię? Nie kocham go już.

Odsunął ją cicho od siebie.

— Jeszcze jedno muszę załatwić. Zapomniałem całkiem, że policja może się w całą sprawę wdać.

Siadł przy biurku.

— Jezus Marja! — dyszała — co ty chcesz robić?

— Co ja chcę robić?

Spojrzał na nią zniecierpliwiony, ale w tej chwili się opanował.

— Słuchaj, Łusiu, możesz w tej chwili mnie opuścić, albo, jeżeli chcesz tu pozostać, to bądź spokojna. Ja do siebie przynależę i nikt, nawet ty, ani na sekundę nie wpłynie na to, co ja zrobić postanowiłem. Tu masz klucze od domu — otworzył drzwi — tędy wyjść możesz — a teraz daj mi spokój.

Opadła na łóżko, widziała, jak coś pisał, kładł papier do koperty, wstał od biurka, popatrzył na nią:

— Chodź bliżej... tak! tu usiądź, jeszcze chwila czasu. Szkoda, żem cię tu zaprosił, trudno mi się z tobą rozstać...

Wyciągnął rękę po szklankę, ale ręka jakby zdrętwiała, zamarła na krawędzi stołu.

Tylko oczy załopotały niespokojnie, wpiły się w nią głęboko.

— Tylko nie krzycz — szeptał — na nic się to nie zda, to piorunem działa. Nie krzycz! milcz! on, Bielecki, tu zaraz przyjdzie...

Schwycił za kieliszek, wypił go duszkiem do dna, zerwał się szybko i rzucił się na łóżko.

Zrobiła ruch, jakby się ku niemu rzucić chciała; otworzyła usta, jakby do jakiegoś

strasznego krzyku, ale oczy jego, w nią wlepione, nakazywały milczenie... Widziała, jak raz, drugi i trzeci drgnął, podrzucił i skręcił się w konwulsji, a potem jeszcze jeden skurcz — i całe ciało wyprężyło się w stygnącej martwocie.

Chwilę stała obezwładniona, wyciągnęła ramiona, zatrzepotała niemi jak człowiek, który tonie, i runęła na ziemię.

IV

Kiedy Łucja przyszła do siebie, świtało w pokoju. Przysiadła na podłodze, obejrzała się dookoła i zwolna przytomniała.

Wszystko, co tej nocy przeżyła, wiedziała dokładnie, ale nie zadawała sobie trudu, by o czemkolwiek myśleć.

W głowie łoskot, huk, szum — gdzieżby w tym zgiełku można o czemś myśleć! Przeciwnie, o niczem myśleć nie będzie. Odwróciła się ku drzwiom i wlepiła uporczywie i bezmyślnie oczy w świecącą klamkę.

Wiedziała, że się coś strasznego stało — coś, czegoby napewno myślą objąć nie zdołała i to przeświadczenie nie pozwalało jej się z miejsca ruszyć, ani oczu odwrócić.

Raz po raz spadała czarna noc na jej oczy, zdawało jej się, że leci głową na dół

w jakąś przepaść; wtedy odruchowo padała twarzą na ziemię, wpijała paznogcie w podłogę, by się tylko o coś zaczepić.

Rozciągnęła się krzyżem na ziemi.

Raz jeszcze poderwała ją ta sama szatańska siła i wyginała przemocą w tył, ale i tym razem się jej oparła.

Leżała w śmiertelnem oczekiwaniu, czy się to powtórzy — Ale nie. Zwolna się uspokajała, dźwignęła się na kolana, podczołgała do fotelu, ale nie miała sił, by podnieść się i usiąść.

Oparła głowę o siedzenie i patrzyła przed się.

Przed jej oczyma jął padać gęsty śnieg... nie — to nie śnieg, to deszcz drobniuteńkich, diamentowych kulek... ależ nie — to szalony, wirujący taniec przeraźliwie świecącego pyłu. Świetliste fale rozszalałego pyłu przelewały się przed jej oczyma, biły o jej piersi, szyję, twarz, wlewały się w oczy i uszy, wdzierały się do gardła.

Dusiła się, ale głosu dobyć nie mogła, chciała się dźwignąć, ale nie miała władzy nad swem ciałem.

W tej samej chwili jęła przytomnieć. Ze-

brała wszystkie siły, szarpnęła się i dźwignęła na nogi.

Teraz kurczowo chwyciła się oburącz poręczy, wsunęła się głęboko w fotel, przymknęła oczy, bo wiedziała, że, gdy je otworzy, to... to... — To co? — spytała się siebie znienacka — co? co? — Wsłuchiwała się w siebie, ale nie otrzymała odpowiedzi.

Niecierpliwiło ją to. Więc zwolna, ukradkiem, poczęła zerkać po pokoju. Światło dzienne zaczęło oblizywać przedmioty naokół niej. Lampa już dawno zgasła, a z mroku wyłaniały się szare ściany, parę obrazów na nich zawieszonych; ujrzała stosy papierów na stole, dużą białą kopertę, potem oczy jej padły na własną rękę, która dziwnie po sukni błądziła, widziała końce bucików, które wystawały z pod jej spódnicy — i znowu przymknęła oczy, bo wiedziała, że w tym pokoju jest jeszcze coś, na coby żadną miarą patrzeć nie mogła...

Coś dziwnego się w niej działo. Czuła dokładnie, że się rozdwaja: jakieś siły się w niej zmagały w dyszących zapasach, z głuchej ciemni wyłaniały się ramiona, które podrzucały się w górę, jakby się czegoś uczepić

chciały, opadały bezwładnie, jakby je coś niewidzialnego bezustannie miażdżyło. W głuchych odmętach wirowały dwie gwiazdy, które się wzajem wchłonąć chciały, a w dzikim poświście konały chrapliwe krzyki: ratunku! ratunku!

Ratunku! To jedno pragnienie rozdarło oślepiającą błyskawicą opary mgieł, które jej mózg zaległy — świtać w niej poczęło... Krwawą czerwienią słońca wschodzącego oblane, budziły się w mroku zasnute wysepki myśli, z zasłon mgieł wyłaniały się zwolna niejasne jeszcze wspomnienia.

Wszystkie siły zebrała, by jasność, która się w niej nagle stała, ogarnąć, opanować.

Ależ nie — ta jasność była zimna, szklista, bierna. Żadnego jej bólu nie sprawiała: było to, jakby miała w swym mózgu bryłę lodu, której zamknięte w niej zimne światło promieniało na zewnątrz.

Lęk topniał, nikł, przerażenie rozsypało się w tuman pyłu, który się rychło rozwiał na wszystkie wiatry, a w jej duszy zapanował zimny, głuchy spokój.

Coś w niej umarło, coś się w zaciekłej walce oderwało od niej; teraz miała spokój.

Teraz już niczego nie potrzebowała się lękać. Teraz mogła oczy szeroko otworzyć — szerzej jeszcze, bo już się niczego nie bała.

Mogłaby teraz spokojnie na wszystko patrzeć — nawet na to, tak, nawet na to; ale ponieważ nie śmiała jeszcze sobie powiedzieć, co to było, na coby teraz już spojrzeć mogła, więc głębiej jeszcze wtuliła się w fotel i odpoczywała.

O! teraz!... teraz! — nie! jeszcze chwilę...

Podwinęła nogi pod siebie, skręciła się jak jeż, chciałaby się stać teraz jakiemś nikłem zwierzęciem, schować się w jakąś szparę, przedostać się przez skórę, którą fotel był obity, schować się w pakułach!... Ha, ha, ha!... roześmiało się coś w niej figlarnie, ale w tej samej chwili zlękła się tego śmiechu i sama nie wiedziała, kiedy i jak stanęła na środku pokoju.

Całkiem już spokojna, jak jej się zdawało.

Spojrzała z nagłem postanowieniem, z jakiem się człowiek w niechybną śmierć rzuca: na łóżku leżał wyprężony, sztywny, zastygły Górski...

— Umarł! — pomyślała. Przecież dawno już o tem wiedziała, tylko to jej w głowie pomieścić się nie mogło, by on — Górski — mógł umrzeć.

Teraz już jej to nie dziwiło, bo i w niej coś umarło, ale zbyt jej to było obojętne, że tam coś umarło, — nie warto było o tem myśleć. Więc ze zdwojoną ciekawością jęła się przyglądać temu, który tam leżał na łóżku, a który istotnie nie żył.

Oczu nie mogła od niego oderwać.

Piękna twarz Górskiego zastygła w cichym, nieziemskiego majestatu pełnym uśmiechu.

Tak pięknym go nigdy przedtem nie widziała.

Zaparła oddech, jakby się lękała, że może go przebudzić, podeszła bliżej, coraz bliżej, usiadła na krawędzi łóżka.

Z głębokim zachwytem wessała się oczyma w tę piękną twarz. Jego uśmiechem nie z tego świata uroczyściała w świetlistej pogodzie jej dusza; zwolna wysuwała się jej ręka, wahała się, cofała i znowu wysuwała — aż nagle z cichym krzykiem szczęścia schwyciła jego rękę. Zimny dreszcz wstrząsnął nią, gdy uczuła lodowate zimno martwego ciała, ale to jej szczęście dawało.

I już, już miała się rzucić z rozkosznym szlochem niewysłowionego szczęścia na piersi Górskiego, gdy nagle drzwi po cichu się otwo-

rzyły. — Zerwała się zaskoczona: w drzwiach stał Bielecki.

Przez chwilę był tak zdumiony i oszołomiony, że zatrząsł się, obejrzał bezradnie dookoła i znowu drgnął i zbladł: ujrzał Górskiego, rozciągniętego na łóżku.

Stał tak chwilę, jakby wrósł w podłogę, przewłóczył tylko swe spojrzenia od Szumskiej do trupa; tu zagrzązł głębiej przez chwilę, oderwał z trudem oczy od twarzy zmarłego, która przemocą zdawała się do siebie wzrok jego przykuwać, a potem podszedł do Szumskiej, schwycił ją za rękę.

— Skąd się tu wzięłaś? — syknął.

— A ty skad? — Słyszał głuchy, szyderczy śmiech. A zimne, twarde oczy obślizgiwały się obce i wrogie wzdłuż niego.

Spojrzał na nią, jakby chciał ją wzrokiem swym spiorunować, ścisnął jej rękę tak silnie, że z bólu syknęła.

— Wyjdź stąd natychmiast!

Szarpnęła ręką, wyrwała się z żelaznego uścisku.

— Precz ty stąd, bo zacznę na cały głos krzyczeć, cały dom zwołam.

Zląkł się. Twarz jego skurczyła się, ręce

drżały, usta się otwierały i znowu niepomiernie zaciskały w cieniutkim, wąskim pasku. A w oczach zmagały się pragnienia zemsty i bezsiła, dzikie, zwierzęce błyski jarzyły się w tych dyszących oczach.

— Ha, ha, ha! — śmiała się cicho i bliżej jeszcze podeszła ku niemu. — Teraz się ciebie nie boję. No — no! ciśnij piorunem — zabrakło ci ich? Spróbuj mnie teraz sponiewierać, rzuć mnie teraz o ziemię, stratuj, wepchnij gdzieś w kąt. Spróbujże teraz, bohaterze, tu, tu... On — pokazała na Górskiego — on umarł, on trup, on nie mógłby się za mną ująć, a ty, marny tchórzu, wobec trupa odważyłbyś się mnie dotknąć?

— Warjatko wściekła, nie rozumiesz, że tu za chwilę policja nadejdzie? — syczał z wściekłością, której już pohamować nie mógł.

Oparła się o ścianę i przypatrywała mu się z szyderczą ciekawością.

— Coś ty taki rozjuszony!? Ach, jak paskudnie i jak obrzydliwie teraz wyglądasz! Jak jakiś dziki, rozbestwiony zwierz. Spojrzyj tam na niego — patrz jaki on piękny, spojrzyj na jego uśmiech — czem ty jesteś wobec niego? — jakimś jadowitym, obrzydliwym pa-

dalcem, oślizgłym płazem, który się kurczy i skręca w marnej, złej niemocy, gdy się go stopą nastąpi.

— Milcz! — Syk jego zdawał się mieć moc piekielnego wrzasku, i istotnie zdawało mu się, że wrzasnął, bo nagle się przeląkł i obejrzał trwożnie za siebie.

Nie zważała na niego. Siadła na krawędzi łóżka, pochyliła się nad trupem, patrzyła długo w zastygłą, uśmiechniętą twarz Górskiego i nagle odwróciła się do Bieleckiego.

Stał jak wryty, z twarzy jego ściekał zimny pot.

— Na cóż ty jeszcze czekasz? Boisz się o policję? Poco to głupie kłamstwo? O jego manuskrypty ci chodzi: tam są — wszystko przed śmiercią uporządkował — to wszystko tobie w spuściźnie zostawił.

Bielecki nie patrzył na nią, oczy jego latały, jakby szukały jakiegoś punktu oparcia; nagle wyprężył się, odetchnął.

— No, widzisz — widzisz — już teraz po ludzku wyglądasz. To teraz nie trać czasu — tu może rzeczywiście niezadługo przyjść policja, za godzinę dom się rozbudzi — potem wszystko opieczętują i — wszystko przepadnie.

Patrzył na nią teraz z takiem natężeniem, że oczy krwią mu nabiegły.

— Chciałbyś mnie do dna przeniknąć. Chciałbyś teraz duszę ze mnie wyciągnąć... Daremny wysiłek, nie potrzebujesz się mnie lękać, ja nierozerwalnie z tobą spętana — zerwała się—ja ci nawet będę pomocną.

Podeszła ku niemu kocim ruchem.

— Patrz, już umarł, i we mnie umarł przed chwilą: zanim przyszedłeś, coś we mnie umarło. To on — on! No, nie patrz na mnie tak błędnie. Ja teraz prawdę mówię, prysł doszczętnie urok, jaki on na mnie rzucił, śmierć jego wyzwoliła mnie z pod jego mocy i znowu do ciebie przynależę, ty mój słodki szatanie—tylko już przestałam być twoją niewolnicą... Tobie pozostawił swoje manuskrypta, byś mógł panować nad ludźmi, a mnie zrobił twoją panią — rozumiesz?

Bielecki wytężył wszyskie siły swej duszy, by pochwycić oś, naokoło której jej mózg w nagłym, niepojętym jeszcze dla niego przewrocie wirował, ale nie był w stanie pojąć.

Widział tylko przed sobą jakąś całkiem mu nieznaną kobietę, czuł tylko, że panowanie jego nad nią się skończyło, że coś mu się

z ręki wymknęło, że to, co tak silnie w ręku trzymał, wyśliznęło się z jego mocy niepojętym dla niego cudem.

— Widzisz, taki mi się podobasz, spokorniałeś. Tak, tak... teraz przestałam być twoją niewolnicą, twoją panią jestem. — Ten wielki król... — spojrzała na Górskiego, urwała i odruchowo przywarła do Bieleckiego. — Patrz, jak on się śmieje!

Bielecki nie mógł oczu oderwać od Górskiego.

Twarz trupa wyraźnie się śmiała dzikiem szyderstwem, jakąś piekielną pogardą...

— Śpieszmy się!—szepnął.—Ty wyjdziesz pierwsza... Nie, nie! poczekaj!

Skradał się na palcach do drzwi, otworzył je z niezmierną przezornością, bo lękał się, by nie skrzypnęły, wyciągnął z sieni przygotowaną tam torbę ręczną, wpakował w nią z gorączkowym pośpiechem wszystkie papiery, leżące na biurku.

Śledziła z zimną ciekawością każdy jego ruch, z pogardą patrzyła na jego pośpiech.

— Myślałam, żeś ty mocniejszy. Co tak drżysz, co się tak trzęsiesz? Przecież to wszystko twoje, przed śmiercią mówił mi, że tobie

to wszystko darował — i pozwól — tu jest jego list, pisany do policji. To bardzo ważne, zostaw to na stole, tu na samym wierzchu, by było widoczne... O tak...

Odwróciła się od niego, siadła znowu na łóżku przy zmarłym, zdawało się, że całkiem o Bieleckim zapomniała. Ujęła głowę w obie ręce i patrzyła przed się, nic nie widząc.

Bielecki ochłonął. Jej wzgardliwe słowa, którychby nigdy przedtem nie ośmieliła mu się powiedzieć, oprzytomniły go zupełnie. Spojrzał na nią z tłumioną złością.

— Słuchaj — syknął — dosyć komedji!

— Nie przybieraj wobec mnie tego tonu, bo toby ci na dobre wyjść nie mogło. Teraz ja jestem panią, zrozum to! A teraz nie czas na jałowe gadanie. Wyjdź ty stąd czemprędzej. Ja tu chwilę pozostanę jako twoja arrièregarde. No! — podniosła głowę — na co jeszcze czekać? Na policję?

Bielecki szarpnął się i skierował ku drzwiom.

— Czekajże, laskę tu zostawiłeś i kapelusz. Opanuj się, człowieku! — podała mu laskę i kapelusz. — Ha, ha! ty mocny, silny człowieku, coś tak nagle zesłabł?

Obrzucił ją nienawistnem, złem spojrzeniem, zgrzytnął zębami.

— Idź już, idź, ja niedługo przyjdę, jak będę miarkowała, że już możesz się czuć bezpiecznym.

Bielecki wyszedł. Stąpał na palcach z przebiegłą, chytrą ostrożnością, stanął w korytarzu, nasłuchiwał na wszystkie strony, a potem — czuła to, bo słyszeć nie mogła — ześliznął się jak wąż po poręczy schodów na dół.

— Jaki przezorny! — pomyślała — nawet torby nie zapomniał.

Zapadła na chwilę w nawpół senne majaczenie — położyła głowę na piersi Górskiego.

„Żegnam cię, głowo święta w cierniowej koronie..." — śpiewała jej dusza rozpaczną, beznadziejną pieśń „Gorzkich żalów" w Wielki Piątek.

Z jaką żarliwością całowała wtedy wszystkie pięć ran żelaznego, pozłacanego Chrystusa, rozpiętego na drewnianym krzyżu!... Kiedy — kiedy to było?

Jęknęła — zamajaczył jej się dom rodzinny — ojciec, matka, bracia, siostry...

— O, o! — skomlała i wkuliła się w siebie.

Przepadło — przepadło!

Zerwała się!

Teraz wszystkiemi siłami musi się bronić. Byle tylko przytomności nie stracić... Była tak wyczerpana tą straszną nocą, że słaniała się na wszystkie strony.

— Nie poddawaj się — szeptała do siebie — zbierz resztę sił; teraz musisz być silną, mocną. Zrobił cię panią — mocną być musisz, by móc zapanować...

Odruchem poprawiła włosy, nałożyła kapelusz, raz jeszcze spojrzała na piękną, uśmiechniętą twarz Górskiego i wyszła po cichu.

A dusza jej śpiewała bezustannie:

„Dobranoc, głowo święta w cierniowej koronie..."

V

Bielecki rozglądał się roztargniony po niewielkiem atelier.

Siedział na niskim stołku. Oczy jego błądziły po ścianach, na których wisiało mnóstwo obrazów, raz po raz spoczęły na coraz to nowych płótnach, które Borsuk z wszystkich kątów wyciągał i przed nim rozkładał.

— Szkoda, szkoda, żeś rychlej nie przyszedł. Co najlepsze posłałem na wystawę do Petersburga. I pomyśl tylko, że wszystkie obrazy utkwiły na cle, czy też — nie wiem dokładnie — zdaje się, że Duczmal...

— Co za Duczmal?

— No — mój przyjaciel — on miał się tem zająć, przyrzekł, że wykupi — a to tymczasem leży, czy na komorze celnej, czy też— a bo ja wiem zresztą... Pisałem do Komitetu

wystawy, — ale oni nic o niczem nie wiedzą... Ale mniejsza o to... Patrz—wyciągnął z całego zapylonego, zakurzonego stosu płócien jedno mocno już podniszczone — patrz: tego nie widziałeś...

Rozłożył płótno na ziemi.

Był to portret dziewczyny, czy też młodej kobiety, namalowany z ogromnym rozmachem, z jakąś zaciekłą, namiętną nienawiścią.

Ten portret przykuł nagle całą uwagę Bieleckiego.

Z ciemnego, prawie czarnego tła wyłaniała się drobna twarz, okolona wichurą czarnych, gęstych włosów, z szeroko rozwartemi oczyma.

Całe piekło złych, przewrotnych myśli, drapieżnych pragnień, rozpasanych namiętności paliło się w tych oczach, a wokół ust kwitł słodki, czysty, dziewiczy uśmiech.

Borsuk strzepnął grubą warstwę kurzu z obrazu i teraz ujrzał Bielecki całą postać.

Siedziała smukła, cicha, spokojna, z jedną nogą założoną na drugiej, a na ręce opartej na kolanie, w małej dłoni z szeroko rozpostartemi, długiemi a wąskiemi palcami spoczywała ta tajemnicza głowa.

Bielecki chciał się zapytać, czyj to portret,

ale Borsuk wyciągnął już z kąta jakieś więcej jeszcze podniszczone płótno.

— To tam głupstwo. Czekaj, pokażę ci coś lepszego... Ha! tu jeszcze jedno, czego nie widziałeś — no — no! i to ci muszę pokazać...

Ale Bielecki zdawał się nic nie słyszeć. Był cały jak zahypnotyzowany oczyma kobiety z portretu, oczyma, w których artysta, jakby w zdumiewającem, nieświadomem jasnowidzeniu, wywlókł z przepastnych głębi, poza tysiącem masek, poza gęstemi zasłonami ukrytą istotną jej duszę: złą, przewrotną, zbrodniczą. Z poza słodkiego uśmiechu, dziewiczej czystości ust, tem potworniejszym blaskiem gorzały te oczy...

— Kto to jest? — zapytał Borsuka, który stał z nowemi płótnami w ręku, by je przed nim rozłożyć.

— To to... — Borsuk zmieszał sie trochę — to dziewczyna sobie, ot tak... No, tobie powiedzieć mogę — przychodzi tu do mnie — mój model. Jestem jej wdzięczny, bo pozuje mi darmo — a wiesz, u mnie strasznie krucho z pieniędzmi... To tylko szkic, narzuciłem go w parę godzin. Zresztą ciekawa dziewczyna. Potrzebuję jej głowy do jednego obrazu, który

mi się już oddawna w głowie majaczy, ale jeszcze nie wiem, co z tego będzie... To, co widzisz, to nic nie warte... to tylko jeden błysk. Dziwi mnie, że ten szkic cię tak zainteresował: oczy fatalnie zrobione. Ma słodkie, kochane oczy, a tu — przypatrz się tylko — djabli wiedzą, skąd się to wzięło — patrzył uważnie na obraz — te oczy są całkiem obce — wcale do jej twarzy nie przynależą...

Borsuk zastanowił się nagle.

— To dziwne — wiesz... rzeczywiście nie rozumiem, skąd się te oczy do tej twarzy przyplątały. Chyba je wyśniłem, bo w rzeczywistości te oczy są całkiem inne...

Bielecki spojrzał z ciekawością na szczerze zakłopotaną twarz Borsuka.

— Sam nie wie, co maluje — pomyślał, — nie zdaje sobie sprawy z tego, co w jasnowidzeniu ujrzał. Ochl jak te oczy przynależą właśnie do tej twarzy, jak zdumiewająco licowała słodycz uśmiechu z tą złą, zachłanną potęgą wyrazu oczu...

— A tam co masz? — pytał obojętnie.

— Poczekaj chwilę. — Borsuk przymrużył oczy i wpatrywał się uporczywie we własny obraz. — Całkiem nie rozumiem, co to ma

znaczyć... Te oczy wyglądają złe i nienawistne... prawda?... No tak!... miałem widocznie coś innego na myśli... Zresztą niezadługo tu przyjdzie, to ją poznasz. Aż mi się przykro zrobiło, że tej kochanej dziewczynie takie złe ślepia namalowałem... Ale patrz tu — rozrzucił nowe płótno przed Bieleckim.

— Doskonałe — powiedział Bielecki roztargniony — ale już jestem zmęczony. Przyjdę tu znowu do ciebie za parę dni, to mi resztę pokażesz.

— Masz słuszność. Dwie godziny na oglądaniu obrazów spędzić, to za dużo... Pewno cię to mocno znużyło. Ale wybacz mi, jam tak serdecznie rad, żeś wreszcie przyszedł, a może sam nie wiesz, jak mi na twoim sądzie zależy.

Bielecki rozgrzał się nagle.

— Słuchaj Borsuk, ja ci pomogę. Tyś dzieciak i fanatyk. Ja wiem, jakie ty ofiary dla twej sztuki ponosisz, wiem, że się głodzisz, a ostatni grosz wydajesz na płótno i farby... No! nie zaprzeczaj — przede mną nie potrzebujesz mieć tajemnic... ja — urwał na chwilę — ja, zdaje się, niedługo wypłynę. Posłałem dramat na konkurs i mam prawie pewność,

że zyskam pierwszą nagrodę. Jakieś tam głupie tysiąc rubli, to nic, ale rozgłos — imię odrazu — i... i — grymas wykrzywił jego twarz — i ni stąd, ni zowąd jest się powagą — laureat! rozumiesz, co to znaczy? laureat! Dziś moje nazwisko nic nie znaczy, jestem prostym dziennikarzem, a za jaki tydzień już będę chlubą narodu! Ha, ha, ha... wtedy jako laureat będę takim panem, że jak powiem: to jest białe, to choćby było czarne jak noc, będą mi wierzyć, że jest białe... Tyś dzieciak, ty masz w sobie tę dziecięcą naiwność, że ci się zdaje... co tobie właściwie się zdaje? Prawda, ty myślisz w przeświadczeniu twej wielkiej mocy jako artysta, że prędzej, czy później wypłyniesz bez protekcji żadnej, bez reklamy, że będą się musieli ukorzyć przed talentem — głupstwo, braciszku — wierutne głupstwo... musi nasamprzód przyjść wielki, potężny, przez wszystkich uznany i szanowany laureat, czy też taki pan w palmami wyszytym fraku. Ten dopiero chwyta głupi motłoch za kark i krzyczy mu nad uchem: ten, o którym ci mówię, jest iście wielkim... A głupi, pokorny motłoch powtarza z głębokiem nabożeństwem; zaiste, on jest wielkim... Zresztą co tobie o tem gadać? — i tak tego nie

zrozumiesz — a ja ci powiadam, gdyby nie było Lemaître'a, pies, kot nie wiedziałby o Maeterlincku, — bez jego królewskiego majestatu Ludwika II Wagner byłby z głodu zdechł.

Bielecki umilkł niespokojnie i błądził między porozrzucanemi na wszystkie strony płótnami.

Przystanął.

— Ty jesteś całkiem niepoczytalny i wprost haniebnie postępujesz z twojemi dziełami. To wszystko się tu niszczy nieoprawione, zababrane w kurzu, śmieciach — niech się tu rzuci przypadkowo zapałkę, zapruszy się ogień od papierosa, a cały twój dobytek twórczy na nic — wszystko z dymem pójdzie...

Borsuk słuchał z wytężoną uwagą.

— Więc co? co? — pytał bezradny.

— Pytasz, co?

Bielecki zamyślił się.

— Czekaj — zaraz — zaraz... Aha! powiedziałem ci, że jak tylko zostanę laureatem, to wtedy — rozumiesz chyba, że będę mógł być twoim ojcem chrzestnym... ha, ha... twoim Lemaîtrem — twoim Ludwikiem II, oczywiście bez pieniędzy jego, ale na to nie potrzeba pie-

niędzy. Słyszałeś pewnie o Kościuszce, że spotkał rymarza gdzieś na Starem Mieście w Warszawie, który w ostatniej nędzy chciał się powiesić... Kościuszko kazał mu dla siebie zrobić rajtpejczę — w przeciągu miesiąca rymarz-nędzarz stał się zamożnym mieszczaninem. Cała Warszawa konna, jeżdżąca, wożąca zleciała się z obstalunkami do onego rymarza... ha, ha, ha...

Borsuk kiwał smutnie głową.

— To wszystko dobre, lękam się tylko, że, zanim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje.

Bielecki uśmiechnął się dziwnie.

Czekaj, pomyślał, będę dla ciebie słońcem, które jeszcze przed rosą wzejdzie.

— Ty jesteś strasznie nieporadny — ja się do ciebie przywiązałem — może jesteś jedynym człowiekiem, z którym mnie coś wiąże i... — urwał nagle.

— Dlaczego ty twoich obrazów nie zabezpieczysz na wypadek ognia?

— Skąd ogień? Po jakiego psa ogień?

Bielecki nasrożył się.

— Kiedy ci mówię, że masz twoje obrazy od ognia lub od wszelkiego innego wypadku zabezpieczyć — to zrób to.

— Nie mam pieniędzy!

— To ja ci na to dam...

— Ani mi się śni brać od ciebie pieniądze.

— To ci pożyczę.

— Nie wiem, czy będę mógł oddać.

— Ja ci przysięgam, że mi oddasz, przysięgam ci, że już za kwartał mi oddasz.

Borsuk pomyślał chwilę.

– Ale ja jestem winien od pół roku za atelier...

— Mam dla ciebie nowe, doskonałe, idealne poprostu...

Bielecki gorączkował się, miał ochotę krzyczeć do uszu Borsuka: nad szopą suchego siana! ale pohamował się.

— Idealne atelier mam dla ciebie — rozumiesz? a z twoim teraźniejszym gospodarzem się ugodzę...

— A więc rób, jak chcesz... pożyczę od ciebie pieniędzy, jeżeli mi dasz słowo, że będę ci je mógł po trzech miesiącach zwrócić.

— Daję ci słowo na to.

— Więc co mam zrobić?

— Zabezpieczyć wszystkie twoje obrazy od wszelkich możliwych wypadków, któreby je mogły zniszczyć — I to zaraz masz zrobić,

sam ci agenta przyszlę. To nie będzie dużo kosztowało, a resztę sam załatwię — zgoda?

— Zgoda! — rzekł Borsuk z ciężkiem zakłopotaniem.

Bielecki usiadł i milczał długo.

— Babka mi umarła — rzekł wreszcie — odziedziczyłem tysiąc rubli, z tych trzysta ci pożyczam — milcz! do jasnego pioruna — pożyczam ci na trzy miesiące — i raz jeszcze daję ci słowo, że w tym czasie mi całą tę sumę zwrócisz.

Wyciągnął trzy sturublowe banknoty i prawie przemocą wetknął je do kieszeni kamizelki Borsuka.

Ktoś zadzwonił.

— To ona! — szepnął Borsuk, zaraz zobaczysz, że jej portret nic nie wart.

Podbiegł ku dzwiom i otworzył je.

— Dzień dobry!

We dzwiach stała wysmukła dziewczyna, skromnie, ale wytwornie ubrana.

— A — spojrzała zdumiona na Bieleckiego — może przeszkadzam?

— Nie! gdzieżtam, to mój przyjaciel Bielecki... panna Karska — przedstawiał.

Bielecki podszedł ku niej.

Podała mu rękę.

— Może pan sobie moje zdumienie wyobrazić, że w atelier Borsuka spotykam obcego człowieka — powiedziała to swobodnie, z lekkim uśmiechem.

Bielecki skłonił się.

— Ja nie jestem tu obcym, my się dawno z Borsukiem znamy — tylko tak się fatalnie złożyło, że już prawie od roku się nie widzieliśmy.

I w tej samej chwili skrzyżowały się ich spojrzenia,

W jednej sekundzie obrzuciła Bieleckiego oczyma i uśmiechnęła się przyjaźnie.

I on się uśmiechnął jakby do dawnej znajomej.

— Przed chwilą podziwiałem portret pani...

— Prawda, że dobry?

— Fatalny, całkiem chybiony — mruczał Borsuk — dziś zobaczyłem mnóstwo błędów...

Patrzał uważnie na Karską bystremi, zimnemi oczyma, jakiemi się ogląda martwy przedmiot zbytku, a nie żywą istotę.

Patrzy na nią, jak sportsman na klacz wyścigową, pomyślał cynicznie i uśmiechnął się.

W lot pochwyciła jego uśmiech — natar-

czywe wpatrywanie się w nią Borsuka zniecierpliwiło ją nagle.

— Cóż pan tak wlepia we mnie oczy?

Borsuk zmieszał się.

— Niech to tylko panią nie denerwuje... ja chciałem tylko popatrzeć świeżemi oczyma na panią — ja... obrócił się nagle, wyciągnął ze stosu walających się po podłodze płócien jej portret i jakby zapomniał o całym świecie, wpatrywał się naprzemian w nią, to znowu w płótno...

Stała uśmiechnięta, i znowu spotkały się jej oczy z badawczem, prawie natarczywem spojrzeniem Bieleckiego.

Jakby go na gorącym uczynku schwyciła...

Wyciągnął papierośnicę:

— Pani pali?

Wzięła papierosa, zapaliła, obejrzała się, gdzieby mogła usiąść.

Bielecki usunął ze stołka mapę z rysunkami i podsunął go ku niej.

Borsuk był mocno zakłopotany.

— Niech pani wybaczy, tu taki straszliwy nieład, ja także roztargniony — ale, proszę cię, siadaj, siadaj, zwrócił się do Bieleckiego, obejrzał się bezradny. W kącie, za sztalugą stał

jeszcze jeden stołek, ale tak zawalony kartonami i płótnami, że trudno go było wydobyć. Jednym zamachem zwalił to wszystko na ziemię.

— O — o jeszcze jest jeden.

— A ty?

— Ja postoję, ja nigdy nie siedzę — przystanął we drzwiach, przymrużył oczy — mózg jego zdawał się wytężenie pracować... no! to chyba nie — pomyślał Bielecki — mózgu nie ma, tylko oczy, oczy go nie mylą — mózg mu przeszkadza... Oczy go nie mylą — jego oczy niezawodne — popatrzył ukradkiem na Karską.

Siedziała, jakby z trudem myślała, czem rozmowę nawiązać. Oczy jej były jakby mgłą przysłonięte, ciężkie powieki zakrywały je do połowy, na małej, smagłej twarzy widać było znużenie.

Czuła widocznie, że na nią patrzy. Powoli, leniwie podniosły się delikatne wieka jej oczu, a z pod ciemnych rzęs wypełzło długie, badawcze spojrzenie w stronę Bieleckiego.

Wiedział, że na niego patrzy, schylił się, podniósł jakiś szkic z podłogi i jął mu się pilnie przypatrywać.

Milczenie, które nagle zaległo w atelier, snać ocuciło Borsuka.

— Przepraszam, jak najmocniej przepraszam — Borsuk ustawicznie przepraszał — ale taki byłem zaniepokojony portretem pani... tak, teraz widziałem doskonale, malowałem go jak nieprzytomny, myślałem o moim obrazie, który mi się już dawno majaczy i zrobiłem z pani całkiem coś innego...

Bielecki uśmiechnął się mimowoli, ale w tej samej chwili spoważniał, czuł jej oczy na swej twarzy gdyby dotyk czujnych macek...

— Jeżeli pan nie jest zadowolony — głos jej drżał lekkiem zniecierpliwieniem — to może pan nowy portret rozpocząć — a tamten przyda się panu do jego obrazu — czy tak?

— Och, jak ja pani jestem wdzięczny — to pani rzeczywiście zechce mi jeszcze parę godzin pozować?

— Ależ oczywiście...

Bielecki łamał sobie głowę, co to wszystko miało znaczyć. Borsuk niedawno nazwał ją taką sobie ot — dziewczyną-modelem, który mu darmo pozuje, a tu nagle wyszukana grzeczność wobec niej; ona sama nie wygląda zupełnie na jakiś tam model — taki pierwszy lepszy z ulicy... jak najwidoczniej nią gardzi; sam o tem nie wie, nie zdaje sobie sprawy,

ale dusza jego odtrąca ją, bezwiednie wyrzuca z siebie — nie wie, nawet nie przypuszcza, że ją nienawidzi. Zdumiewające: przeniknął ją do głębi, ujrzał ją taką, jaką jest, a mózg jego ślepy i głuchy... A może jest taki stosunek między nimi?

Spojrzał uważnie na Borsuka.

— Nie! wykluczone! ta prosta, jagnięca dusza nie umiałaby przybrać maski. To romantyk, który coś czuje, a nie wie co. Jego oczy niezawodne, ale nie łączą się z mózgiem... Jak on na nią patrzy — ciekawe; oczy jego wszystko widzą, ale on sam nic, nic...

— Nie masz czego do picia? — zagadnął wesoło Bielecki.

Borsuk zmieszał się. Ale nagle przypomniało mu się widocznie, że ma pieniądze.

— Ja w tej chwili skoczę. Czego byście się państwo napili?

— Jeżeli nic nie masz, to daj spokój.

— Ależ w tej chwili, co chcesz, co łaskawa pani sobie życzy? Tu zaraz obok — jeden skok... Zaraz, zaraz, w tej chwili...

Nie czekał na odpowiedź i wybiegł z pokoju.

— Pani go już dawno zna? — zapytał nagle Bielecki.

— Od miesiąca.

— A jakeście się państwo poznali? Pani wybaczy to pytanie, ale jestem rzeczywiście ciekaw, jak ten odludek...

— Poznanie się nasze — przerwała — istotnie ciekawe. Poszłam raz do opery na miejsca, na których najinteligentniejsza publiczność podobno bywa — na piąte piętro... Dawano „Walkirje" Wagnera, ale w żaden sposób nie mogłam uwagi skupić, bo czułam, że mi się ktoś w całkiem niekulturalny sposób przypatruje... Było to tak irytujące, że wszystkiemi siłami się broniłam, by się nie obejrzeć — nagle w antrakcie podchodzi do mnie jakiś obcy mężczyzna i mówi niezmiernie grzecznym, ale stanowczym głosem: „ja muszę panią namalować". Przez jedną chwilę się przestraszyłam, bo przyszło mi na myśl, że może mam do czynienia z obłąkanym...

Widział mój zdumiony i wystraszony wzrok, jął mocno, jak najmocniej przepraszać, ale prosił mnie, bym koniecznie zaszła do jego atelier... Zawiązała się zwolna między nami rozmowa — nazajutrz przemogła ciekawość, za-

szłam tu... no! i pan rozumie, jestem kobietą, trudno się było oprzeć pokusie, być namalowaną przez artystę tej miary, co on... Ot, i cała nasza znajomość...

— A pana — uśmiechnęła się tajemniczo — znam już oddawna z widzenia.

— Gdzie mnie pani widywała?

— Dosyć często w towarzystwie młodej i bardzo przystojnej kobiety... w kawiarni Szotta...

— Dziwna rzecz, że ja pani nigdy nie widziałem.

— Trudno było mnie zauważyć, siedziałam zwykle gdzieś w kącie. Pan wraz ze swoją towarzyszką, otoczony lajbgwardją, niech się pan nie gniewa, ale tak nazywają ogólnie otoczenie pańskie...

— Kto je tak nazywa?

— Czyż to panu nie obojętne, kto mnie informował?

Spojrzeli na siebie i zaśmieli się wesoło.

— A co pani o mnie mówiono?

— To pana zaciekawia?

— Nie, zupełnie nie. Fałszywe zapytanie postawiłem — co o mnie ludzie mówią, to

mi zupełnie obojętne — zaciekawia mię tylko, co pani o mnie mówiono.

Spojrzała na niego przeciągle.

— Panu istotnie na tem zależy, bym na jego pytanie odpowiedziała?

— Tak!

Przechyliła się, objęła rękami kolana i zaśmiała się sucho:

— Trzeba się pana strzedz...

— Ha, ha... przedstawiono mnie pani jako coś w rodzaju Sienkiewiczowskiego Leona invincible — prawda? Doskonałe, ha, ha, ha...

— Istotnie coś w tym rodzaju.

Roześmieli się wymuszonym śmiechem i nagle umilkli — między nią a nim jęły się dzierzgać nici, wiązali je świadomie w gęstooką siatkę.

Wzajemnie ją sobie w duszę zarzucali.

Teraz będziemy ryby łowić — pomyślał Bielecki i zaśmiał się cicho.

— Czego się pan śmieje?

— Nie weźmie mi pani za złe, jeśli szczerą prawdę powiem?

— Nie, przeciwnie — spojrzała na niego wyzywająco.

— Zapuściłem wędkę w duszę pani, bo chciałem panią poznać...

— Zabawne, bo w tej chwili to samo zrobiłam...

— I co?

— Zdaje się, że to całkiem niepotrzebne.

Nic nie odpowiedział, tylko ich oczy schwyciły się z dziwnem, zimnem pragnieniem.

Wyciągnęła milcząco swoją drapieżną rękę — i jak oślizgły wąż wsunęła się jej wąska dłoń pod mankiet, rękaw marynarki i koszuli, ujęła jego ramię i wpiła ostre paznokcie w nagie ciało...

Syknął z bólu.

— Boli? — spytała cicho.

— Nie! — ujrzał jej oczy takie, jakie je Borsuk namalował: złe, chciwe, przewrotne i zimne.

— Jeszcze nie? — Wpijała coraz głębiej ostrze paznokci w ciało jego przedramienia.

— Słodko? — pytała.

Schwycił ją za rękę, przegiął w tył i szarpnął nagle ku sobie.

— O mało co, a byłbym cię zwalił ze stołka, wybacz... — roześmiał się głuchym, cynicznym śmiechem.

— O mało co, a byłabym się paznokciami do kości dobrała.

Słychać było, jak Borsuk po schodach na górę wbiegał.

— Będziesz moją?

— Będziesz moim?

Jak dwa brzeszczoty szczęknęły o siebie ich spojrzenia.

Chciał coś odpowiedzieć, ale nagle się opamiętał, bo czuł, że się czuje pod jej mocą.

Drzwi się otworzyły, i Borsuk wpadł zdyszany, rozpromieniony do atelier.

— To był kapitalny pomysł! Od dwóch miesięcy nic nie piłem, żaden Eleuteryk nie był więcej wstrzemięźliwszy ode mnie...

Wyciągnął jakąś szklankę nadszczerbioną, kubek, kieliszek z obtłuczoną podstawą.

— Wybaczcie, drodzy państwo, ale nie myślałem, że będę miał tak zacnych gości — Borsuk nalewał koniak, łyknął łapczywie jeden i drugi kieliszek...

— A to był rzeczywiście kapitalny pomysł, człowiek czuje się całkiem inny...

— Ja w Rosji nauczyłem się ze szklanki

pić — Bielecki nalał sobie pół szklanki i wychylił jednym haustem.

— To i ja spróbuję — Karska uśmiechnęła się i podstawiła kubek.

Bielecki nalał połowę.

Wypiła bez zakrztuszenia się. Brawo! Borsuk wpadł w zachwyt.

Idealny spust, jak na kobietę, pomyślał Bielecki. Nim słońce wzejdzie, będziesz moją. Tylko się nie poddać, trzeba pójść z batem—biczyskiem, mieć siebie w garści, by się nie dać opanować. Będę się miał na baczności, postanawiał, by mnie nie opętała. Posiąść i rzucić, albo też i wracać, ale bez zobowiązań, bez ckliwego sentymentalizmu — po napoleońsku... A kto wie, może mi się na co przyda, ujarzmię ją, zrobię z niej moje narzędzie... Straszna rzecz dostać się w moc kobiety... Zadrżał, a myśli jego krążyły wokół Łucji. Teraz Łucja ma mnie w swoich rękach — może mnie w każdej chwili zniszczyć, jeżeli zechce—jednem słowem wytrącić z drogi, którą tak uciążliwie, z taką zaciętą wytrwałością i narażaniem się drapałem się w górę.

Dzikim gniewem zabłysły mu oczy—nalał sobie znowu pół szlanki i wypił.

Przy tej tu odetchnę, zapomnę, upiję się— raz chociaż w życiu upiję się i będę miał spokój.

Borsuk był po paru kieliszkach silnie podniecony, coraz to nowe płótna wywłóczył z wszystkich kątów, mówił, tłumaczył, opowiadał... każdy jego obraz miał jakąś długą, zawiłą historję... Tam, ta tańcząca huculka— ile to trudu kosztowało, zanim ją namówił, by mu pozowała, a nagle na trzeci dzień, kiedy już połowę obrazu namalował, uparła się i niczem nie dała się wzruszyć, nie chciała dalej. Powiedziano jej, że stanie się pośmiewiskiem dla ludzi, że jej obraz będzie obwożony po wszystkich jarmarkach... I co tu teraz robić? Obraz niedokończony, a mógłby być bardzo dobry... Tam, ta czapla nad rzeką — oswoił ją tak, że chodziła za nim jak cielak, całkiem jak cielak, ale niech Bóg broni, by się ktoś obcy do niej zbliżył, w tej chwili skakała z dziobem do oczu. Raz jakiemuś chłopakowi skaleczyła oko, o mało go chłopi nie zabili, a biedną czaplę rozjuszone chłopstwo zatłukło.

Bielecki nie słuchał opowiadań Borsuka, wsłuchiwał się w siebie—jakaś daleka, ciemna myśl, której jeszcze zabraniał przestąpić próg

świadomości, coraz jaśniej się kształtowała, natarczywie kołatała do zamkniętych, ale słabych bram. Jeden jeszcze, drugi szturm, a zapora pryśnie — daleka, ciemna myśl stanie się postanowieniem... nie, jeszcze nie! Wiedział tylko, że się coraz słabiej broni...

Ujrzał nagle te złe, zbrodnicze oczy z obrazu Borsuka — tak go dziwnie zachęcały do czegoś, wbijały w jego chwiejną, niepewną, niejasno jeszcze ukształtowaną wolę, gdyby iglaste ostrogi, a teraz czuł dokładnie, jak się te oczy całkiem dotykalnie po nim obślizgiwały, dwa świdry wwiercały się zwolna w ciemny, chaotyczny kłąb jego myśli, które jeszcze myślami nie były... czuł, że jeszcze chwila, a dotrą do jądra, światło buchnie, to światło, którego się jeszcze lękał...

I nagle zrozumiał, czem go ta kobieta, od pierwszej chwili, kiedy ją jeszcze tylko na portrecie ujrzał, tak nieprzeparcie pętała...

Dotyk jej oczu czuł teraz jak kłócie szpilkami — złą bolesną podnietę, ale poddawał się jej z jakąś przyczajoną, chytrą rozkoszą, bo była mu potwierdzeniem tego, co się jeszcze opierało wcieleniu w postanowienie.

— Co się pan tak głęboko zamyślił?

Bielecki spojrzał jej nagle całym sobą w oczy.

Przymknęła powieki, jakby ją ktoś silnemi pięściami w oczy uderzył, ale w tej samej chwili otworzyła je przyjazne, porozumiewawcze, pełne siły i woli.

I tak się ich spojrzenia pętały, zmagały w chytrych, podstępnych zapasach, to znowu w przyjaznych uściskach, badawczych przeszpiegach, to znowu w pożądliwych porozumieniach — zachęcaniu i potwierdzaniu.

Trwało to długą chwilę.

Borsuk patrzył zdumiony, przerwał nagle opowiadanie, jakaś nagła błyskawica rozjaśniła mu mózg.

To ja się nie pomyliłem... Te oczy, które namalował, to rzeczywiście jej oczy i... zatrząsł się: jego oczy, Bieleckiego, te same — patrzył osłupiały: te same!

Ogarnęło go przerażenie, jakby spojrzał nagle w jakąś ciemną, ohydną przepaść. A lęk jego wzmógł się nagle do jakiegoś panicznego strachu, jaki uczuwa człowiek, gdy się za chwilę ma stać coś strasznego, a co tylko ciemnem przeczuciem wokół niego krąży...

Karska pierwsza się opanowała.

— Co się tak cicho zrobiło?

Spojrzała na Borsuka i zlękła się. Miała wrażenie, jakby ją ktoś obcy nagle nagą ujrzał.

— Państwo milczą, ale też u mnie rzeczywiście bardzo nudno. — Borsuk silił się, by ukryć swoje zmieszanie. — Ale, ale, dlaczego państwo nie pijecie? — Głos, który miał być niezmiernie uprzejmym, brzmiał ostro i obco.

— Co mu się nagle stało? — pomyślała Karska niespokojnie i patrzyła badawczo na Borsuka.

Ale i on nie wiedział dokładnie, co się stało, nie zdawał sobie sprawy z całego zamętu uczuć, myśli niejasnych; to jedno tylko wiedział, że był świadkiem czegoś złego, czegoś, przed czem jego dusza ze wstrętem uciekała, a równocześnie miał uczucie wstydu, jak człowiek, który mimowoli kogoś w czemś podpatrzył i wdarł się w obcą tajemnicę.

To wszystko kotłowało w jego mózgu czystego, naiwnego dziecka, zamącało i zamulało przezrocze jego duszy.

Nie umiał się maskować i posowiał.

Ona? pal ją pies, co go ona obchodziła — ale on — on... niel stanowczo się pomylił,

w jego oczach odbiły się jej oczy złe i to wszystko — odetchnął... Wpatrywał się ukradkiem w Bieleckiego...

Pomylił się, stanowczo się pomylił — te jasne, dobre, rozumne oczy... przejrzała się w nich jej zła dusza jak w pięknem zwierciadle szpetna twarz — i to wszystko.

Uczuł nagle jakąś gwałtowną, nieprzezwyciężalną nienawiść ku tej kobiecie, nagłą, piorunującą, jak u pierwotnego człowieka. Zrozumiał, że tę nienawiść do niej już dawno nieświadomie w sobie nosił, że nie sposób mu dłużej wytrzymać w jej towarzystwie: nie wiedział, co z sobą począć, jak się wykręcić, i nagle znalazł upust w przeciągłym, nerwowym śmiechu.

— Psiakrew, upiłem się.

— Prześpij się, to ci dobrze zrobi. — Bielecki wstał, wyprostował się, jakby się ocknął.

I Karska wstała.

— Pan nie pijany, tylko bardzo znużony... No, ale kiedy mam panu pozować do nowego portretu?

— Wie pani, ja się pomyliłem — jąkał się Borsuk — artysta zwykle nie ma dystansu do swego tworu. Ten portret, który zrobiłem —

dziś to widziałem — doskonały — lepszego-bym zrobić nie mógł — żaden mistrz, choćby największy, nie zrobiłby lepszego...

— Chodźmy — przerwał Bielecki i ujął Karską pod ramię, jakby już dawno do niego przynależała.

— Pamiętaj tylko — zwrócił się do Borsuka — zrób to, com ci mówił.

Pożegnanie było sztywne i milczące.

Borsuk uczuł się boleśnie, przeraźliwie trzeźwym.

VI.

Szli razem, jakby się już od dawna znali. Wieczór zapadał. Na ulicach roiło się od ludzi. Po skwarnym dniu wszystko wyległo na ulicę, by szukać orzeźwienia — ale napróżno. Nad miastem znęcać się zdawało parne, duszne powietrze, a niebo wyglądało jak olbrzymia ołowiana blacha, roztoczona nad miastem, do białości rozpalona rozjuszonym ogniem obłąkanego słońca.

— I to już tak cały miesiąc — pomyślał Bielecki.

— Kiedy się te upały wreszcie skończą? — powiedział.

— Ja się bardzo dobrze czuję w tej spiekocie, marzę o całkiem innem jeszcze słońcu — gdzieś w Afryce, albo na wyspach Ognistych.

— Ale w tym wypadku niech pani ma trochę względu na mnie — ja już ledwo dy-

szę. Wejdźmy tu — o! do tej kawiarni, duża, wysoka, ciemna i chłodna.

Olbrzymia sala była teraz prawie pusta a w głębi jej rozkoszny chłód jakby w piwnicy.

— Widzi pani: tu dobrze.

Kazał podać lodów.

Osunęłą się wygodnie w kanapkę, założyła jedną nogę na drugą, nieznacznie podniosła obcisłą suknię, spojrzała uważnie w przeciwległe lustro, a potem z dyskretnym uśmieszkiem zaczęła się przypatrywać Bieleckiemu.

— Gdzieżbym ja pomyślała jeszcze przed paru godzinami, że będę niezadługo siedziała w towarzystwie pana? A przyznaję szczerze, żem dawno już pragnęła pana poznać. Dobrze wychowana kobieta nie powinna się z tem zdradzać, ale ja na szczęście nie potrzebuję na nic zważać: sąd ludzi o mnie jest mi obojętnym, jestem panią siebie, mogę sobą rozporządzać w każdej chwili, jak mi się podoba i mówić wszystko, co mi na myśl przyjdzie...

— Więc co?

— Powiedziałam już panu, żem istotnie bardzo pragnęła pana poznać, tak z nim ra-

zem siedzieć, gadać, trochę podstępnie wysondować, wkraść się na chwilę pod to ogromne czoło, rozejrzeć się, co się też tam dzieje...

— Raz po raz porządnie zadrapnąć...

— To już musi pan wybaczyć, ale gdym się dotknęła ręki pańskiej, zapragnęłam całe ciało zagarnąć, a gdym je już w palcach uczuła, musiałam drapać — to moje zboczenie... Niedawno widziałam w jakiejś nocnej kawiarni młodego człowieka, który się przysiadł do bardzo przystojnej dziewczyny — ot takiej, którą „porządne" — to słowo wymówiła z nieskończoną pogardą — porządne towarzystwo... pogardza. Nic od niej nie chciał, prosił ją tylko, by pozwoliła się szczypać, za każde uszczypnięcie płacił trzy ruble. W przeciągu godziny zarobiła biedna ofiara coś 50 rubli. Z dumą pokazywała sine ramiona, tak uczciwie nigdy jeszcze nie zarobiła.

— A gdzie to było?

— W kawiarni Koka.

Spojrzał na nią zdumiony.

— Jakto?

Zaśmiała się na cały głos.

— Słyszałam, że pan jest bohaterem najwięcej rozpustnej bohemy, a zdziwienie pań-

skie mogłoby przynieść zaszczyt nawet mniej cnotliwemu obywatelowi — No, uspokój się pan — nie należę do pół-światka, który się tam zbiera, ale lubię na to wszystko popatrzeć, z bliska się przyjrzeć — czemużby nie? Nie potrzebuję siebie na tem targowisku sprzedawać, więc tem większą, bo bezinteresowną przyjemność mi sprawia to gapienie się.

— Cóż u djabła, kto ona właściwie jest? — Bielecki zachodził w głowę, do jakiej szufladki swego mózgu ją wsadzić.

— Pan mi się tak bacznie przypatruje, bo pan nie wie, pod jakim numerem mnie ulokować. Zaraz panu służę mojemi personaliami: Lat 24. Zajęcie: model, bardzo nawet poszukiwany, model bezwzględny dla bogatych malarzy, którzy muszą grubo płacić, a bezinteresowny dla takich jak Borsuk. Ale dotychczas jego jednego tylko znalazłam, który był wart, by mu darmo pozować. Ale już teraz do niego nie pójdę... Widziałam dziś, że mnie nienawidzi.

— Może panią kocha?

— On? — roześmiała się. — Pan go widocznie wcale nie zna. On kocha płótno i farby — to fanatyk sztuki, a dla tych kobieta nie istnieje... Jak będę miała czas, to

wtedy pomyślę, dlaczego mnie dziś świadomie nienawidził, a nieświadomie z nienawiścią malował.

— Pani z domu uciekła?

— Oczywiście, ale z domu opiekuna tylko... Taki sobie poczciwy bałwan, chciał ze mnie, po wczesnej śmierci rodziców, zrobić porządną, rozumie pan? por-r-r-rządną kobietę zrobić... Ach! co to za zacna dusza była, ach, jak on nudził i groził, i skomlał, i błagał... Znudziło mnie to wszystko, kopnęłam to i teraz mi dobrze... Ał ał jeszcze ostatnią ciekawość pana zaspokoję: dlaczego pana chciałam poznać? Od pierwszej chwili silnie mnie pan zaintrygował...

— Tak jak pani mnie...

— Prawdopodobnie, bo już pan miał chyba dosyć czasu się połapać, żeśmy bardzo i blisko spokrewnieni... prawda?

— Tośmy sobie u Borsuka oczyma powiedzieli.

— Stąd jego przerażenie i jasnowidzący błysk w tym mózgu, zawalonym płótnami, farbą zaklajstrowanym.

Bielecki uśmiechnął się.

Zdawała się wcale na niego nie zważać;

pociągała przez słomkę absynt, w którym się lód topił i mówiła jakby od niechcenia:

— Pan jest pierwszym samcem...

Bielecki roześmiał się na cały głos i ona się cynicznie roześmiała.

— Niech pan zważy, że powiedziałam to w jak najlepszem znaczeniu. Dla mężczyzny jest to niezmiernie ważną rzeczą, czy jest samcem lub nie. To stanowi większą część jego rozkoszy życiowych, lub też ciężkich tragedji. Otóż pan był i jest pierwszym samcem, który zrobił na mnie wrażenie. Pan ma rodzaj tej najgorszej, najniebezpieczniejszej przystojności — *beauté du diable* — ruchy tygrysie, opanowane prawda, ale niech Bóg broni, gdyby się w skoku naprężyły. Przytem czuję, patrząc na pana, przez skórę, że gdybym panu zawadzała, to ani chwili namysłu, a łono Abrahama pewne. I wzrost pana mi się podoba. Zwykle mężczyzna jest albo za krótki, albo za długi — to już mi jeden mądry malarz uświadomił, ale pan w sam raz, wskutek czego wydajesz się pan wyższym, niż jesteś...

— Skończyła już pani? — zaśmiał się Bielecki. Już dawno tak się nie bawił.

— Zaraz — zaraz... jeżeli o panu mówię, to po cichu i tajemniczo, ale jak to bywa *où*

il y a beaucoup de fumée, il y a de feu... ha, ha, ha!... Znowu pan zdumiony francuskim frazesem w moich ustach. Nie wiem, czym to dobrze powiedziała, bo miałam już czas zapomnieć wszystko, co mi dobre — wstrząsnęła się — dobre wychowanie dało. Ale ja się pana nie boję, szukałam pana — nawet nie boję się tego, że z czasem mogłabym zostać pana kochanką — powiedziała to z cyniczną brawurą. — Widzi pan, teraz podoba mi się wyraz twarzy pańskiej — zupełnie spokojnie rozważa pan tę przyszłość, bez chełpliwości, bez smarkaczowskiej dumy, żeś pan na mnie zrobił wrażenie — pan mnie pożąda od pierwszej chwili — prawda?

— Oczywiście.

— I to właśnie uczciwie ze strony pana, żeś tego nie maskował — nie kłamał, nie tumanił. Mówiono mi, że pan jest takim — wybacz pan imienną nazwę — Don Juanem... Słyszy pan, wymawiam J jak H, a więc prawidłowo. Jeżeli pan nim jest, to w takim razie pan w swoim zawodzie sprawuje czystą i rzetelną pracę.

— Tak jest, kochana pani, miałem w tej chwili ochotę wyciągnąć moją rękę ku pani,

ale nie chciałbym, byś pani swój poprzedni eksperyment na mojem ramieniu powtórzyła.

— Byłabym to bezwarunkowo zrobiła. Gdybym miała siły po temu, tobym najchętniej zwabiła pana do mego mieszkania...

— To pani ma mieszkanie?

— Mam, mam, dwa pokoiki na strychu— strasznie tam gorąco; skrępowałabym pana powrozami, żebyś się ruszać nie mógł— oczywiście nagiego... no? bawi to pana?

— Niezmiernie... Tylko byłaby mi przykra moja nagość — Don Juanowie są bardzo wstydliwi...

— Wiem, wiem—i właśnie dlatego... Potem siadłabym obok pana i zaczęłabym orać, tak, orać ciało temi oto paznokciami— a strasznie są ostre...

— Niezgorszy pomysł, trochę literacki — coś przypomina histeryczne podrygi pani Rachilde.

— Owszem, owszem, mniejsza o to. Tylko niech pan sobie wystawi, że pan nawetby drgnąć nie mógł, a ja tak zbożnie, spokojnie i z taką głęboką powagą zapuszczam ostry pług moich palców w skórę pańską i uprawiam pracowicie ten kawałek żyjącej gleby, począwszy od szyi, po całej piersi.

— Nie głębiej? — parsknął Bielecki cynicznie, ale z niesmakiem.

— Nie! na razie ten kawałek starczyłby zupełnie.

— I co wtedy?

Spojrzała na niego z jakimś ciemnym uśmiechem.

— Co wtedy? Powiedziałabym ci: przestanę cię torturować, ale powiedz mi, czy jesteś winien śmierci Górskiego?

Padło to tak niespodzianie, że przez jeden błysk sekundy Bielecki drżał, ale w tej samej chwili opanował się.

— Jaki Górski, co za Górski?

— Ha, ha, ha!... no, ten, ten, który się otruł...

I on się roześmiał serdecznie.

— Prawda, znałem jakiegoś suchotnika Górskiego, który się podobno otruł... I co?

— Tak mi się to podobało, żeś ty go do tego zmusił.

— Kto ci to powiedział?

Pogłaskała go po ręku.

— Dziękuję ci, żeś mi powiedział „ty". Mówmy sobie ty, to niezmiernie upraszcza rozmowę.

— Miałbym ochotę cię w rękę pocało-

wać, ale boję się twoich paznokci... Ale powiedz mi, kto ci powiedział, że ja coś miałem z Górskim wspólnego?

— Kto mi powiedział? Ależ o tem nikt mi nie powiedział, ja sama to ci mówię... Twoja towarzyszka... jak ty ją nazywasz? aha, Łusia, Łusia!... ładne imię — Bielecki patrzył na nią z bezwiednym lękiem — ta twoja Łusia zbyt się afiszowała rozpaczą po zmarłym.

Ssała absynt przez długą słomkę i przypatrywała mu się bacznie. Poza zimną, obojętną, nic nieznaczącym uśmiechem wykrzywioną twarzą Bieleckiego wyczuwała nerwowe, niespokojne drżenie.

— Mnie się nie lękaj — szepnęła drwiąco.

W tej samej chwili wybuchnął tak głośnym, wesołym śmiechem, że szczerość tego śmiechu z tropu ją zbiła.

— Teraz rzeczywiście podajmy sobie ręce, ale już bez drapania — do wspólnej pracy dajmy sobie rękę... To z Górskim kapitalne! Wiesz co? Doskonały temat do powieści, albo do dramatu... Przyjaciel, który przyjaciela hypnotyzuje w śmierć — doskonałe!

Mózg Bieleckiego nigdy jeszcze tak natężenie nie pracował. Zdawał mu się być jakąś olbrzymią stacją, na którą naraz setki pocią-

gów zjeżdżały. Musiał zważać na wjazd każdego z osobna — zapalać tysiące sygnałów, przesuwać zwrotnice, ranżerować lokomotywy, wpuszczać i zastanawiać wciąż nadjeżdżające pociągi, jedna sekunda bezprzytomnego znużenia, a katastrofa pewna...

Nachylił się ku niej słodko uśmiechnięty.

— A wiesz, słyszałaś może o tem, że przed paru laty kobietę zabiłem? taką, co to się, wiesz, do mnie przyczepiła, a której innym sposobem pozbyć się nie mogłem.

Spojrzała na niego przenikliwie.

— Tak, o tem słyszałam, nawet jestem pewna, żeś to zrobił.

Skłonił się głęboko.

— Wybacz, — oczekuje cię ciężkie rozczarowanie. Ani mi przez głowę nie przeszło jej zabijać — ja całkiem do tego nie zdolny...

Parsknęła śmiechem.

I on się śmiał.

— Aż mnie wstyd, że muszę się przyznać do tego marnego tchórzostwa, a raczej tej przykrej szczerości, że całkiem nie byłbym zdolny do czegoś podobnego... Kobieta, o której mówisz, umarła jak najprzykładniej, według świadectwa lekarzy, na zapalenie ślepej kiszki...

Roześmiał się znowu.

Przymrużyła oczy i spojrzała na niego figlarnie.

— Chciałbyś na gwałt rozwiać piękną legendę o sobie. Zdaje mi się, że ci zależy na tem, bym o tobie myślała jak o innych.

— A jak?

— Jak o zwykłem samczem pospólstwie.

— Doskonaleś to powiedziała...

— A mnie nie tak łatwo w pole wywieść. Tyś jednym z najpiękniejszych okazów łotra, jakiego widziałam: słodki, przylepny, przebiegły łotr... Dlatego tak gwałtownie pragnęłam cię poznać — gotowam ci nawet wyznanie miłości zrobić, ale jeszcze nie dziś... Nie masz wyobrażenia, jaką przyjemność mi sprawiało, gdym cię raz przez całą godzinę obserwowała, jakeś w twoją pajęczą siatkę zwabiał jakąś młodą dziewczynę. To było *chef d'oeuvre* sztuki uwodzenia... Jak nieśmiało nasamprzód do ciebie podeszła, z jakim spokojem, szacunkiem, a równocześnie lekkim odcieniem zażyłości wplątałeś ją w rozmowę... z jaką natężoną uwagą słuchałeś jej nieśmiałych jeszcze słów, jak przyjaźnie, po bratersku podsadzałeś ją na drabinę, prowadzącą na twoje zawrotne szczyty. Ani nie wiedziała kiedy, nie spostrzegła się, a już przysięgała na wszystko, coś jej powie-

dział, powtarzała twoje myśli i słowa — nie miała ani chwili czasu opamiętać się... Mogłabym przysiądz, że jeszcze tej samej nocy znalazła się w twoim pokoju, święcie przekonana, że spełnia jakiś piękny, bohaterski czyn, dumna, że z nieśmiałej, głupiej gąski przedzierzgnęła się w wolną, swobodną kobietę, z pogardą patrzyła na dawne dziecinne przesądy, staroświeckie łachmanki, w które mamusia, czy też ciocia jej duszyczkę przybrały... A nad ranem — och! jak dokładnie cię widzę: ziewnąłeś, spojrzałeś na nią obojętnym wzrokiem trochę drwiącego, pobłażliwego współczucia: biedna, skrwawiona gołębica! A co? czy nie tak było?

— Trochę dłużej się przeciągnęło — ale w ogólnym zarysie mniej więcej zgadza się z rzeczywistością. Tylko to ze współczuciem się nie zgadza — byłem przeświadczony, żem wyrządził jej wielką przysługę, bom obudził w niej kobietę. Dotychczas była jakąś tam poczwarką, głupim podlotkiem, który pachnie bułką, posmarowaną świeżem masłem, a tu nagle przez jedną noc narodziła się w niej kobieta... Inna zaś rzecz, że nie doceniła ważności mojej przysługi — pomyśl tylko, na drugi dzień rozpoczęła się tragedja... Ale dajmy

temu spokój, kiedyś to mnie bawiło, dziś mnie piekielnie nudzi, ale z tem wszystkiem nie rozumiem, dlaczego ja mam być łotrem?

— Na piękniejszy i więcej zaszczytny przydomek nie mogłabym się zdobyć...

— Chyba, że tak. Jeżeli człowiek, który dużo daje, a raz po raz coś bierze, jest łotrem, to jestem nim rzeczywiście.

Spojrzała na niego pogardliwie.

— Wstydź się, poczynasz się bronić!

— Ja? — zmieszał się trochę.

— No, no... gdyby cię tak przeświecić promieniem Roentgena, znalazłaby się jeszcze na lewym boku czarna plama.

— Chwała Bogu, że się kurczy. Z dnia na dzień mniejsza i mniejsza...

Pochyliła się nagle ku niemu i mówiła cichym szeptem;

— Myślisz, żem nie zauważyła niewidzialnego prawie podskórnego dreszczu na twojej twarzy, gdym ci Górskiego wspomniała?

Był przygotowany, że znowu do tego nawróci.

— Pomyliłaś się. Przykrem mi jest wspomnienie jego o tyle, że ustawicznie jestem na siebie wściekły, iż nie umiałem, a raczej zaniedbałem wyzyskać jego mózgu. Mózg jego

był niezmiernie ciekawy, choć więcej jeszcze laurowy i ciemny, niż Norwida.

— No, a twoja Łusia?

Uśmiechnął się cicho.

— Łusia? Łusia? — I na to pytanie był przygotowany, a jednak, gdy nagle to imię posłyszał, uczuł we wnętrzu drżenie.

— Łusia? — powtórzył — to rozdział sam dla siebie, ale już zamknięty...

— Wczoraj was widziałam — nigdy serdeczniej i bliżej, i dziwnie właśnie, w tak krótkim czasie po pogrzebie Górskiego... Widziałam ją wtedy, jak się skryła na cmentarzu za drzewem i zanosiła się od płaczu.

— Bardzo możliwe. Jej dusza zachwaszczona sentymentem. W żaden sposób tego wyplenić nie mogłem... Pewno wcale nad śmiercią Górskiego nie płakała. Rozczulała się poprostu sama nad sobą.

— Dlaczego?

— Widocznie nie może się z tem pogodzić, co ty we mnie pięknem nazywasz, śnią się jej jeszcze kwitnące pola rodzinnej wioski, kościołek na górze, siwe włosy tatusia, stroskana twarz mamusi — ochl ochl Jeżeli umiesz grać na fortepjanie, to zagraj sobie „*souvenir de ma chaumière*“ i „*Prière d'une Vierge*“, nie-

zrównanej, nie dość jeszcze przez naszą twardą, cyniczną duszę docenionej Bandarzewskiej — a wtedy zrozumiesz, dlaczego Łusia płakała na pogrzebie Górskiego...

Podniecił się nagle.

— Tyleś mi mówiła o mnie, pozwól, że ja o tobie coś powiem... Ty zdajesz się nie być wcale kobietą, jeżeli Łusi nie rozumiesz... Duszyczka młodej dziewczyny żądna niezwykłych wrażeń, niesłychanych przygód, chętna do przewrotów, rewolucji, rozszarpywania kajdan; imponuje jej siła, moc i odwaga — nęci ją łotrostwo i nonszalancja, z jaką się prawa depcze, a niekiedy i zbrodnia sama, ale niezadługo przychodzi reakcja — ciężki katzenjammer, i wtedy na wszystkich rejestrach jej duszy rozbrzmiewa boleściwa „Modlitwa Dziewicy"... Nie, nie — ty całkiem nie jesteś kobietą...

Umilkł nagle, zaczaił się, patrzył na nią i raz po raz rozglądał się dokoła.

Karska ssała przez długą słomkę drugi już absynt, stała się bardzo poważną i nie spuszczała go z oczu.

Ogarnął go niezrozumiały niepokój.

Karska roześmiała się nagle suchym, złym śmiechem.

— A więc jednem słowem: Łusia wymyka się, czy też wymknęła się z pod twej władzy i to cię wścieka.

Wycedziła to zwolna, nie wyjmując słomki z ust.

— O mało co, a byłaby w sedno trafiła— pomyślał Bielecki, ale tak już zdołał się opanować, że go niczem zaskoczyć nie mogła.

— Z głęboką rozkoszą wyczułem w tem, coś teraz powiedziała, odcień zazdrości...

Spojrzała na niego z gniewnem pytaniem, ale w tej chwili spoważniała jej twarz.

— Słuchaj! ty i ja — tak! może ci to obojętne, ale my należymy do siebie, chcąc nie chcąc — więc ty i ja nie potrzebujemy się zabawiać w kota i w mysz — mówmy z sobą otwarcie.

I on spoważniał.

— Niczego tak nie pragnę, jak szczerości wzajemnej.

— Łusia ci się z rąk wymknęła?

— Zdaje mi się.

— I to ci nie na rękę?

— Mylisz się — toby mnie nic nie obchodziło.

— Więc co?

Długie milczenie. Bielecki nie mógł zro-

zumieć, co się z nim nagle stało. Czuł gorące, nieprzezwyciężalne prawie pragnienie wywnętrzenia się — wypowiedzenia najskrytszych tajemnic.

Zebrał wszystkie siły, by tej obcej kobiecie nie opowiedzieć wszystkiego o Górskim, tego, że Szumska ma go w swojem ręku — zawładnęło nim niepojęte prawo psychologiczne zbrodni, która wykrzyczeć się pragnie. I już, już — dziwne, jak nagle osłabł. Zawstydził się i uśmiechnął się bezradnie.

— Nie chcesz powiedzieć? — wessała się chciwem spojrzeniem w jego oczy.

Milczał, bo całym wysiłkiem musiał panować nad tem niepojętem, niezrozumiałem pragnieniem, by wszystko wypowiedzieć.

Teraz przechyliła się przez stół tak, że czuł na swej twarzy gorący jej oddech, i szeptała mu do ucha:

— Za dużo wie o tobie?

Miał wrażenie głębokiego wyzwolenia. Jakby się coś boleśnie naprężonego w nim rozprzęgło.

Skinął głową.

Znowu milczenie.

— No i cóż z tego? — Odrzuciła nagle

hardo głowę w tył, wlepiła w niego oczy. — Bielecki ujrzał jasnowidzący portret Borsuka. — Cóż z tego? — powtarzała — czy tobie, Bieleckiemu, tak trudno wymódz na kimś, by milczał?

— Ehe! już głęboko nad tem pomyślałem.

Roziskrzyły się jej oczy, schwyciła go za rękę.

— Czemu się wahasz?

Spojrzał na nią prawie nienawistnie i nic nie odpowiedział.

— Mam jeszcze czas — rzekł po długiej chwili. — I mylisz się jeżeli myślisz, że mógłbym się przed czemś zawahać. To nie to: wszystko, co robię, musi być czystą i rzetelną robotą. Tylko partacze robią coś na oślep i palą na panewce.

— Dawno już z sobą żyjecie?

— Już parę miesięcy.

— No i...?

— Z początku było to dość ciekawe, nawet z pewnym zapałem urządzałem z nią dość niebezpieczne eksperymenty. Na jej duszy jak na żelatynie uprawiałem czystą kulturę rozmaitych bacilów. Świetnie, nadspodziewanie się przyjmowały, przy szczepieniu nie było nawet poważnej reakcji — przeciwnie,

pacjentka zdawała się czuć doskonale: jednem słowem, pod względem t. zw. zdeprawowanej kultury duchowej daleko już postąpiła. Była już na najlepszej drodze ku onym szczytom, na których człowiek tronuje bez praw, bez obowiązków, panuje autokratycznie nad ludźmi czyli, jak to fałszywie wyrażają, wyzyskuje, niszczy i ich kosztem żyje, uważa ich za pionków, któremi posuwa w tę lub ową stronę, niezależnie od tego, czy ich na stracenie prowadzi lub nie. Dochodziła już zwolna do wyzwolenia swego Ja z ohydnych kajdan moralności, sumienia, idjotycznej sercowości, a no, już wiesz — tobie chyba tego wszystkiego tłumaczyć nie potrzebuję. — A tu nagle, djabli wiedzą, co się stało — przyszedł gwałtowny „choc" wstecz. Cała moja praca na nic.

— Możeś zbyt pośpiesznie pracował?

— Może być, że użyłem zbyt gwałtownych środków znieczulania i stępiania, więc wymioty, ból głowy, wstręt — jednem słowem, gwałtownie ją odrzuciło. No, ale nie żałuję, zyskałem na doświadczeniu... na drugi raz będę oględniej pracował... Swoją drogą taka praca nuży i zwolna nudzi. Przy takiej kobiecie jak ty — szkoda tylko, że przez inne-

go uświadomionej — to istotny, rajski odpoczynek.

— Ja przeważnie sobie samej zawdzięczam to, czem jestem — powiedziała to z hardą dumą. — Nikt inny nie potrzebował mnie uświadamiać. To, co we mnie jest, nie jest jakąś naleciałością, niczem, coby było wzorowane na przykładach — tylko moją istotną naturą, tak samo, jak u ciebie. Dlategośmy się musieli prędzej, czy później znaleźć.

— Masz słuszność, to musi być naturą, inaczej następują ustawiczne apostazje, ani się człowiek nie spostrzeże, a tu jego adept pławi się w łzach rozpaczy i skruchy, wyrzutów sumienia.

— A adeptka idzie do spowiedzi.

Roześmieli się oboje.

— Szkoda czasu — wzdrygnęła pogardliwie ramionami.

— Istotnie, trzeba się z tego otrząsnąć, zanim zbytnio pocznie ciążyć — powiedział zamyślony.

— Czasem i najzręczniejszy i najbezwzględniejszy może się zawikłać... Tamten ich obóz bardzo silny — mają konfensjonały i kazalnicę, opinję publiczną i więzienia — siła złego

na jednego... No, ale ja teraz muszę pójść — spojrzała na zegarek.

— A dokąd idziesz?

— Do domu.

— Sama mieszkasz?

— A z kim?

— Weź mnie ze sobą.

— Poco? Zbyt poważny obrót wzięła w końcu nasza rozmowa, by się nam chciało w czulsze struny uderzać — bo o to ci chodziło, prawda?

Roześmiał się.

— To już u ciebie, pogromco serc niewieścich, stało się prawie odruchem — poczekaj, mamy jeszcze czas... A ty dokąd? — zapinała rękawiczki.

— Ja jeszcze wstąpię po drodze, gdzie się moi wyznawcy, wierna moja gmina gromadzi. Trzeba — trzeba zajrzeć do mojej owczarni...

Wyszli na ulicę. Skinęła na dorożkę i wsiadła.

— Jutro o tym samym czasie może tu

się spotkamy, może cię do siebie zaproszę — nie wiem jeszcze... Do widzenia!

Bielecki patrzył chwilę za odjeżdżającą, a potem skręcił w bok, w wąską, dość pustą uliczkę.

VII

Czuł się spokojny i mocny.

Teraz wreszcie mógł wszystko na zimno rozważyć, bez tego ustawicznego, drżącego lęku, jakby wisiało nad nim bliskie, coraz bliższe niebezpieczeństwo.

Właściwie jakie?

Łucja może go zdradzić, że zużył manuskrypta Górskiego. No, i cóż z tego? Znalazł w całej Górskiego puściźnie zaledwie szyny, na które on swój własny wóz puścił, włożył w tę całą gmatwaninę tyle własnej twórczej pracy, iż o jakiemś zużytkowaniu cudzej nawet mowy być nie mogło; prawie każde zdanie musiał na nowo przerabiać, luki wypełniać, powyrzucać połowę tego, co chorobliwa manja grafomana na papier podczas gorączkowych wizji rzucała — sceny luźne, tu i owdzie porozsypywane, logicznie powiązać, węzły zadzierzgnąć — spoić, by się to wszystko

trzymało... Pod tym względem miał zupełnie spokojne sumienie — to było wszystko surowym materjałem, z którego on dopiero dzięki swej kulturze artystycznej coś zrobić zdołał.

Roześmiał się. Tak, takie rozumowanie całkiem go mogło uspokoić, więcej nawet: dać mu pewne przeświadczenie, że wyrządza Górskiemu przysługę, iż się jego puścizną zajął, uporządkował, ale nietylko to: że raczył wogóle podjąć się tej ciężkiej i mozolnej pracy, by to wszystko w możliwie artystyczne kształty ubrać — jednem słowem, zrobić coś z tego. Bo z nazwiskiem — głupstwo i zmarłemu Górskiemu na nic nazwisko się już nie zda — śmieszne wogóle o tem myśleć. Jakiś tam prosty robotnik zrobi przypadkowo jakiś wynalazek, nie ma najmniejszego pojęcia o jego doniosłości — pokaże go inżynierowi, ten dopiero rozumie, o co chodzi, pakuje w jakiś nieudolny, barbarzyński pomysł całą swoją wiedzę, cały zasób tysiącznych martwych i żyjących sił, jakiemi on tylko rozporządzać może, i wtedy dopiero wynalazek staje się wynalazkiem, inaczej nie istniałby wcale.

— Co mi Górski zostawił? Nic właściwie— szyny, proste szyny, ale nie było wozu—i na

cóż te szyny bez wozu? No tak! zostawił i wóz, ale ja go przecież pchnąłem...

No, i cóż więcej jeszcze zrobił?

Poczynało go to bawić. Miał w sobie dwóch Bieleckich. Z jednym z nich lubił się drażnić.

— Więc dobrze, znalazłeś szyny, ale to już chyba dużo znaczy — pomyśl tylko, ile to czasu, ile mozołu na to potrzeba, by teren splantować... A czasami teren bardzo trudny— trzeba lasy rąbać, góry przewiercać; a ile to żmudnych obliczeń, ile ogromnego doświadczenia, ile jasnowidzącego prawie przewidywania na to potrzeba, by wóz, chociażby był i twoim, prawidłowo się na tych szynach toczył, na skrętach i krzywiznach z nich nie wyskoczył.

Ten drugi Bielecki spokorniał.

— A widzisz, przyznałeś nawet, że i wóz nie twój — pocieszyłeś się tylko tem, żeś go pchnął — ha, ha, ha! — pewnie, że z śmiercią Górskiego wóz stanął, oczywiście, aleś ty go może źle pchnął... jadąc tym swoim wozem, natrafiałeś co chwila na miejsca, gdzie jakaś zbrodnicza ręka na całe kilometry ci szyny powyrywała, stałeś bezradnie w miejscu, łatałeś, sztukowałeś... Kto ci tak, bracisz-

ku, powyrywał szyny? Oj Łusiu! Łusiu! ty słodka psotnico...

Pięciu, dziesięciu ludzi poczęło nagle w nim wzajem się przekpiwać, szydzić, kłócić się i brać się za czuby.

— Sprawowałeś się, biedactwo! Jak to wszystko było poprzewracane, ustawicznie stronnic brakowało, związek się rwał...

I cobyś był zrobił, gdyby słodka Łusia nie była ci ustawicznie pomagała — z dziwnym, mistycznym uśmieszkiem i ze zdumiewającą, jasnowidzącą, sił proroczych sięgającą znajomością tworu Górskiego nie wypełniała pustką ziejącą przerwy między stroną piętnastą a trzydziestą siódmą?

Na kolana przed Łusią! Wartoby jej ręce i nogi za tę przysługę całować, ale robiła to wszystko z takiem wyraźnem szyderstwem, z taką szatańsko-kpiącą miną, że zębami zgrzytał.

Słabszy Bielecki podniósł chytrze łeb.

— A widzisz, błaźnie, czemuś się naraził na takie upokorzenia? Nie byłoby ci lepiej trząść całą redakcją, odziać się w paradną togę wyższości o całe niebo nad twymi kolegami? Mało ci było, że z podziwem patrzyli na ciebie jako na tego jednego, któryby mo-

że niezadługo został ich szefem, zasiadł w parlamencie, a możeby i ministrem został?

Co się tobie nagle zachciało samemu zabawić się w literata? Ty, który miałeś wszystkich literatów jak pajaców na sznureczkach: pociągnąłeś, a podskakiwał w karkołomnych podrygach, wyfikiwał weksel na wieczność, już na piętach, kolanach, tyłku, brzuchu wkraczał do grobów zasłużonych; schwyciłeś sznurek inny, a taki literat jął rozpacznie wymachiwać rękoma w powietrzu, chwiał się jak wisielec na suchej gałęzi i był „tot" — „mausetot"... Ha, ha, ha!... Bielecki, zastanów się, czego ci się zachciało?

Nie widzisz, jak się Łusia od śmiechu za boki chwyta? Może po cichu pisze biografję Górskiego i dosłownie cytuje stronnice, których zabrakło, a które niedołężnie wypełniać ci pomogła?

Tchórzem jesteś, panie Bielecki — czujesz doskonale, że w tem wszystkiem, coś po Górskim zrabował, tkwią rzeczy tak wielkie, że przepisałeś, nie rozumiejąc ich sam dokładnie.

— Ale to nie szkodzi — przerwał inny Bielecki — byś to uważał za swoje, byś tak doszczętnie wmówił w siebie, że to wszystko tyś sam stworzył, aż wreszcie niezłomnie uwie-

rzysz. To, to powinieneś przedewszystkiem zrobić, to najważniejsze.

Bielecki odetchnął, wreszcie jakaś rozumna myśl.

Nakazał milczenie małodusznym, tchórzliwym podszeptom, nieprzyjemnym drażnieniom, głupiemu oszukiwaniu siebie samego. Poco, naco to jemu potrzebne?

Tłumaczyć się przed samym sobą, uniewinniać, szukać jakiejś podstawy prawnej, uczciwej, rzetelnej — a wstyd, a hańba!

Trwożnie umilkło tych pięciu, czy dziesięciu chamskich djablików, reprezentujących tyleż chamskich cnót: teraz Bielecki mówił sam z sobą.

Sformułował to ściśle, aby być sam z sobą w porządku, w kilku punktach. Tu w tym mocno powikłanym wypadku trzeba jasno, logicznie i z pewną niezbitą metodą postępować.

A więc:

— Otrzymałem w spuściźnie pracę człowieka, który zmarł — requiescat in pace... Praca ta była dla niego martwym kapitałem — wszystko, co napisał, mogłoby po jego śmierci zostać sprzedane na funty jako papier, to znaczy zostałoby zniszczone za jakie parę

rubli, poszłoby pod placki, lub na owijanie kiełbasek u jakiegoś rzeźnika.

Ja to wszystko uratowałem od niechybnej zagłady, a ponieważ na nic umarłemu kadzidło, więc słusznie, że to, com uratował z rozbitego okrętu, do mnie należy.

Najważniejszą atoli rzeczą jest to, bym miał tak silne i mocne i przekonywające przeświadczenie, że to jest istotnie moją własnością, że nikt nawet w najobłąkańszem przypuszczeniu nie śmiałby czegoś innego pomyśleć.

Całe więc siły trzeba w tym kierunku wytężyć, bym przedewszystkiem sam niezłomnie uwierzył, że to, co przepisałem — szczere przyznanie się sobie samemu chwilowo nie zaszkodzi — com z pomocą Łusi, a raczej jej dziwnie jasnowidzącej znajomości manuskryptów, zrekonstruować zdołał, ja sam, a nie kto inny, stworzył.

Podejrzeń żadnych być nie może, ani też wątpliwości. Tylem już literatów uśmiercił, tylu innym wskazałem drogę, jaką kroczyć winni; działalność moja jako krytyka zrobiła mnie niejako wyrocznią w sprawach literackich, więc to nikogo nie zdziwi, że ja sam

zdołałem stworzyć doskonałą rzecz jedną, i drugą, i trzecią. Na razie to dosyć.

A teraz punkt najważniejszy — nie chciałbym o nim myśleć, ale trudno i darmo: tę ostatnią konsekwencję wyciągnąć muszę.

Łusia wie o wszystkiem, i Łusia skradła część manuskryptów Górskiego. Ma mnie zatem w ręku. Dowody, które posiada, są tak niezłomnie przekonywające, że mogłyby mnie zabić — unicestwić — spopielić — moim prochem możnaby wtedy wystrzelić na wiwat triumfującej prawdy i zrehabilitowania geniuszu Górskiego.

Więc, droga Łusiu, aczkolwiek bardzo cię lubię i więcej jeszcze pożądam, więcej aniżeli jakąkolwiek kobietę przed tobą, czem się tłumaczy, że nie zdążyłem ci dać zagranicznego paszportu, zanim zdołałaś spiknąć się z Górskim — miej się na baczności...

W danej chwili, jeżeli mi zechcesz stanąć w poprzek drogi, będę zmuszony traktować cię jak *quantité négligeable*... To niemiłe — wysoce niemiłe — togo już doświadczyła ta pani, która na ślepą kiszkę umarła...

Bielecki wyprężył się, czuł się mocnym i swobodnym. Tak jasno, tak uczciwie dawno się z sobą nie rozprawił.

Jako dziennikarz dziś już, co prawda, ceniony i uwielbiany przez jednych, z lękliwym szeptem nienawidzony przez innych — oczywiście literatów — ha, ha, ha! — mógłby w najlepszym razie zostać prezesem sodalicji marjańskiej, protektorem Eleuterji, wreszcie posłem — marne życie w ciemnej norze — gdzieś daleko przebłyskuje drobniutkie światełko — a tak... on, Bielecki, z pomocą Górskiego... co za głupstwo! Górski jego podnóżkiem — on świecznikiem, latarnią morską, chlubą i dumą narodu...

Irytowało go, że nie mógł się brać na serjo.

Właśnie wtedy, kiedy powinien wreszcie uwierzyć w swoją twórczą moc, w swoje posłannictwo, w swoją przyszłość pochodni, która mroki zaległe nad ojczystem piśmiennictwem rozjaśnić miała, dławiło go gnojówką złości cuchnące szyderstwo.

Zastanowił się.

— Tego muszę się wystrzegać... o! o! muszę się nauczyć siebie szanować i... psiakrew! wiary mi potrzeba, że Górski to ja.

Postanowił, że tak często i tak przekonywająco będzie to sobie powtarzał, aż sam uwierzy.

A właśnie ta wiara była podstawą całego jego bytu odtąd aż po wszystkie czasy.

Jednem słowem, musiał się przedzierzgnąć w Górskiego.

Zamyślił się.

Tak trudno to nie będzie.

Nikt tak nie odczuwał jak on, nikomu z taką łatwością nie przychodziło przerzucać się z jednej roli w inną, jak właśnie jemu. Tak! to fraszka—będzie odtąd grał Górskiego! Z taką łatwością wżył się w jego świat, z którego się tak serdecznie naśmiewał — z takiem głębokiem przekonaniem recytował już teraz całe rozdziały, które napotkał w tworach Górskiego.

Sic itur ad astra!

Jeszcze kawałek drogi do tych gwiazd, ale droga wytknięta,

— No! teraz jesteś w porządku, ale — — uśmiechnął się — przyznać musisz, że tę swobodę myślenia, to jasne, rzetelne i rozumne załatwienie się z sobą masz poniekąd, wprawdzie w małej części, ale zawsze „poniekąd" do zawdzięczenia twojej nowej znajomości...

Swój do swego!

No! dobrze.

Ada Karska. *Nom de guerre?* czy jej istotne? Mniejsza o to.

Szczęśliwie się złożyło, że ją teraz właśnie spotkał. Raźniej mu było. Dotychczas czuł się osamotnionym. Jakby nagle w ciemnym lesie spotkał towarzysza... Zawsze wspólnik czynny, czy też cichy wzmaga energję, bezwiednie staje się podnietą. A przytem Bielecki znał siebie doskonale — on potrzebował potwierdzenia tego, co robi, a przedewszystkiem poklasku.

A Karska, przejrzał ją, jeżeli mu nie będzie pomocą, a o tem nigdy naprzód wiedzieć nie można, to w każdym razie będzie miał u niej moralne oparcie.

Roześmiał się na cały głos.

Karska moralnem oparciem!... A jednak, rzeczywiście! Gdyby miał słabnąć, gdyby miał samemu sobie się sprzeniewierzyć, to jej cynizm, jej tęsknota za wszystkiem, co nosi cechę zbrodniczości, występku, zła, będzie mu bodźcem i otuchą.

Silił się, aby rozumować zimno i oschle, nikomu nie przyznawać nawet odrobiny wpływu na siebie, a jednak tym razem musiał sobie przyznać, że Karska zrobiła na nim wra-

żenie. Czuł wyraźnie, że idzie od niej moc i siła.

Lubiał być szczerym z samym sobą, więc gdy teraz rozważał, to zdawało mu się, że nie byłby tak jasno i stanowczo postanawiał Łucję usunąć, gdyby mu miała stanąć w drodze, nie byłby mógł tak swobodnie i z tak czystem sumieniem myśleć o nader korzystnej tranzakcji, jaką zrobił: za kilka, kilkanaście wątpliwych poprawek i ulepszeń przyswoił sobie cudzą pracę. Wprawdzie był w swojem prawie, mógłby się w danym razie tłumaczyć, że coś znalazł, a już oddać nie mógł, bo ten, który zgubił, już nie żył, a wtedy nawet prawnie należy mu się znaleziona rzecz — ale pod tym względem ludzie „nieuświadomieni" mają jeszcze strasznie barbarzyńskie pojęcia, więc lepiej z tem nie wyjeżdżać.

W każdym razie ta Karska doskonała znajomość... Jej mógłby się swobodnie z każdej, stokroć korzystniejszej jeszcze tranzakcji wyspowiadać, a padłaby mu z uwielbieniem na szyję. I miłem będzie móc sobie powiedzieć w danym wypadku: mam człowieka, przed którym będę się mógł z mych czynów— czy też tranzakcji — słowo to bardzo mu

się podobało — poszczycić i gorący poklask zyskać.

A chciałby się jej przypodobać, raz, że zrobiła na nim silne wrażenie w kierunku pożądania, a powtóre czuł, że już poczynał słabnąć: mózg jego nie miał już tej pewności i rzutkości w postanowieniach, hart woli się już nadkruszał, i z przykrością musiał przyznać, że już na drabinie, po której się wdzierał, dostawał chwilami lekkich zawrotów głowy.

Myśli jego nagle się zamgliły — ujrzał przed sobą szyderczą, wzgardliwą twarz Łucji: ty istotnie chcesz to wydać pod twojem nazwiskiem?

Nie powiedziała więcej, ale zbyt dotkliwie czuł poza temi słowami bezbrzeżny wstręt i obrzydzenie... Uczuł wtedy nagle jakiś palący, plugawy wstyd, tem boleśniejszy, bo był to jedyny, jaki znał: nawskroś cielesny. Gorsze jeszcze, że on, który się nigdy niczego nie lękał, żył teraz ustawicznie w jakiemś wylękłem, nerwowem podrażnieniu — ustawicznie musiał rozważać, że jego nader korzystna tranzakcja wyjdzie na jaw i to przez Łusię. Raz po raz podchwytywał w jej oczach jakieś złowrogie błyski, pokorniał wobec niej, bo raz po raz padały z jej ust ta-

jemnicze półsłówka, dla niego tylko zrozumiałe: Łucja groziła!

Oho, oho! — pomyślał energicznie — trzyma mnie za gardło, może nie chce udusić, w każdym razie może to zrobić. Temu w sam czas muszę zapobiec.

Tak! — powiedział to głośno.

I znowu nawrócił myślą do Karskiej.

A więc zrobiła na mnie wrażenie i to w kierunku rozbudzonego pożądania, to jedno, dlaczegoby się jej chciał przypodobać, a potem, że jest mu potrzebną, więc musi ją ujarzmić, dostać w swoje panowanie. Nie wiedział na razie, w czemby mu mogła być pomocną, w każdym razie musiał ją ubiec.

Znał ją już jak siebie samego. Poza jej pragnieniem poznania go tkwiła jeszcze inna myśl, widział już te słodkie rączki Dalilli, sięgające po ten włosek, w którym cała jego moc tkwiła.

Tą konkluzją był wysoce zadowolony. Właściwie nie potrzebowałem tych bredni Górskiego, by wstąpić do Parnasu. Człowiek tak przenikliwy jak ja, z taką znajomością duszy ludzkiej może przy pewnej rutynie stać się czemś innem, niż przepisywaczem bredni wiecznie gorączkującego suchotnika.

Uczuł nieskończoną pogardę dla tych dwóch dramatów, które pod swojem nazwiskiem przed trzema miesiącami wysłał na konkurs.

Pomyśleć tylko, że ta kołowacizna przyniesie mu sławę, postawi na świeczniku — ha, ha... i zaopatrzy w pieniądze... To kapitalne, to już przeironizowana ironja, aż niesmak wzbudza.

I głębszą jeszcze pogardę, aniżeli dla bredni Górskiego, uczuł dla publiczności, która je będzie oklaskiwać, a jego, Bieleckiego, prawnego spadkobiercę, uwielbiać i na rękach nosić.

Zastanowił się.

Takie myśli są wysoce nieopatrzne i niebezpieczne. Już wypadam z roli. Przedewszystkiem muszę gorąco w to uwierzyć, że równie potężnych dramatów w swojskiej literaturze nie było, muszę zżyć się z tem niezłomnem przeświadczeniem, że brednie Górskiego w mojej redakcji są wprost objawieniem, a wtedy dopiero zdobędę się na tę bezwzględną siłę, by móc całą publiczność za łeb złapać i kazać jej również w to wierzyć.

Teraz już wiedział w ogólnym zarysie,

jak mu należało postępować, w jakim kierunku musi tresować swoją wolę, i jednym zamachem wyrzucił cały ten niemiły natłok myśli z swego mózgu: na razie dosyć, program cały gotów, na subtelności jeszcze czas...

Począł rozbierać Karską, to już było znacznie przyjemniejsze.

I rozbierał ją zwolna, mistrzowskiemi ruchami, na zimno, spokojnie, bez rozmarzeń i głupiej drżączki jakiegoś tam smarkacza, który się pierwszy raz do kobiety dorwał.

Ciekaw był, czy bliska rzeczywistość potwierdzi jego przypuszczalną ocenę.

Mała głowa siedziała mocno i wyzywająco na silnym, ale nie grubym karku — biust pełny, chociaż nie tłusty, ani obfity — dość ponętnie musiały wyglądać delikatne kości obojczyka z poza ciemnawej skóry — kościec, sądząc z ogólnej budowy, delikatny i smagły, proporcje dobre, a ta reszta — to zwykle u kobiety mało indywidualna: jedna jak druga ma to samo opolstrowanie, chudsze lub pełniejsze — a ta nie jest ani chudą, ani zbyt pełną. Jedna tylko rzecz u kobiety zupełnie nieobliczalna, to temperament płciowy. Czasami zdaje się, Bóg wie, jaki raj roz-

koszy obiecywać, a w najgorętszym uścisku ani drgnie, a przeciwnie ta zimna, niedostępna, z wzrokiem odpychającym na drugi koniec świata, ta immaculata staje się nagle wulkanem, ogniem, pożogą, zniszczeniem...

Rozważał głęboko, jakie będzie ich pierwsze połączenie. Tylko nigdy nie pozwolić się zaskoczyć czemś niespodziewanem, jakąś nieznaną, wyrafinowaną rozkoszą, bo to jak morfina stanie się potrzebą, bez której się szaleje; trzeba być nieskończenie bacznym i ostrożnym, bo kobieta, która pragnie mężczynę ujarzmić, ma tysiąckroć razy zdradliwsze sieci, aniżeli pół ślepy samiec, gdy mu żądza krwią ślepia zaleje, a sztuka uwodzenia samca nie wiele co misterniejsza, a może głupsza jeszcze od obłąkanej kołowacizny tańców głuszca wobec nieskończenie podstępnego, idealnie artystycznego mistrzowstwa doświadczonej kobiety.

A Karska posiadała bez wątpienia tę sztukę w wysokim stopniu — zimny cynizm zaostrzył jej oczy, wyszlifował jej instynkty wyrafinowanego detyktywa, który po ciemku namaca słabizny swej ofiary.

He, he, uśmiechał się po cichu i pobłażliwie.

Trafiła kosa na kamień.

Przedewszystkiem trzeba działać według pewnego programu i baczyć, by jakaś niespodzianka go nie wywróciła.

Karskiej mózgu i fantazji obcesowo zgwałcić nie można — za chytra na to... ale chwilową uległością. Pod ziemię się trzeba podkopać — dać jej iluzję wyższości, pytać się, słuchać uważnie i z głębokiem zainteresowaniem, powoli, delikatnie otworzyć przed nią furtkę, prowadzącą na śliskie gleczery megalomanji — a któraż kobieta nie skusi się do tej furtki — a potem już ją się ma w ręku. Staje się lichą aktorką, a ja suflerem, który całą rolę jej podpowiadam, ona wiernie bez namysłu, bez rozwagi wszystko jak papuga powtarza, a to, że święcie wierzy, iż to ona sama mówi: tę satysfakcję można jej pozostawić...

I znowu uśmiechnął sie dobrotliwie z cichem pobłażaniem.

I owszem — i owszem...

Sam nie wiedział, jak zaszedł pod dom, w którym mieszkał.

Namyślił się chwilę, czy nie wstąpić do

swej „owczarni", czy nie pokrzepić sił swoich widokiem ślepo oddanych mu owieczek, ale ciekawość, czy jego tranzakcja się dokonała, przemogła.

Po ciemnych schodach wszedł na górę.

VIII

Bielecki wszedł do pokoju. Było zupełnie ciemno.

— Gdzie jesteś? — zapytał.

— Tu — leżę na kanapie.

— Czemuś nie zapaliła lampy?

— Bo mi tak lepiej było spoczywać.

Poszukał w kieszeni zapałek, zaświecił lampę i obejrzał się ku niej.

Leżała nawpół rozebrana na kanapie i patrzyła szeroko roztwartemi oczyma w sufit.

— Tam na stole leżą dwa telegramy do ciebie — bąknęła niedbale.

Bielecki roztworzył jeden, szybko przeczytał — roztworzył drugi, twarz jego rozpromieniła się.

— No i co? — zapytała przeciągle.

— Obydwa dramaty wzięły nagrodę.

— To znaczy: Górski zwyciężył.

— Kto? — podszedł ku niej blisko, cała twarz mu drgała.

— Jakto? kto? — Przecież to dramaty Górskiego.

— Moje! — krzyknął tłumionym głosem.

— Oszalałeś?

— Jeżeli ci mówię, że moje, to moje, — rozumiesz? Nie doprowadzaj mnie do ostateczności.

— Ani mi to przez głowę nie przeszło. Tylko teraz, jak te telegramy nadeszły — wiedziałam, co w nich stoi — i wtedy poczęłam rozważać — całe parę godzin nad tem myślałam... Ty nie możesz twego nazwiska kłaść pod obcą pracę, to — to proste złodziejstwo...

Stanął naprzeciw niej szyderczo, wyzywająco:

— Co ciebie to obchodzi, co ja z mojem nazwiskiem zrobię, lub czy jestem złodziejem, lub nie?

— Nic a nic — ale niestety wiem o wszystkiem i nie chcę, nie mogę być wspólnikiem twego... twego... nie chcę nazwać właściwem mianem tego, co robisz.

— Słuchaj, jak jeszcze raz się odważysz

w ten sposób do mnie przemawiać, to, to...— zaciskał pięście.

— To co? — Zerwała się z kanapy. Bosa, w spódniczce, w koszuli, która jej głęboko na piersi spadała.

Gwałtownym ruchem wciągnęła koszulę na ramiona.

— To co? — powtórzyła.

Spojrzał na nią uważnie:

— Rozbroiłaś mnie; dawno cię tak piękną nie widziałem, taką cię powinien Borsuk namalować: te roziskrzone oczy, płonącą twarz, wspaniałe ramiona, smukła, bajeczna w rysunku ręka, podtrzymująca na piersi białą koszulę, w pasie odcinająca się czarna spódniczka i te maleńkie bose nóżki pod spodem, jak dwa gołąbki, co siadły na mostku gołębnika — o! o! gdybym był malarzem... Jaki w tem wszystkiem styl — różowe stopki, czarna spódniczka, biała koszulka, ogniem płonąca buzia, oczy całe w błyskawicach, a wokół główki wspaniała, wewnętrzną burzą zjeżona grzywa...

Podeszła ku niemu cała drżąca z zaciśniętemi pięściami:

— Jeżeli odważysz się jeszcze dalej ze mnie kpić —

— Ależ ja nie kpię—patrzył na nią zimno

i spokojnie — nie wiem tylko, dlaczego wpadłaś nagle w taki furor melancholiacus... Za mało wychodziliśmy w ostatnich czasach — ciężka praca nad uporządkowaniem puścizny Górskiego wyczerpała nasze siły. — Ujął ją silnie za rękę i zmusił z powrotem usiąść na kanapie.

— Ot! widzisz, tylko spokojnie, bez wybuchów, bez tego, co lekarze nerwów „rabies", czyli po polsku wścieklizną nazywają...

Trzymał ją za rękę i patrzył jej w oczy.

— Ja to wszystko rozumiem — w tobie się obudził taki staroświecki instynkt zaścianku... Burzysz się na myśl, że te szpargały, któreby prawdopodobnie dziś na rynku służyły do owijania kiełbasek, albo brudna łapa owocarki robiłaby z nich tutki i odważała w nich owoc dla sztubaków — mogły się na co innego zdać — pomyśl tylko, że to dziecinny przesąd; czy dzieła, na których wypisane imię i nazwisko Mickiewicza straciłyby coś ze swej wartości, gdyby na nich figurowało nazwisko jakiegoś Onufrego Rozdziewgęby? — Co nazwisko ma z dziełem twórczem do czynienia?... To zaściankowy przesąd, moja dziecino, brak kultury — to kult nazwiska, a nie tworu... Czyli to nie jedno, kto napisał Iliadę —

Homer, czy też kto inny — albo, co kogo może obchodzić, czy twórcą Hamleta był Szekspir, czy Hamlet — albo czy dwa, laurami uwieńczone, dwutysiącami rubli nagrodzone dramaty napisał jakiś tam Górski, czy też jakiś tam Bielecki. Gdyby Górski żył, owszem — cieszyłbym się z całego serca, że go takie słuszne wyróżnienie z całej masy konkurentów spotkało — radość z tej majówki możeby nawet jego życie przedłużyła, ale ponieważ umarł, więc się chyba nie gniewa, że ktoś inny zbiera plon jego pracy...

— Czybyś mi brała za złe, gdybym nie miał odzienia i chodził po jego śmierci w jego surducie? Dajmy na to, że w danym wypadku surdut jego byłby mi oddał większą przysługę, aniżeli jego dramaty — wołałabyś wówczas na mnie: zrzuć ten surdut, aczkolwiek bez niego zmarzniesz, i oddaj go — widzisz, w tem sęk — komu ja ten surdut oddam? jeżeli jedynym spadkobiercą tego surdutu jestem ja?...

— A teraz tak ci to wszystko jasno i logicznie wyłożyłem, że — oczy jego błysnęły złowrogo — że dasz mi już raz na zawsze spokój. Na razie ja kładę nazwisko moje na to wszystko, co Górski pozostawił — raz, że

to Górskiego teraz ani ziębi, ani parzy — po drugie, że ja uratowałem jego pracę od zatracenia — po trzecie, że uporządkowanie jego papierów kosztowało mnie więcej pracy i dni, niż, jeżelibym sam to wszystko stworzył, a po czwarte, że spełniam życzenie zmarłego, który mnie po swojemu kochał i, zostawiając mi swój surdut, widocznie pragnął, by mi się dobrze działo... bym nie marznął — bym się mógł między ludźmi pokazać — by mnie ludzie szanowali i ja nawzajem mógł im moją życzliwość okazać, dając im kilka godzin rozrywki...

Patrzyła na niego oniemiała, dawno już rękę swoją z jego żelaznego uścisku wyrwała, nie mówiła słowa, tylko jej oczy zdawały się krzyczeć: Łotr! a łotr!

— Twoje oczęta jeszcze niespokojne — mówił cicho, dławiąc się, kaszląc złym śmiechem... Czekaj, nadjadę z całą kolumbryną argumentów: Otóż, weźmy naprzykład jakiegoś wspaniałego wirtuoza — gra Szopena cudownie — przebajecznie — wszystko się przed nim korzy — na kolanach się przed nim czołga... Bierzesz takiemu wirtuozowi za złe, że odważył się grać Szopena, myślisz, że to publiczności nie obojętne, czy to Szopen, czy

Mozart, czy też Czajkowski: podziwia grę mistrza. — Więc, abyś wszystkie skrupuły ostatecznie w sobie zdusiła, wystaw sobie, że Górski jest Szopenem, a ja go gram — a przecież to zupełnie obojętne przy dobrej grze, czy kompozytora nazwisko na afiszu figuruje, czy też nie...

Z oczu jej nie spuszczał.

Miał wrażenie, że całkiem nie słuchała tego, co mówił, że myślała głęboko nad czemś innem...

Zamilkł.

Podniosła po chwili głowę.

— Jakto? przestałeś już? Śmigi wiatraku przestały się już obracać?

Zaśmiała się sucho.

— Trzeba zagrać z innej tonacji, pomyślał.

— Doskonale to powiedziałaś, pytlowałem rzeczywiście słomę. Teraz pogadamy z sobą uczciwie.

Wpatrzyła się w niego z ciężkim wysiłkiem, by pochwycić w jego słowach chociaż odrobinę prawdy.

Nie śpieszył się.

Wstał, podszedł do stołu, przeczytał raz jeszcze uważnie telegramy, zapalił papierosa

i chodził wzdłuż pokoju, chwycił wreszcie stołek i siadł naprzeciw niej.

— Jest mi niezmiernie przykro, że z pozaświatowego,metafizycznego sporu, czy nazwisko ma z tworem coś wspólnego, czy też nie, ściągnąć cię muszę na bardzo mizerny padół płaczu.

— Dotychczas unikałem rozmowy na ten temat, bo mnie wstyd było — teraz mnie zmusiłaś i...

Uciął.

Odgarnęła włosy, zdało jej się, że teraz poczynał być szczerym, że przestał grać komedję. — Twarz jego prawie spopielała, a ręce błądziły niespokojnie po kolanach.

— Mów mi wszystko.

— Będziesz wierzyć w to, co ci powiem?

Milczała, tylko oczy jej łagodniały, widział, że go teraz rzeczywiście słucha.

— Trudniej ci to powiedzieć, aniżeli myślałem... no! za bardzo cię kocham, bym dłużej mógł znieść pogardę, szyderstwo, wstręt, jakim mnie darzysz od chwili, gdym tam z pokoju Górskiego wyszedł z torbą pełną papierów...

Zamyślił się — czekała cierpliwie.

— Tyś dzieciak... tobie się zdaje, żeś mnie już nawskroś przeniknęła... a zaledwie zewnę-

trznej skóry się domacałaś... Byłbym cię mógł w paru dniach wyssać jak cytrynę i potem na śmiecie wyrzucić — no! no! nie oburzaj się: tak zwykle robią mężczyźni, gdy im kobieta staje się niewygodną... Widziałaś Palucha, jak szybko się załatwił z Hortensją — nie oburzałaś się na Cynadrę, gdy Pawliszankę na bruku zostawił, a sam nogi za pas — szukaj wiatru w polu... Coraz trudniej mi mówić, ale zmusiłaś mnie do tego... Wziąłem cię do siebie, bom cię kochał.

— Nie kłam!

— Jeżeli w dalszym ciągu myślisz oburzać się i przerywać mi, to powiedz odrazu, bym niepotrzebnie sobie gęby nie psuł — rozumiesz? — Powiedział to umyślnie brutalnie, ale z takiem szczerem rozdrażnieniem, że umilkła.

— Kiedym cię wziął do siebie — może być, że popełniłem ciężki błąd — dałem ci złudzenie, że jestem bogaty... Czerpałaś z pełnego — proszę cię tylko bądź spokojna — ty nie masz najmniejszej winy — ja cię okłamywałem do samego końca... wstydziłem ci się przyznać, że resztkami gonię... pokazać ci, ile mam pozwów sądowych, ile weksli protestowanych. Stałem nad przepaścią, jednego słowa ci nie powiedziałem — wszak do dziś

dnia nawet ci przez głowę nie przeszło, że tonę... Ujrzałem brzytwę — dziwisz się, żem się jej chwycił? Patrzysz na mnie jakbyś z nieba spadła — tak! tak! Górskiego papiery były dla mnie brzytwą, alem się musiał jej uczepić, od ciebie zależy, czy sobie nią gardło poderżnę, czy nie...

Patrzyła na niego z głuchem przerażeniem.

— Przez całe trzy miesiące znoszę od ciebie upokorzenia, przygniatasz mnie do ziemi szyderstwem, wyniosłem spojrzeniem, oczy twoje krzyczą: złodzieju! łotrze! A ja to wszystko znosiłem, milczałem...

— Wstydź się! — krzyknął nagle, uniesiony ciężkim żalem — chciałabyś, bym ja, nędzarz— bo już tylko ciężkim kunsztem żyłem, i to takim, który mnie lada dzień mógł był z więzieniem zapoznać — bym się ciebie pozbył, powiedział sobie: wyrzucić balast, a statek uratowany? Miałem być Paluchem, albo Cynadrą?

Skryła twarz w dłoniach, a poprzez jej wpół nagie ciało przebiegały dreszcze.

— Mów, mów—uspokój mnie! daj mi wiarę w siebie!

— Śmierć Górskiego była mojem wyba-

wieniem, byłem pewny, że jego dramaty — ja je już dawno znałem...

Urwał, zląkł się, czy nie za dużo powiedział.

— Ciebiem ratował, ciebie!

Podrzuciła nagle głowę.

— Co? co?

— Sambym sobie radę dał — to brzmi brutalnie, ale tak jest... Byłbym cię musiał na opiece boskiej zostawić — a coby się wtedy z tobą stało?

Teraz już mu wierzyła — wyciągnęła rękę — siadł obok niej i objął ją.

— Te telegramy — szepnął cicho — to nasze wybawienie... Przed tygodniem sfałszowałem weksel...

— Jezus Marja!

— Tak! zrobiłem to spokojnie i zimno — postawiłem wszystko na jedną kartę. Tonąłem w długach — sfałszowałem podpis mej babki, która nic o mnie wiedzieć nie chce i dawno się mnie wyparła, a z rozkoszą widziałaby mnie tam, gdziebyś nawet ty z całą nienawiścią twoją widzieć mnie nie chciała...

Łucja patrzyła na niego przerażona.

— Jezus Marja! Weksel sfałszowałeś?

— Już drugi raz wzywasz na pomoc Je-

zusa i Marję — wybacz, ale po dziś dzień cuda się nie dzieją. Bądź szczęśliwa, że teraz mogę go wykupić — i to czemprędzej — za miesiąc mógłbym się dostać do niezbyt wygodnej ubikacji.

— Wprawdzie jest tam okno, ale zakratowane, widok musi być z niego wspaniały, ale tak wysoko ulokowane, że trzebaby się porządnie za łeb w górę podciągnąć, by móc przez nie spojrzeć...

— Ho, ho! gdybyś taką ubikację znała, radowałabyś się razem z moją babcią, że ją zamieszkuję, ale jakoś Bóg mnie wziął pod swoją opiekę... Zresztą z przerażenia, jakie w twoich „Jezus i Marja" tkwiło, gdym ci się, chcąc nie chcąc, spowiadał, wymiarkowałem, że dobrze rozumiesz nasz zaobopólny interes, to znaczy: że i tobie nie byłoby miło na łasce boskiej pozostać.

— Ulica cię wtedy czeka—ulica! Tego nie rozumiesz? Na ulicę patrzyłaś z okien kawiarni — zajmuje cię nawet przypatrywanie się z okien tego, bądź co bądź milusiego mieszkanka, jak poza naszemi oknami przechadza się tam i z powrotem, o głodzie i chłodzie chmara pocieszycielek, czyhających na jakie-

goś zbłąkanego wędrownika, zgłodniałego tułacza — ale samej się znaleźć na ulicy, to mniej przyjemnie.

Czuła się upokorzoną i pokonaną.

— Zresztą, jak chcesz, mówił zimno i obojętnie i ziewnął — mogę dziś jeszcze napisać list do komitetu konkursowego, oświadczyć, że Bielecki to pseudonim niedawno zmarłego Górskiego, któremu się podobało w przystępie dobrego humoru użyć mego nazwiska, zamiast własnego — mogę wyrazić moje głębokie oburzenie — nol to nie wypada wobec jego śmierci — ale delikatne zdziwienie, że zmarły, znany skąd-inąd ze swej prawości, ośmielił się w ten niegodny sposób nadużyć mego nazwiska... no itd. A potem pójdę na policję i powiem: weksel sfałszowałem. Zyskuję na tem tyle, że uczciwe i pełne godności przyznanie się do winy wyjedna łagodzące okoliczności, zwłaszcza jeżeli, przyparty do muru, będę zmuszony wyznać, że temi pieniędzmi chciałem ratować ofiarę mej młodocianej lekkomyślności od takiej ostateczności, do której chłód i głód uwiedzioną kobietę zmusza.

Wstał, podszedł do biurka, zapalił papierosa, znowu się przeszedł kilka razy po pokoju, a potem przystanął w zamyśleniu.

— Mnie ostatecznie jest wszystko obojętne, co się ze mną stanie. Położyłem wszystko na jedną kartę; wygrałem, co prawda, ale od ciebie zależy, że mogę wygraną odrzucić: będzie to gest wysoce moralny, szlachetny, świadczący w niezwykły sposób, o ile wyżej stoję nad przeciętną etyką ludzką, ale będzie to dla ciebie zgubą — nie jestem w stanie zabezpieczyć cię, jako tako przynajmniej, gdy będę za fałszerstwo weksli rekolekcje odprawiał.

— I zrozum: nie jestem teraz ani złośliwy, ani nie mam najzupełniejszej chęci kpić sobie z twego, dla mnie jak najzupełniej zrozumiałego odruchu oburzenia na myśl, że sobie obcą pracę przyswajam — wszystko ci powiedziałem, powiedziałem ci z najgłębszą powagą.

Wyprężyła się nagle i z głośnym płaczem rzuciła mu się na szyję.

— Czemu ty mnie nie kochasz, czemu mnie nie kochasz?

Bielecki w tej chwili zorjentował się w nowej, trochę niespodzianej sytuacji.

— Jakto? Ja ciebie nie kocham? A dla kogo to wszystko robiłem? to, to, za co mną gardzisz, za co wszystkie upokorzenia z twej strony znoszę? Dla ciebie! Ha, ha, ha...

Gdybyś mnie chociaż odrobinę znała, tobyś sama do rozpuku się śmiała na samą myśl, że mnie się zachciewa sławy literackiej... Brzydzę się nią jak brudną koszulą, ale to był jedyny sposób, by się wygrzebać — by pieniądze zarobić — by nie pozwolić tobie zmarnieć...

Objął ją i tulił gorąco do siebie — młode, gorączką rozpalone, nawpół nagie ciało poczęło działać na jego zmysły.

— Dla ciebie — wszystko dla ciebie — pluć na sławę, na rozgłos, na cały ten głupi motłoch, bylebym tylko mógł się wyrwać z tego bagienka — wyjechać razem z tobą gdzieś daleko... żyć w spokoju dla naszej miłości. Odetchnę wtedy, tu się zabagniłem. Ja cię więcej jeszcze kocham, aniżeli kiedykolwiek, a jeżeli byłem kiedyśkolwiek zły dla ciebie, to — to było całkiem co innego — tonąłem, rady znaleźć nie mogłem — sił mi już nieraz brakowało — nie widziałem żadnego wyjścia...

— Kochaj mnie tylko — kochaj! Rób, co chcesz, niszcz, kradnij, zabijaj, ubóstwiać cię będę, tylko mnie kochaj!

Coraz goręcej i namiętniej tuliła się do niego.

Luźno związana spódniczka opadła z niej, podrzucił ją na siebie, objął ramieniem jej nogi i poniósł na łóżko.

— Rzadko piękne ciało, — pomyślał.

Patrzyła na niego przez łzy, ręce złożyła jak w bolesnej modlitwie:

— Powiedz mi tylko, — że mnie kochasz, odrobinę chociaż... Powiedz — powiedz...

Trzęsła się cała, uczepiła się jego ramion, oczy jej wdzierały się w jego...

— Jeszcze mi nie wierzysz?

Zamknęła oczy i pociągnęła go ku sobie.

— Wierzę, wierzę...

Zgasił lampę.

IX

Mimo całego panowania nad sobą Bielecki w pierwszym czasie chodził jak zatumaniony.

Cały już tydzień o niczem prawie nie mówiono, jak o nim. Cały tydzień nie mógł wziąć żadnego pisma do ręki, by nie wyczytać jakiejś nowej wzmianki o sobie, nowej legendy, nowej a sympatycznej ploteczki.

Znany dotychczas w małem kółku kilkunastu sansculotów i oberwańców, którzy z tem większym szacunkiem ku niemu spoglądali, im więcej kieliszków mógł za nich zapłacić, poważany na serjo przez gospodarza kawiarni p. Szotte, który zdołał wymyszkować, że Bielecki jest jedynym spadkobiercą bogatej aczkolwiek niezmiernie skąpej babki, stał się nagle rozgłośnym na cały kraj.

Według swego programu powinien był już dawno o tem zapomnieć, że autorem tych

dramatów nie jest on — długo i usilnie nad tem pracował, by w siebie wmówić, że cały materjał Górskiego był niczem więcej. jak tylko prostą reporterską historyjką, jakich tuzinami mógłby w pierwszem lepszem piśmie wyczytać, że on dopiero z tego surowego kruszcu z niezmiernym trudem wyłuskał złoto, on z tego zdołał żmudną robotą sporządzić te drogocenne, mistrzowskie klejnoty, ale mimo najsilniejszych autosugestji nie był w stanie pozbyć się przykrego wewnętrznego drżenia, ilekroć razy swoje nazwisko w dziennikach wyczytał.

Nie przeczuwał, że to wszystko przybierze tak ogromy rozgłos.

Wprawdzie nie ogłosiło jeszcze jury sprawozdania ze swej czynności, ale wiedziano już ogólnie, że obydwa dramaty odznaczały się niezwykłą oryginalnością, przedziwnym czarem poezji i nieskazitelną czystością języka.

W jednem piśmie mógł wyczytać, że od niego dopiero zapoczątkowuje się nowy dramat polski na miarę europejską — w innym zaś przepowiedziano młodemu, nieznanemu dotychczas artyście świetną przyszłość, jeżeli już w tak młodym wieku zdołał stworzyć tak kapitalne dzieła. — Gdzieindziej zastanawiano

się nad dojrzałością i samokrytycyzmem autora, który nie roztrwaniał swoich sił na drobne utwory, nie gonił za popularnością i rozgłosem, nie ogłaszał jednodniowych bagatelek, ale odrazu w pełnym rynsztunku na literackiej arenie się zjawił.

Dowiedział się przy tej sposobności, że bliższe, aczkolwiek szczupłe kółko znajomych jego dawno już umiało ocenić niezwykłe zdolności pisarskie młodego autora, chociaż sam był bardzo skromny i niezmiernie rzadko o sobie lub też o tworze swoim wspominał.

Ale wystarczyło słuchać jego świetnych i wytrawnych wywodów na temat sztuki, jego głębokich pojęć o jej istocie i zadaniu, by móc odrazu wywnioskować, iż ma się z istotnie twórczym artystą do czynienia. To też to bliższe kółko całkiem nie zostało zaskoczone jednogłośnym wynikiem jury.

— O psia krew! — mruczał Bielecki w trakcie czytania — ach! jakie to nieprzyjemne — ach! jak mu ta sława dokuczać poczynała — a to ostatnie — to o tem bliższem kółku, to już chyba na kpiny zakrawa. On je widział to kółko, tak groteskowo śmiesznie zaskoczone, patrzące na niego z rozdziawioną gębą, wybałuszonemi ślepiami, podejrzliwie mrugające,

przecierające oczy ze zdumienia, co się stało.

Był istotnie za skromny, za rzadko o swoim tworze wspominał, by ich to zaskoczyć nie miało.

Znali go jako birbanta, cynika, mistrza w uwodzeniu kobiet i urządzaniu bibek, podziwiano jego silną głowę, bo nikt go jeszcze nawet zamroczonym nie widział; ale tego, by mógł nagle wziąć aż dwie pierwsze nagrody na bardzo poważnym konkursie, tego nikt nie przeczuwał.

Uczuł zaniepokojenie. Zdawało mu się, że wszyscy na ucho sobie szepczą, iż Górskiego okradł, że jest to już głośną tajemnicą, że te wszystkie pochwalne hymny to na jego cześć wrzody, nabrane jadowitym plugiem: lada chwila pęknąć mogą, a wtedy wszystko wyjdzie na jaw... Śledził podstępnie Łucję na każdym kroku, zamykał ją prawie w domu, stronił jak mógł od ludzi; reporterów, którzy się gwałtem do niego cisnęli, zbywał półgębkiem, albo szorstką odprawą, żeby mu raz wreszcie do stokroć tysięcy djabłów dali spokój; w kółku swych nieodłącznych trabantów całkiem się nie pokazywał; do kawiarni chodził ukradkiem, wycinał sumiennie wszystko, co o nim pisano i przynosił Łucji.

Wtedy siadał naprzeciw niej i z natężoną uwagą śledził jej twarz. Ale ani jednym ruchem nie zdradziła, co się w niej dzieje. Żeby jedno drgnięcie, jeden figlarny błysk ironicznego śmiechu w oczach, jedno chociażby zacięcie kącików ust, ale nic, zgoła nic. Tylko kamienna skupiona powaga.

Cóżby u djabła miało to znaczyć? Czyżby istotnie miała uwierzyć, że te dwa nagrodzone dramaty są istotnie jego własnością? Czasami zdawało mu się, że rzeczywiście dokonał się w jej duszy ten niepojęty cud, iż zdołał ją do tego stopnia zahypnotyzować, że całkiem o jego „tranzakcji" zapomniała i szczerze się cieszy jego triumfem.

Triumfem! aż zgrzytnął zębami — Triumf trawiącego niepokoju i lęku, triumf czapki, co na złodzieju gore.

A może ona w tej chwili o Górskim myślała — może wszędzie kreśliła jego, Bieleckiego nazwisko i rehabilitowała Górskiego?

Drżał wtedy z wściekłości. Chodził naokoło pokoju, pastwił się nad zmarłym, wykpiwał z brutalnym cynizmem, na jaki się tylko mógł zdobyć — jego twór, pienił się na głupotę tych sędziów, krytyków, którzy te brednie niesłychane mogli uwieńczyć. Z bystrością

zaciekłej nienawiści jął wywłóczyć słabe strony dramatów, wyolbrzymiać je do potwornych, karykaturalnych rozmiarów; zacietrzewiał się coraz gwałtowniej, rozpędził wszystkie koła swego mózgu, nadludzkim prawie wysiłkiem puszczał je w coraz szybszy bieg: tysiące jemu samemu nieznanych kółek poczęło się w siebie wzbiać i wówczas jakby w jakimś transie jął jej wykładać szybko, bezładnie, namiętnie, jakby to on, gdyby był miał czas, gdyby nie ten gwałtowny, przeklęty termin konkursu, gdyby nie ten idjota Górski był przynajmniej miesiąc przedtem się otruł, — otóż, jakby on był te same tematy, same w sobie niezłe, obrobił — coby on był wtedy istotnie stworzył! Nie pozostałoby śladu z Górskiego — niedołężna fabuła co najwięcej — fabuła, jakich tysiące codziennie w gazetach albo w rozprawach sądowych mógłby znaleźć.

Przysłuchiwała mu się uważnie, raz po raz spojrzała na niego z ciekawością — zdawało mu się, że w jej oczach widzi wyraz radosnego zdumienia — wtedy więcej jeszcze się podniecał, uczuwał coś nieznanego, bijącego światłem, co się przez mgłę przedzierało, wzdłuż krzyża pacierzowego przebiegało zimnym dreszczem. Sam sobie wbijał ostrogi,

podcinał batem — daleko już odbiegł od pierwotnego tematu, rozsnuwał szerokie plany, narzucał cały scenarjusz, stawiał ludzi na scenie, kazał im żyć, poruszać się, uplastyczniał ich głosem i gestem, rzucał ich na siebie, kazał im się kochać i nienawidzieć, rozbudzał namiętności i kiełznał je, podjudzał, aż wreszcie jakimś niesłychanym wysiłkiem woli wprawił się w stan artysty w chwili najwyższego naprężenia twórczego.

Wyczerpywało go to niepomiernie. Mózg jego zdawał się rozszczepiać na dwie połowy. Jedną wprawiał w stan takiego podniecenia, że drżał na całem ciele, potniał, miał wrażenie, że coś się w nim rozprzęga, zrywa ze zbyt silnego napięcia, a drugą śledził czujną, zimną uwagą wrażenie, jakie na Łucji wywiera.

Wreszcie zatriumfował. Wprawdzie już od kilku dni zauważył w Łucji coraz większe zajęcie się tem, co mówił. Z coraz większą ciekawością patrzyła na niego, zdawała się brać gorący udział w jego wytężonej, bolesnej niemal pracy. Ale nigdy jednem słowem nie zdradziła się przed nim, co myśli.

Tego wieczora jednakowoż nie mogła się już dłużej powstrzymać. Bo też nigdy jeszcze nie wytężył tak swego mózgu. Rozbudził

wszystkie zapasy swych sił, z ciemni podświadomości przychodziły mu nowe, których jeszcze nie znał, nie przeczuwał nawet, do pomocy. Jęły się tworzyć związki rzeczy najodleglejszych, takich, które na jawie w żadnym z sobą połączeniu nie stoją. Banalna jakaś codzienność nabierała w nowem oświetleniu całkiem innej wartości, drobna napozór, nikła rzecz —wyrastała do kosmicznych wymiarów, a zwykły, utarty frazes przetwarzał się w głęboki symbol rzeczy wiecznej i niezmiennej.

W rozpaczliwem napięciu woli zdołał przerwać na chwilę gęstą mgłę, która mu zasłaniała dalekie widnokręgi, twórcy tylko znane, i na jedną chwilę stał się tym, co tajemne znaki tłumaczy, kamienie ożywia, a snom i wizjom swoim nadaje potęgę stokroć silniejszej rzeczywistości, aniżeli ta, którą się w dniu codziennym żyje.

Łucja patrzyła na niego roziskrzonemi oczyma, ze zdumieniem i gorącą radością, i nagle wyciągnęła ku niemu ręce.

— Ależ, człowieku, na coś ty potrzebował Górskiego? Przecież w tobie samym tkwi takie ogromne bogactwo, że dla mnie wprost niepojęte, jakeś się mógł pokusić o dorobek obcego człowieka!

Było to jakby się nad nim całe ogromne niebo wyzwalającej łaski roztworzyło. Gorętszej, więcej zdumionej, najgłębszą wdzięcznością przepełnionej radości nie mógłby odczuć paralityk, któremu cud daje nagle władzę nad obumarłemi członkami.

To go wyzwoliło.

Chwilę miał odruch pragnienia paść jej do nóg, i całować je i płakać w uniesieniu tego wyzwolenia, które mu dała, ale zapanował nad sobą.

— Brak wiary twej we mnie strasznie mnie gnębił.

— Wierzę ci teraz, wierzę...

— To chyba i ty rozumiesz, że to wszystko, co Górski napisał, posłużyło mi tylko za deskę rozpędową — miało dla mnie wartość o tyle, że niejedno sobie uświadomiłem, na cobym dużo czasu był stracił, a porządkując chaotyczną robotę Górskiego, w ciężkim trudzie i znoju wniknąłem w najskrytsze tajniki techniki literackiej...

Chciał jeszcze dłużej na ten temat mówić, ale przyszła nagła reakcja, szybki upadek sił: mózg na nowo w mgłę się spowijał.

Pozostało tylko wrażenie dumnej, pewnej siebie mocy, wyzwolenia i zwycięstwa.

— Potrzebowałem obcej deski do własnego rozpędu — to mojem prawem, zwłaszcza, że nie byłaby się nikomu na nic zdała... Teraz mnie rozumiesz — co?

Przygarnął Łucję do siebie.

— Rozumiem, rozumiem! — tuliła się do niego gorącą spragnioną pieszczotą.

— Teraz o wszystkiem zapomnijmy!

— Zapomnijmy! — szepnęła i zawisła mu w ramionach.

Jego dziś i jutro, wytężone nadmierne wysiłki, by znowu nad nią zapanować, wszystkie niepokoje, a nawet triumf zwycięstwa utonęły w fali dawno już nienasyconego pragnienia, nawpół przytomnej opiłości żądzy.

Poddawała się z chciwą rozkoszą, pijana szczęściem, że się odnaleźli, że mogła w niego wierzyć, że mgły ciężkie się rozwiały, wrota, które ich dzieliły, rozwarły się.

I już mieli się sprzęgnąć w bezpamiętnej rozkoszy, w pijanem odurzeniu, które daje zapomnienie i ciemne noce rozgwieżdża i najgorętsze żary upalnych dni studzi, obłąkane rozpacze koi, a radość w dziki szał zmaga, gdy nagle — wyprężyła się i osunęła w jego ramionach.

— Nie teraz, — szepnęła gorączkowo — mo-

żem cię nigdy nie pragnęła tak jak dziś, ale pomyśl — ukochany, mocny mój, słodki, wielki — przed nami cała noc nieprzebranych pieszczot — ale teraz — teraz... nie patrz na mnie z takim wyrzutem, ja w tej chwili chciałabym się razem z tobą pokazać ludziom, chciałabym się pochełpić mojem szczęściem... Wybacz mi tę próżność — ale ja czułam, że mnie już za nic miano — że nawet mnie obżałowywano, boś jakiś czas tak opryskliwie się ze mną obchodził... A teraz w tych ostatnich tygodniach poczęłam wierzyć, że mnie kochasz — stroniłeś od ludzi — mnie tylko wszystko mówiłeś — mnie się z wszystkiego zwierzałeś, w najskrytsze zakątki twej duszy pozwoliłeś mi wglądnąć. I... i — nie bierz mi za złe — chciałabym, by nas widziano razem w szczęściu i miłości, chciałabym, by — by... Oni już teraz myślą, że chcesz mnie porzucić z chwilą, kiedyś się stał sławnym.

Bielecki rozważał, ale szybko doszedł do przeświadczenia, że pomysł Łucji był doskonały. Jeżeli kiedy, to teraz, to właśnie dziś, w poczuciu swej zwycięskiej pewności i siły, powinien się wreszcie ludziom pokazać: spokojny, panujący nad całym motłochem w książęcej mocy.

— Ależ z prawdziwą przyjemnością. Wiem, że twoje lęki i obawy są bezpodstawne, bo wszyscy wiedzą, jak cię kocham, ale mogliby co innego pomyśleć: że stronię od nich, bo w pierze i w sadło porastam.

Nie zaszkodzi im pokazać, że powodzenie mnie nic nie zmieniło, że — machnął pogardliwie ręką — nie potrzebowałbym się o ich opinję troszczyć, bo to wszystko matołki, ale, ale... masz słuszność, tu o ciebie chodzi — to łajdackie plemię mogłoby istotnie pomyśleć, że nasz stosunek się zmienił, że się ukrywamy...

— Nietylko to, przerwała Łucja — oni gotowi pomyśleć, że ty się lękasz opinji publicznej...

Bielecki rozśmiał się na cały głos.

— Ha, ha, ha — opinja publiczna — wspaniałe! niewypowiedzianie wspaniałe! Zbieraj się, Łusiu... Udało ci się z tą opinją publiczną... chichotał rozbawiony — przypomniało mu się nagle, gdy służył przy wojsku. W tej samej kompanji służył żołnierz, nad którym podoficer, Bóg wie, z jakich powodów ustawicznie w nieludzki sposób się znęcał. Żołnierz poskarżył się, i odwołał do opinji publicznej — Ach! był to ball! Nigdy jeszcze opinja publiczna nie wywracała tak rozkosznych koziołków, jak

wtedy pod ciężką pięścią, wcale nie rozjuszonego, przeciwnie: wesoło usposobionego podoficera, i nigdy jeszcze nie widział tak sromotnie spuchniętej gęby, mistrzowsko obrabianej przez wroga opinji publicznej...

Bielecki był w niezwykle dobrym humorze, obrzucił Łucję krytycznym wzrokiem.

— Bluzka i sukienka zgrabna, ale już znoszona — trzeba nową kupić mam teraz pieniądze...

— A ten — ten weksel?

— Wykupiłem — nie lękaj się, teraz możemy sobie na wszystko pozwolić. — Wpadał w coraz lepszy humor, czuł się swobodnym i wesołym, jak rozbrykany źrebak na łące, a dusza śmiała mu się ku jasno rozświeconym widnokręgom przyszłości.

Całą piersią oddychał. Nie potrzebował myśleć już wstecz, ani się zastanawiać nad tem, czy deska rozpędowa była jego, czy nie — a skokiem, na razie zbytecznym, było by głowę sobie zaprzątać.

— Już jestem gotowa — Łusia nakładała welonkę na kapelusz.

Wyszli na ulicę.

Poraz pierwszy uczuł Bielecki w sobie szeroki gest człowieka, który z wyżyny wieży ratuszowej spogląda na miasto:

— Ile ono kosztuje? W każdej chwili je kupić mogę...

X

W kawiarni Szotta było gwarno, wesoło i pełno.

Tylko przy stole, zarezerwowanym dla kółka Bieleckiego, posępna cisza, nuda i przygnębiający nastrój.

Zieleniak rozciągnął się zawadjacko w krześle, patrzył w sufit, albo też z głęboką pogardą spoglądał na sąsiednie stoliki, przy których siedzieli wypasieni obywatele. Pili już piątą flaszkę Sauternes. Zieleniak dokładnie liczył flaszki i z coraz większą złością ku bogatym świniopasom zerkał. Teraz jeden kazał sobie kelnerowi sturublówkę zmienić. Zieleniakowi aż się źle zrobiło na ten widok. Odwrócił się i splunął na ziemię.

Kotowicz zagłębił się w czytaniu gazet, przynajmniej udawał, że czyta — przy tej strasznej bryndzy nie chciało mu się ust otworzyć.

Zieleniak trącił go.

— Patrz tylko, to bydlę sto rubli zmienia.

Kotowicz ani drgnął, mruknął tylko coś pod nosem.

— Powiedz tylko, rozpoczął Zieleniak po chwili, dlaczego ten bałwan Bielecki całkiem już tu nie przychodzi?

— Bielecki? Boi się pewno, żebyś rubla od niego nie pożyczył.

Nazwisko Bieleckiego zgalwanizowało cały stół. Gajecki, który przed chwilą jeszcze drzemał od nadmiernego wyczerpania, otworzył nagle oczy i ziewnął ostentacyjnie.

— Obmierzłe bydlę, rzucił przez zęby, zrobił na nas majątek, bo podobno nas wszystkich sportretował, okradł nas, bo to wszystko, cośmy mu opowiadali, jak najhaniebniej zużył, nasze myśli, nasze przeżycia oblał swoim martwym sosem, dostał za to pieniądze, a teraz od nas stroni.

— A tak — tak! — wtrącił Żbik — jego właściwego nazwiska nikt nie wiedział — tajemnicza to jakaś sprawa z temi dramatami! Niejedno dałoby się o tem powiedzieć, a jeżeli nie powiedzieć, to w każdym razie na podstawie pewnych przesłanek skombinować, pe-

wne wnioski wyciągnąć, coś: tego, owego, co niezbyt czystą woń roznosi...

Rozejrzał się z tajemniczą miną naokoło.

— Tak, istotnie — Gajecki rozruszył się — Bielecki ma przyczyny, dla których nas unika — teraz nieprzyjemnie tu nas spotykać. Każdy z nas może mu w oczy powiedzieć: Słuchaj ty gałganie, ten pomysł mnie ściągnąłeś, a to ja ci przecież opowiedziałem, a to dosłownie moje zdanie... takich rzeczy niechętnie się słucha.

— Tak, rzeczywiście — zawyrokował piskliwym głosem młodzieniaszek, którego nie wiadomo z jakich powodów Chrześniakiem nazywano — im człowiek głębiej nad tym niepojętym faktem myśli, tem niezrozumialszym się staje... To rzeczywiście jak grom z jasnego nieba: Bielecki i dwa nagrodzone dramaty — to rzeczywiście niepojęte, bo jeżeli się wszystko rozważy...

— To dojdzie się do przekonania, — przerwał Kotowicz wściekły, że mu nikt kieliszka wódki dotychczas nie zafundował — że jesteś rzeczywiście ostatnim idjotą.

Chrześniak spojrzał wystraszony na Kotowicza, którego się bał, i za jego ordynarne grubiaństwa niezmiernie poważał.

— Mógłbyś rzeczywiście — jąkał się.

— Jesteś rzeczywiście dardanelskim osłem, jeżeli nie wiedziałeś, że od pół godziny mój kieliszek pusty.

— Czemuś mi prędzej nie powiedział? Chrześniak zakłopotany, ale z buńczuczną miną zawołał kelnera.

Nastąpiła chwila natężonego wyczekiwania.

Kelner zaledwie spojrzał w stronę tego stołu — zdawał się on być w tej kawiarni rodzajem Ghetta.

Chrześniak spotniał.

— Kelner — zawołał po długiej chwili... w tej złowrogiej, naprężonej ciszy naokół tego, przez kelnera bojkotowanego stołu, głos jego zabrzmiał w piskliwym dyszkancie tak surowo, że Chrześniak się przestraszył.

— Czego? — odburknął kelner niechętnie.

Wszyscy patrzyli przed się z ostentacyjnie obojętnemi minami.

— Pięć kieliszków wódki — Chrześniak silił się na spokój i powagę.

— Ja już panu nie borguję, — rzekł kelner wyniośle i podszedł do obywatelskiego stołu, który to stół właśnie szóstą flaszkę zamówił.

— To było do przewidzenia—zakonkludo-

wał Zieleniak — a ten bałwan Bielecki zarobił na nas dwa tysiące rubli i nie pokazuje się — a wstyd — hańba! A ci, psiakrew, skurczybyki obywatelskie, świniopasy jakieś, już szóstą flaszkę piją.

W rogu kanapy siedział młody człowiek, ubrany według ostatniej mody, milczał zawzięcie i miał minę jakby do całego towarzystwa nie należał.

O obmierzłą gębę tej głupiej małpy, jak go Kotowicz nazywał, zarzucił tenże teraz kotwicę ostatniej, rozpacznej nadziei:

— Mecenasie! — rzekł grobowym głosem.

Mecenas spojrzał na niego życzliwie:

— Czego pan sobie życzy? — przyłożył rękę do ucha, jakby nie dosłyszał dobrze.

— Daj mi rubla.

— A! owszem: mam, ale nie dam.

— Szuja! — wrzasnął Kotowicz

Mecenas wyjął portfel, nabity banknotami samych trzyrublówek, aby majątek jego pokaźniej wyglądał, i zaczął je spokojnie przeliczać.

To doprowadziło Kotowicza do wściekłości.

— Świnia!

Mecenas spojrzał na niego, skłonił mu się

grzecznie, włożył pieniądze z powrotem do portfelu, schował do kieszeni.

— Jak pan widzi, mam, ale nie dam!

— Precz! — pienił się Kotowicz. Wszyscy oczekiwali w naprężeniu dawno już przewidywanej awantury, gdy nagle ich uwaga skierowała się ku wejściu.

W drzwiach stał Bielecki, Łusię trzymał pod ramię.

W kawiarni, w której dobrze go znano, zrobiło się cicho — przebiegł tylko po sali, jak poświst wiatru, przytłumiony szept: Bielecki, Bielecki...

On stał przez chwilę uśmiechnięty, wesoły, zdawał się na nikogo nie zważać, jakby już od lat całych był przyzwyczajony do tego, że oczy jego bliźnich muszą i powinny się ku niemu kierować, a głosy mimowoli z szacunku cichnąć. Szepnął swobodnie Łusi coś do ucha — Łusia się roześmiała — torował sobie między stolikami jakby od niechcenia drogę, robiono mu uprzejmie miejsce, a przy nim szła Łusia, szczęśliwa i cała rozpromieniona.

Słyszała nazwisko Henryka powtarzane od ust do ust, czuła, że wszystkich oczy na nich są zwrócone, obudziła się w niej nagle

próżność i duma, i w tej chwili zapomniała, że jakiś tam Górski istniał.

Myśli biegły przez głowę z błyskawiczną szybkością, żadnej pochwycić nie mogła, czuła się tylko dumną i szczęśliwą.

Stół, do którego Bielecki kierował, przed chwilą jeszcze niewidzialnym murem odgraniczony od reszty kawiarni, stał się nagle jej najwidoczniejszym punktem: celem ogólnej ciekawości, niejako estradą, a wszystko inne tonęło w mrokach prostej widowni.

Sześć par rąk wyciągnęło się z wylaną serdecznością ku Bieleckiemu.

Bielecki ściskał mocno ich przyjacielskie dłonie i śmiał się wesoło.

— No, chłopcy, pewnoście już myśleli, że skryłem się przed wami pod czcigodną kieckę porządnego obywatelstwa?

— Na pohybel temu, ktoby śmiał cośkolwiek takiego o tobie pomyśleć, — odrzekł Zieleniak trochę niepewnym głosem.

— Na pohybel — zaświegotał Chrześniak.

Zrobiono dla Łusi miejsce na kanapie, skąd mogła całą kawiarnię wzrokiem objąć.

Wrażenie, jakie ich wejście wywarło, jeszcze nie przeminęło — szeptano sobie po cichu do ucha — panie jej się ukradkiem bacznie

przyglądały, widocznie robiły sobie uwagi, ale ona dziś czuła się pewną i zuchowato, prawie wyzywająco rozglądała się dookoła.

Dawniej pies, kot nie zwróciłby w tej kawiarni na nich uwagi, a dziś zdawał się prócz nich nikt nie istnieć.

— Przecież, u licha, nie posądzaliście mnie, że tam jakaś nagroda konkursowa łeb mi zawróci — między wami niejeden więcejby na to zasłużył — tłumaczył się Bielecki...

— No, daj spokój, to już zbytek skromności...

Żbik ułożył swą twarz w odświętną szatę szczerej powagi.

— Jeżeli się to komu należało, to tylko tobie... Przykro nam tylko było, żeś tak długo tu nie zachodził.

— Nie miałem czasu — i teraz nie warto tracić go na wyjaśnienia — więc, chłopcy: niech się krew poleje! — Rozglądał się za kelnerem, ale ten już stał obok z uprzedzającą grzecznością.

— Pan rozkaże?

— Trzy flaszki szampana — Veuve Cliquot...

— Dobroczyńco, każ mi nasamprzód dać

potrójną wzmocnioną, inaczej tej szampańskiej lury nie przełknę — wybuchnął Kotowicz.

— Aha! szampan stawić na lód, a tymczasem: raz — dwa — trzy — ośm potrójnych wzmocnionych.

Gajecki przysunął się do Bieleckiego.

— Ale skryta bestja z ciebie — żeby też jednem słowem się nie zdradzić — myśmy oczom nie chcieli wierzyć...

— Widzisz, w tych wypadkach najlepiej nic przedtem nie mówić — równie dobrze mogłem nie osiągnąć zaszczytu tak zwanej zaszczytnej wzmianki, — a wtedy — co?

Bielecki miał ochotę parsknąć cierpkim szyderczym śmiechem, ale zdusił go w sobie...

Już ja was znam, aż nadto dobrze, pomyślał, ale mniejsza z tem, nie chciał sobie psuć dobrego humoru: wiedział już teraz, że panowanie jego się rozpoczęło. Rozproszyły się wszystkie obawy i lęki. Uczuł mocny, trwały grunt pod nogami. Szedł tu z pewnem niespokojnem drżeniem, jak idzie niebezpiecznie zahazardowany spekulant na giełdę. Jeden rzut oka wystarcza, by się przekonać, czy akcje doskonale stoją, — nikt mnie o nic nie podejrzewał, przeciwnie: manometr szacunku

i poważania podskoczył o kilkanaście stopni w górę.

Czuł wprawdzie naokół zazdrość i zawiść, ale cóż go to obchodzić mogło? Jego spekulacja była niebezpieczna i ryzykowna; mało ktoby się na nią odważył — równie dobrze jak wygrał, mógł sobie kark skręcić — spojrzał w stronę Łucji — no! ale wygrał.

Nie miał jednak czasu na medytacje — co chwilę ktoś przychodził, ściskał mu ręce, winszował, przypominał się jego pamięci. Składali mu gorące życzenia ludzie, których przelotnie widywał, nawet tacy, którzy dawniej przez ramię na niego patrzyli. Bielecki żartował, dziękował, śmiał się przyjaźnie na wszystkie strony i — dziwna rzecz — uczuł nagle przykry niesmak i zniecierpliwienie.

Wypadasz z roli! szepnęło mu coś cicho, więc na nowo zbierał siły i odpierał niebezpieczne fale, które trwały fundament, na jakim się rozparł, podmywały.

Sic itur ad astra chichotało mu coś szyderczo w duszy — spojrzał roztargniony po sali. Nagle z przeciwległego kąta zahaczyło się o jego oczy czyjeś spojrzenie, które już dawno na sobie czuł — spojrzał uważnie.

Przy małym stoliku siedziała Karska sama i zdawała się do niego uśmiechać.

Chwilę się zaniepokoił — zawahał, a potem wstał od stołu i podszedł ku Karskiej.

Wyciągnęła do niego rękę.

— Serdecznie się ucieszyłam triumfem pańskim...

— Dajmy temu spokój, nie bierzesz mi za złe? — szepnął.

— Co? to, żeś się pan nie pokazywał? Ależ głupstwo...

Bielecki spojrzał jej głęboko w oczy. Porozumieli się.

— Czy wolno panią poprosić do naszego stołu?

— Owszem. Ciekawam bardzo poznać pannę Łucję.

Bielecki odzyskał całą swobodę, podprowadził ją do stołu, przy którym gospodarzył tymczasem z wielką werwą i gościnnością Kotowicz.

Po kilkakrotnych kolejkach nastrój był już bardzo ożywiony. Karską, powabną przedstawicielkę płci słabszej, powitano ogólną radością.

Łusia spojrzała na nią nieufnie — sama

nie wiedziała dlaczego, ale zrobiła jej obok siebie miejsce.

Karska zdążyła pochwycić jej spojrzenie.

— Bardzo się cieszę, że wreszcie mam sposobność panią poznać — mówiła to z swobodną prostotą — Borsuk tyle mi o pani opowiadał...

— Borsuk, ach tak! — Łusia odetchnęła i znowu nie wiedziała, dlaczego jakaś chmura niepokoju w niej się rozpierzchnęła.

— Pan Borsuk robi mój portret i tam poznałam pana Henryka... Mogę sobie wyobrazić, jak pani musi być dumną i szczęśliwą triumfem swego męża...

Rozkoszny dreszcz przeniknął Łusię — poraz pierwszy nazwał ktoś Henryka jej mężem.

Prysły lody, w obłok wdzięcznej radości rozwiała się nieufność.

— Piękna z was para, — Karska mówiła szczerze i serdecznie — jakeście weszli, cała kawiarnia się ku wam zwróciła...

— To powodzenie robi — Łusia już była całkiem oswojona — dawniej tu nikt nawet na nas nie spojrzał.

— Tak, powodzenie, urok sławy — piękna żona...

Łusia chciała już powiedzieć, że jeszcze nie jest żoną Bieleckiego, ale te dwa słowa: mąż — żona rozdzwoniły się tak rozkosznie w jej sercu, że pragnęłaby jak najdłużej pieścić się tem słodkiem złudzeniem, że Henryk jest jej mężem, ona jego żoną.

Nigdy przedtem o tem nie myślała, związek małżeński, tak cynicznie przez Henryka wyśmiewany, wydawał się jej tak niemożliwym w ich stosunku, tak czemś chimerycznem, że ani chwili się nad tem nie zastanawiała.

A teraz nagle obudziło się w niej pragnienie, by posiąść Henryka, by jej tylko przynależał, by cały świat szanował ją jako jego żonę, a nie jako przygodną kochankę. — Ho, ho, jakie to piękne w literaturze: kochanka! A w życiu plugawione, bezczeszczone, poniewierane.

Gorycz w niej wzbierała.

Przed żoną z czcią i pokorą się słaniają, a czyjaś kochanka — oho: dla wszystkich suka, którą psiarstwo obwąchuje.

Przebiegł ją dreszcz wstrętu, a równocześnie uczuła wdzięczność dla tej obcej kobiety, która ją żoną Henryka nazwała, jej miłość i oddanie mianem żony uświęciła.

Bielecki śledził uważnie zbliżenie się oby-

dwóch kobiet, ujrzał przyjazne oczy Łusi i uśmiechnął się zadowolony.

Ktoś go trącił.

Obejrzał się zniecierpliwiony: na chwilę spokoju mu nie dawano!

— A! to ty, Borsuk — wstał uradowany.

— Masz chwileczkę czasu dla mnie?

— Ależ owszem.

— To chodź do mojego stolika.

— Siądź tu z nami.

— Nie, nie — ty wiesz, ja nie piję, ja tych ludzi wszystkich nie znam — małą chwileczkę tylko...

Bielecki siadł z nim razem w kącie.

— Szukałem cię od dłuższego czasu, ale cię nigdzie znaleźć nie mogłem, chciałem ci powinszować...

— Daj spokój — to głupstwo...

— I jeszcze raz ci podziękować — ja nie wiem, czem ci się odwdzięczę — ja — Borsuk był niezmiernie zakłopotany — ja nie powinienem tego wszystkiego od ciebie przyjmować, bo mi życia nie starczy, by się wywzajemnić.

— Słuchaj, Borsuk, usilnie cię proszę, nie gadaj głupstw. — Bielecki mówił bardzo serdecznie i poważnie — To wszystko, co zrobiłem,

to mnie nic a nic nie kosztowało, to zrobiłem przypadkiem i mimochodem...

— Ale ten obstalunek na portret tyś mi też przecież wyrobił...

— Wcale wyrabiać nie potrzebowałem. Hrabiego znałem oddawna, ożenił się, chciał mieć portret swej żony — spotkaliśmy się na ulicy, pytał mnie się, czy nie mogę mu jakiego dobrego malarza polecić — no i to wszystko... Był u ciebie, mówił mi, że mu się twoje obrazy nadzwyczajnie podobały.

— Zaprosił mnie do siebie na całą jesień — przerwał Borsuk uradowany.

— To doskonale! Przesiedzisz tam jesień, będziesz malował, — razem z hrabią polował...

Borsukowi oczy się zaświeciły.

— To wszystkoś ty zrobił. — Spojrzał nagle w stronę stołu Bieleckiego i spochmurniał.

— Skąd się ta pani tam wzięła?

— Jaka pani?

— No, ta Karska?

— Była tu w kawiarni, siedziała sama, więc poprosiłem ją do naszego stołu.

— To nie dobre towarzystwo dla panny Łucji — mruknął niechętnie.

Bielecki roześmiał się.

— Nie lubisz tej Karskiej — mniejsza

o nią — tu o ciebie chodzi... Obrazy zabezpieczyłeś?

— Zabezpieczyłem.

— Na ile?

— Dwadzieścia pięć tysięcy.

— A to mieszkanie, o którem ci mówiłem, wynająłeś?

— Wynająłem — malarz pracować tam nie może, ale na razie świetny skład na płótna.

— No, widzisz, doskonale się wszystko złożyło.

— Z twoim gospodarzem też wszystko załatwione, a teraz szczęść Boże na twoją drogę! Kiedy jedziesz?

— Za tydzień.

— No, to się jeszcze zobaczymy, a teraz wybacz, muszę wracać do gości. A może się jednak do nas przysiądziesz?

— Nie, nie — ja nie piję, ja — wybacz, nie bierz mi za złe... — Borsuk był cały wylękniony.

— Więc do widzenia.

Przy stole kółko wzrosło już o paru nowych gości. Trzecia flaszka szampana była już napoczęta.

Cesia z kabaretu, znanego powszechnie pod nazwą „Sprośnego Marchołta", podbiegła

ku niemu z zamiarem rzucenia mu się na szyję z radości, ale w sam czas zdążył silnym uściskiem malutką dłoń tak skręcić, że unicestwił ten rozpęd.

— Jezus Marja! Bo mi rękę zmiażdżysz!

Nieodstępna towarzyszka Cesi, wiotka, delikatna Miecia wyrecytowała z głębokim dygiem swe życzenie — ale z tem wszystkiem zmiarkował Bielecki, że czas, by się wraz z całem kółkiem usunąć z przed oczu profanów.

Trzeba się szanować, pomyślał, cała ta niesforna hałastra może od niego odsunąć ludzi wpływowych, rajców miejskich, zamknąć mu drzwi do domów porządnych — roześmiał się w sobie szyderczemi kpinami.

Skinął na kelnera, zamówił osobny pokój.

Za chwilę całe towarzystwo znalazło się w bardzo przyzwoitej separatce z kanapkami, lustrami, nawet pianinem.

Tu sobie mogą robić, co im się żywnie podoba, pomyślał Bielecki i spojrzał przez okno: wychodziło na wąskie podwórze, a na przeciw sterczały nagie mury sąsiedniego domu.

Kelner z uniżoną służebnością ustawiał na osobnym stole kubły z lodem, wsadził w nie troskliwie flaszki szampana, z głębokim sza-

cunkiem patrzył na Bieleckiego, czy jeszcze czego nie potrzeba.

Chrześniak przecierał oczy: nie był w stanie zrozumieć, że to jest ten sam kelner, który przed chwilą nie chciał przynieść mu pięć wzmocnionych — w zamroczonym mózgu zaczęło mu świtać głębokie zrozumienie, co powodzenie i sława znaczą.

Żbik siedział obok Gajeckiego, przeplatał szampan podwójnie wzmocnioną, i popadł w ekstazę, zwłaszcza że miał czczy żołądek.

— Jaki tam z niego artysta, jeszcze niewiadomo, — sędziowie konkursu osły, tak samo jak i krytycy, ale pomyśl tylko, co to za człowiek, co za czło-wiek!... Innyby po dwóch konkursowych dramatach nawet na nas nie spojrzał ,a ten...

— Dureń jesteś — przerwał nieprzejednany Gajecki — za własne pieniądze pijemy, on nas okradł, ograbił, nasze myśli i przeżycia sprzedał, a teraz nas gości za nasze własne pieniądze — rozumiesz?

Żbik spojrzał na niego z głęboką pogardą jak na człowieka, który się uchlał i z którym nie warto gadać...

— Zdałaby się przekąska — szepnął Bie-

leckiemu na ucho — zdaje się, że oni wszyscy na czczo, za szybko się popiją.

— Już o tem pomyślałem, za chwilę, wszystko będzie — o! patrz!

Na olbrzymiej tacy wniósł właśnie kelner wspaniałe przekąski, spiętrzone w górę w kształt kunsztownej piramidy, a za nim picolo z flaszkami najrozmaitszych wódek. Zaledwie na dwóch stołach to wszystko się pomieściło.

Cesia klaskała w ręce.

— A to ci bal! a to ci heca!

Nigdy jeszcze nie widziano Bieleckiego tak uprzejmym, tak wylanie serdecznym, tak wytwornie grzecznym.

Łusia siedziała obok Karskiej, szczęśliwa, rozmarzona; nie mogła oczu od niego oderwać. Wydał się jej całkiem nowym człowiekiem: biła od niego taka silna moc i taka wytworna pańskość, która i onieśmielała i gwałtem przyciągała, i taka wyższość nad nimi wszystkimi — serce jej zabiło gorącą miłością — wstyd ją dławił, że mogła, że... nie — nie! Przecież nigdy w niego nie wątpiła — On miał prawo to robić, co robił — tak! dla niego to tylko deska rozpędowa... Jak ona na chwilę mogła się ośmielić, robić mu jakieś przeszkody na jego drodze?!

Zerwała się, podeszła do niego, odciągnęła go na bok — wspięła się na palcach do jego ucha — i z drżącą rozkoszą szeptała:

— Mój mężu!

Spojrzał na nią zdziwiony; zaskoczyło go to, ale tylko na błysk sekundy:

— Moja jedyna ty!

— Powiedz mi żono!

— Żono!

— Raz jeszcze —

— Żono, żono, żono — powtarzał jej do ucha i pocałował ją w błyszczące, czarne włosy.

Poprzez jej ramię spojrzał w stronę Karskiej:

Siedziała na kanapie, przechylona naprzód, w ręku, opartem łokciem na kolanie, trzymała kieliszek szampana, ustami dotykała brzeżku szkła, a oczy, uśmiechnięte — szyderczo? — nie wiedział dobrze — były w nich wlepione.

Bystrzej jeszcze spojrzał.

Nie! to było spojrzenie porozumiewawcze— spojrzenie? ostroga raczej.

— Chodź na chwilkę do nas — Łusia pociągnęła go na kanapę i siadła obok Karskiej.

— Nalej!—trzymała próżny kieliszek w rę-

ku. — Ach! jak to dobrze, że cię namówiłam, żeśmy tu przyszli — dawno już nie było tak wesoło.

Oczy Łusi iskrzyły się — usta się śmiały — wszystko się w niej śmiało, nawet włosy, z których powymykały się drobne ciemne loczki w okół małej główki.

Bielecki nalał puste kieliszki.

— Precz, precz smutek wszelki — chichotała Łusia, — jak to dalej idzie?

— Zapal fajki, staw butelki! — dorzucił Bielecki. ale w tej chwili podszedł do niego mecenas.

— Na jedną chwilkę — mina jego była posępno-poważna.

— A cóż takiego?

— Pozwalam sobie zwrócić panu uwagę, że pan Kotowicz znajduje się w niepoczytalnym stanie.

— Cóż znowu?

— Prosił mnie przed przyjściem pana, bym mu dał rubla, ale ponieważ nie jestem jego bankierem i odmówiłem mu, teraz szkaluje mnie i nie daje chwili spokoju...

— Wie pan... — Bielecki stał się bardzo poważnym. — Tę sprawę trzeba załagodzić. Kotowicz gotów zrobić panu awanturę, znie-

ważyć pana czynnie, czemu przeszkodzić nie mogę — a pan będzie wtedy musiał reagować na pojedynek...

Mecenas drgnął.

— Tak, pan go rzeczywiście obraził, dając mu do poznania, że go pan uważa za niewypłacalnego.

— Niech się krew leje! — krzyczał Kotowicz — ofiara wina i krwi — i przeszywał srogim wzrokiem mecenasa.

Mecenas podszedł ku niemu, ujął go za ramię:

— Pozwoliłem sobie na mały żart, odmawiając panu pożyczki — ale wie pan przecież, że z chęcią służę. Ile pan sobie życzy?

— A widzisz, durniu, przyszła koza do woza — inaczej jutro bielałyby twoje kości za rogatkami... Już ci miałem świadków posłać — dawaj trzydzieści rubli...

Delikatniutka Miecia akompaniowała na fortepjanie Cesi do kabaretowej piosenki, której, jak twierdziła. sam Scholander ją nauczył:

„Trois jeunes tambours,
Revennants de gurr'e..."

Łucja oparła się o ramię Karskiej:

— Jaka szkoda, że pani prędzej nie poznałam... ale nie! dobrze właśnie, że dziś...

— Dlaczego?

— Bo jestem dziś szczęśliwa i taka dumna, że Henryk jest moim — zaśmiała się nagle, nie wiedząc dlaczego: trochę jej się w głowie kręciło.

— Szampan mi trochę głowę zawrócił — wyszłam w ostatnich czasach z trainingu — ale dlaczego pani nie pije? Zieleniak, Zieleniak, daj nam tu szampana!

Karska głaskała włosy Łusi.

— Musicie być bardzo szczęśliwi, prawda? — szeptała jej pieszczotliwie do ucha.

Łusia podniosła głowę i w upojonem rozmarzeniu przytuliła się jeszcze bliżej do Karskiej:

— Gdybyś wiedziała, jak ja go kocham... niechby się która do niego zbliżyła, w kawałki ją rozszarpię!

— A on cię kocha?...

Łusia roześmiała się na cały głos:

— Przecież ja jego żoną... — Oprzytomniała nagle, zerwała się, potarła czoło, spojrzała Karskiej bystro w oczy:

— Czy pani o tem wątpi?

Karska objęła ją w pół i przytuliła do siebie.

— Słuchaj, jam nie wiele starsza od ciebie — kiedy one sobie zrobiły ty? myślała Łu-

sia — przypomniały jej się pensjonarskie czasy, gdy się tak siedziało o zmroku i opowiadało sobie: Kochasz go? a on cię kocha? Piękne to były czasy —

„J'ai trois vaisseaux
Sur la mer flotlante,"

śpiewała Cesia z junacką postawą i biła się w piersi.

— A ja mam trzydzieści rubli — szepnął Kotowicz do ucha Zieleniakowi — ten dureń chce jakiegoś rewersu, wytłumacz mu, że to nowa zniewaga dla mnie.

Kotowicz posiadał tę właściwość, że kiedy chciał, był pijanym, niepoczytalnie pijanym, a kiedy chciał, w tejże samej chwili mógł być trzeźwym, trzeźwiejszym od takiego, co wszystkie cztery śluby eleuteryczne złożył.

Bielecki z wszystkimi rozmawiał i żartował, śmiał się, do wszystkich przepijał, wszystkim nalewał, a sam zważał, by możliwie mało pić i z oczu nie spuszczał Karskiej i Łusi.

Szeptały sobie coś do ucha, śmiały się jak dwie rozbawione pensjonarki, zdawało się, że teraz dopiero znalazły teren, na którym już całkiem do siebie zbliżyć się mogły...

Zdumiewająca aktorka, pomyślał Bielecki i zwrócił się do Kotowicza.

— Patrz tylko, bełkotał Kotowicz, jak ta twoja Łusia do tej — no, do tej Karskiej przylgnęła — ho, ho! niczego niewiasta ta Karska... Co za djabelska twarz — jakie ramiona! jak ona teraz Łusię pogłaskała — niczem biblijny wąż — Kotowicz raczył być znowu pijanym.

„Sir le roi, je vous la remercie,
Mais dans mon pays il y de plus jolies..."

Gromkie oklaski rozległy się po pokoju — Cesia dumna i promieniejąca kłaniała się na wszystkie strony.

— Och! jakie to mdłe picie ten szampan! Chrześniak daj nam wódki.

— Żbik! Miecia! — Komenderowała Cesia.

Żbik siadł do fortepjanu i zagrał macziczę.

Cesia pochwyciła Miecię:

— Takiej macziczy w Paryżu nie zobaczysz, — zaśmiała się Bieleckiemu w twarz.

I rzeczywiście Bielecki, choć był w Paryżu, takiej macziczy nie widział.

Te pierwsze, banalne ruchy — głupstwo! ale nagle... Cesi twarz zaczęła się rozpalać, ramiona nabierać jakiejś giętkości i siły stali, zdawała się zapominać, że ktoś na nią patrzy,

przyciskała do siebie delikatną Miecię, łamała ją jak gibką trzcinę, to znów wtulała ją między swe nogi, przechyla się nad nią całym ciężarem tułowia, znowu podrzucała na siebie, tarły się z miłosną rozkoszą o siebie, odrzucały, przygarniały — gibkie członki nóg i ramion zdawały się nierozerwalnie splatać, znowu rozluźniać i z większem jeszcze pragnieniem się z sobą sprzęgać...

Zapanowała cisza w pokoju.

Łusia patrzyła, oparta o ramię Karskiej, ale w oczach jej się ćmiło, widziała wszystko jak przez mgłę. Głaskała tylko machinalnie rękę Karskiej, która na jej kolanach spoczywała.

Przesuwała rękę swoją po smukłej ręce Karskiej — przymknęła oczy...

Ni stąd, ni zowąd zaczęły się cisnąć do jej mózgu przykre, niemiłe wspomnienia.

Jakieś myśli ciemne i zawiłe wydobywały się z ciężkim trudem na wierzch; jakieś niezrozumiałe związki kojarzyły się pomiędzy tą ręką, którą głaskała — a — a... co to wtedy było?

Łusia nagle otrzeźwiała.

Jak w oślepiającej swą przeraźliwą rzeczywistością wizji stanęła jej ta noc przed oczyma, kiedy w niepamiętnej, obłąkanej rozkoszy

oddała się Henrykowi. Słońce rychłego wschodu potokiem różowego światła zalało pokój. Wyciągnął ramiona — i nagle ujrzała w czerwonem świetle jeszcze czerwieńsze, najwyraźniejsze znaki paznokci, które się głęboko w ciało były zaorały.

Jak zahypnotyzowana patrzyła uporczywie na długą, wąską rękę Karskiej, na te długie ostre palce, które się kurczyły i wyprężały jak u kota.

Czem on się tłumaczył, gdy go z lękiem i przerażeniem pytała, skąd się te znaki wzięły?

Ciemniało jej w oczach, miała ochotę schwycić rękę Karskiej — nie! całe ramię, wyrwać je z ciała i z obrzydzeniem rzucić gdzieś na środek pokoju...

To ona! ona wgrzebała swoje ostre palce w jego ciało — widziała to jak w jasnowidzeniu te ostre, drapieżne palce kota.

Wszystkiemi siłami zapanowała nad sobą — dreszcze nienawiści przeczołgiwały się przez nią całą, zacięła zęby, a w mózgu zapanowała jakaś jasna, białym mrozem ścięta noc.

Znowu posłyszała jak przez mgłę pijane

oklaski, wstała, zatoczyła się: Bielecki pochwycił ją.

— Łusiu! Co ci się stało? Może ci słabo?

Spojrzała na niego — objął ją delikatnie, i wpatrywał się w nią z troskliwą czułością.

— Nie — nie — nie! Chodź, siądźmy tam.

Poprowadził ją do kanapy w rogu ściany.

— Co ci jest? — pytał zaniepokojony.

— Ale mówiłam ci, że nic, zupełnie nic...

Oczy jej przejrzały, wświdrowała je w Karską. Nie była w stanie jednej myśli pochwycić, tylko jakieś bezdenne uczucie nienawiści, zemsty, chciwej zazdrości rozsadzało jej mózg, oddech zapierało.

— To ona, ona cię wtedy podrapała?

— O czem ty mówisz?

— Te znaki na twojem ramieniu — kiedym cię pytała, skąd się to wzięło, nie wiedziałeś, co powiedzieć, plątałeś się, kłamałeś... a teraz wiem, że to ona — ona!

Bielecki obejrzał się niespokojnie.

— Łusia! uspokój się, bardzo cię o to proszę, skąd ci się to nagle wzięło? Zastanów się, ja Karską drugi raz widzę...

Łusia zacięła zęby, ale jej oczy krzyczały chorą nienawiścią.

— Nie kłam, nie kłam! Teraz wiem, że to ona! ona!

Bielecki zapewnił się, że nikt na nich nie patrzy, jedna Karska widziała, ale jakby się nic nie stało, poprowadziła Zieleniaka do fortepjanu, przy którym zasiadła wyczerpana, wpół nieprzytomna Miecia i zmęczonemi palcami błądziła po klawiszach.

„Je voudrais me confesser
Monsieur le curé —"

śpiewała Cesia ochrypłym głosem.

„Qu'est le plus gros ton péché?
Simone, ma Simone...

ryknął chór głosów z wszystkich stron.

Qu'est le plus gros ton péché
Ma petite mignonne —"

— Zaklinam cię na wszystko...

— Poco kłamiesz? — przerwała mu gwałtownie, oczy jej rozbłysły złym, jadowitym błyskiem i zaszły mgłą, powieki na nie opadły, a z pod długich rzęs spadały grube łzy.

„Que j'ai trop t'aimé
Monsieur le curé —"

Nikt na nich nie zważał — Bielecki trzymał silnie jej rękę, przemawiał do niej, zaklinał ją po cichu, aby się opanowała: cały wie-

czór zepsuje, niechże ma na tyle wstydu przynajmniej, by nie zwracać uwagi wszystkich...

„Il faudra nous séparer
Simoné, ma Simoné —"

ryczał pijany chór.

— Puść moją rękę! — opanowała się już całkiem, schwyciła pierwszy kieliszek z brzegu, wychyliła go duszkiem...

Karska odeszła do pianina, siadła przy ścianie na przeciwległej kanapce i jakby ją cały świat nic nie obchodził oparła twarz na rozstawione palce rąk i patrzyła przed się...

Łusia gryzła oczyma te ohydne, te — te... Nie umiała słów znaleźć na określenie tych palców, które jego ramię rozorały tak, że dziś pewno jeszcze blizny zostały...

„Non, car je mourrai,
Monsieur le curé..."

Twarz Karskiej wydała jej się nagle skostniałą, obumarłą, spopielałą, z głębokich oczodołów zionął fosforyczny blask zgnilizny.

„Il faudra t'enterrer
Simoné, ma Simoné..."

kończył chór...

Wampir! pomyślała Łusia i zdjął ją lęk śmiertelny. Obejrzała się, ale Bieleckiego już przy niej nie było. Wszystko przed jej oczy-

ma zdawało się pogrążać w mgle — widziała tylko jakiś jaskrawy, błękitny głos:

„Est-ce que vous allez pleurer
Monsieur le curé?"

A teraz ujrzała całe spectrum głosów, gdyby tysiącznobarwną tęczę:

„Non, car il faudra chanter:
Requiescat in pace!"

Zasłuchała się w siebie...

Kiedy ona tę piosnkę widziała, czy słyszała?...

Z ciężkim trudem grzebała w pamięci...

Naokoło słyszała gwar, śmiechy, ktoś się na nią potoczył, ktoś trzymał ją za ręce, ale ją to nic nie obchodziło... Kiedyż ona już to „Requiescat in pace" słyszała?

Aha! Teraz już wiedziała — onej nocy, kiedy tę tajemniczą stypę wyprawiano — nikt z nich nie wiedział, komu śpiewają to requiescat — on jeden!

Przed jej oczyma stanął Górski — cała ta straszna noc, — Bielecki — ten triumfujący, przez tę tam wywłokę poorany Bielecki — ha, ha, ha...

Roześmiała się na cały głos, ale śmiech jej głuchł w pijanym gwarze, krzyku i śpiewach:

„Non, car il faudra chanter:
Requiescat in pace".

Zerwała się, schwyciła kieliszek, nie wiedziała, czy jej ktoś nalewa, czy sama nalała, i na cały głos wrzasnęła:

— Górski requiescat in pace!

Wszyscy nagle zamilkli.

Jakby zimny, trzeźwiący wicher przeleciał przez salę.

W krzyku Łusi tkwiła jakaś dzika, tragiczna moc, która nawet najwięcej pijanych na chwilę oprzytomniła.

— Co? co? Jaki Górski? co za Górski? — szeptał Gajecki Zieleniakowi do ucha.

Łusia zdawała się być przerażoną tem nagłem milczeniem, rozejrzała się wpół obłędnie dookoła — cóż to? nikt nie słyszał?

Więc co głosu jej starczyło krzyknęła raz jeszcze:

— Górski! Górski — in pace!

Bielecki stał jak skamieniały. Wszystka krew zbiegła mu do serca, nogi się pod nim uginały, zimny pot wystąpił mu na czoło — czuł, że mu cała twarz się skurczem wykrzywia — chwilę obejrzał się bezradny, czuł tylko, że go obmacują złe ślepia Kotowicza.

Kotowicz znał Górskiego — zadrżał cały, spojrzenia ich skrzyżowały się, i w tej samej chwili miał się na oślep rzucić w jakiś zator,

który mógł go pochłonąć, lub też na brzeg wyrzucić — gdy wtem rozległ się przy fortepjanie donośny śpiew — Karska śpiewała.

Wszyscy odwrócili się w jej stronę, cała uwaga zwróciła się ku niej.

„Burza wśród morza
Gdy nam zagraża,
Wolniej oddycha pierś marynarza..,"

Silny, doniosły głos Karskiej rozbił przykre milczenie.

I wolniej odetchnęła pierś tych wszystkich nawpół nieprzytomnych ludzi, choć nie wiedzieli dlaczego?

To jedno tylko odczuwali bezwiednie, że jakaś tajemnicza burza wisiała przez chwilę nad nimi, a teraz przeszła bez śladu: słodkie, spokojne, przeczyste niebo nad nimi.

— Niech pani poczeka, ja znam tę piosenkę — mówiła Cesia, spragniona nowego popisu — zapomniała pani jedną zwrotkę, o... zaraz!

I z całej siły ochrypłym, podpitym głosem zaczęła śpiewać do akompanjamentu Karskiej:

„O Neapolu,
O piękny kraju,
Kto ciebie nie zna,
Nie zaznał raju —„

Bielecki podbiegł do Łusi i, nie patrząc na nią, podrzucił ją sobie na piersi, osadził na ramieniu jak dziecko — schwyciła go odruchowo za szyję, by się w tył nie przegibnąć — utorował sobie drogę do fortepjanu i z wesołym rozmachem śpiewał:

„Płyń barko moja,
Pogoda sprzyja,
Niech cię prowadzi,
Święta Łucyja!

— Niech się krew leje! — krzyknął Kotowicz. — Na zdrowie świętej Łucji!

Żbik nalewał szampana, wszyscy pochwycili szklanki, kieliszki, co było pod ręką. Chrześniak wcisnął do ręki Łusi cały puhar szampana:

— Niech żyje nam święta Łucja!

Bielecki trzymał Łusię silnie na ramieniu, podszedł do stołu, schwycił pół flaszki szampana, trącił flaszkę o jej puchar, przyklęknął, nie puszczając jej z ramion:

— Na twoje i moje zdrowie — krzyknął — pij Łusiu!

Przywarł ustami do szyjki flaszki, przechylił ją i długim haustem wypił do dna.

— Brawo, Bielecki, brawo!

„Niech cię prowadzi
Święta Łucyja"

grzmiał uroczysty, pijacki chór przy fortepjanie.

Łusia zwisła nagle na ramionach Bieleckiego obezwładniona. — Twarz jej zbielała, puhar wypadł jej z ręki i rozprysnął się w kawałki...

Bielecki niespostrzeżenie wyniósł ją z pokoju.

XI

Fatalnie się dla ciebie złożyło, kochana Łusiu, całkiem fatalnie.

Bielecki szedł do Karskiej: prosiła go do swego mieszkania.

Że też tak nad sobą, droga Łusiu, zapanować nie mogłaś... Tłumaczyłaś się biedactwo, żeś była pijana, że opanował cię nagły szał zazdrości, że ci się zdawało, iż między Karską a mną istnieje jakieś porozumienie, nawet ci się zdawało, że mnie podrapała... Urojenia, kochana Łusiu — a chociażby to było rzeczywiście, to w żadnym razie tego się nie robi, coś zrobiła.

Jeszcze całe szczęście, że wszystko było pijane, że Górskiego nikt z nich nie znał — Kotowicz jeden może go sobie przypominał, a może i nie...

A Kotowicz — wiesz ty, kto to Kotowicz? On pracował jakiś czas jako dragoman w biu-

rze tajnej policji w Londynie — Kotowicz ma węch psa policyjnego. Ho, ho, Kotowicz, jak zechce, to umarłych wskrzesi. — On tylko na mnie spojrzy, obwącha mnie, a wie doskonale, czyje wdzięki obnażyłem: twoje, czy Karskiej, czy też tej, o której się pewnie nigdy nic nie dowiesz, czy też tej, o której i on nic nie wie — ale ją węszy...

Jednem słowem, droga Łusiu, Kotowicz już kombinuje, delikatne niteczki wiąże cierpliwie bez irytacji i zdenerwowania — niedługo zgłosi się do ciebie niewinnie — serdeczniutko — trafi na słabą chwilę: znowu ujrzysz na mojem ciele jakiś znaczek, na surducie znajdziesz jakiś długi włos, który przypadkowo jest innego koloru, jak twoje, a o to nie trudno — ta jedna, o której ty nic nie wiesz, ma nieostrożny zwyczaj skłaniać poetycznie swoją główkę na moje piersi i wstydliwie pożądanie na niej ukrywać. Karska ma znowu specjalne perfumy *les Délices* — a twoje zmysły niesłychanie teraz podejrzliwością wyczulone — no! i katastrofa dla mnie gotowa..

Nawet się upić nie potrzebujesz — to całkiem nie jest niezbędnie koniecznem. Kotowicz coś tam od niechcenia przebąknie: Ty zrobisz wystraszone oczy; on znowu spojrzy

zdziwiony; jakto, pani nic o tem nie wie? myślałem, że Bielecki to sam pani wyznał — ach, wybacz pani.. a to łotr, ten Zieleniak, mówił mi, że pani o tem swobodnie z nim rozmawiała...

Ty, Łusiu, popadniesz w trans, będziesz się chciała pomścić — nie zaraz... nie zaraz, ale powoli wszystko wyśpiewasz... tak, tak, droga Łusiu, ja cię bardzo kocham i przyznaję, że masz rzadko piękne ciało, ale co się ze mną wtedy stanie?

Z miękkiego drzewa twoja duszyczka wystrugana, ciężko pracowałaś, by się zahartować, ale cała praca — na nic...

Wprawdzie uratowałem narazie sytuację. Twoim tragicznym okrzykom, by Górski w spokoju spoczywał, nadałem pikantne zabarwienie — wybacz mi, słodka duszyczko, ale nie mogłem sobie inaczej postąpić.

Pijane bydlęta nazajutrz wytrzeźwiały i jakoś podejrzliwie na mnie patrzyli. Wiem, że Kotowicz nic nie powiedział, ale mógłbym przysiąc, że w pamięci wygrzebuje wszystkich Górskich, jakich znał lub o nich słyszał, ale on nie odkrywa swoich kart, dopóki nie pozna dokładnie gry przeciwnika. W każdym razie umiałem coś powiedzieć, czemś upozorować

twój nagły wybuch, który nam całą zabawę popsuł... Nawet ja w pierwszej chwili zgłupiałem — Karska! nieoceniona Karska uratowała sytuację... przyznasz: to był bajeczny pomysł, by tak delikatnie tym Neapolem, tą świętą Łucją naprowadzić mnie na tę myśl, bym pił twoje zdrowie... więcej jeszcze: przypomniała mi w tej chwili, że „pogoda sprzyja", że barka moja może wypłynąć, a raczej powinna czemprędzej z pięknej pogody skorzystać... ha, ha... zdumiewająca ta Karska...

Aha! pytasz, czem twój nagły, wysoce nietaktowny atak upozorowałem? No, w oczy ci tego powiedzieć nie mogę, bo jutro miałoby całe miasto niesłychaną sensację — pomyśl, w każdem piśmie artykulik pod tytułem: „Kto jest autorem nagrodzonych dramatów!?"

Przyznam ci się, że włosy mi się na głowie jeżą na myśl, żeby moja osoba miała takiej sensacji dostarczyć... więc na razie mogę tylko sobie samemu uprzytomnić to, czem twój nieszczęsny nietakt załagodziłem...

Zresztą, cóż w tem tak złego? Byłaś szczęśliwą, wszystkich oczy na ciebie się zwracały, kobiety ci zazdrościły, słońce mego triumfu rozelśniło się gorącą aureolą wokół twej kruczej główki. — To wszystko cię rozma-

rzyło, upoiło, a tu nagle przypomniał ci się dawny twój kochanek... No! no! poczekaj, swoją drogą jesteś wspaniała w tym kataklizmie oburzenia i wściekłości — i jemu to krzyczałaś to „requiescat", zamiast bolesne „na pohybel".

Uspokój się tylko: ja wiem, że nikt cię przede mną nie tknął — dość pracy mnie to kosztowało, i nie twierdziłbym, by była zbyt przyjemną — ale w jaki sposób — powiedz sama — miałem pokryć twój nieszczęsny brak taktu?

I rzeczywiście nie masz powodu gniewać się na mnie: stałaś się bohaterką całej powieści. Ten twój pierwszy kochanek maltretował cię, zamykał, zdradzał, obchodził się z tobą jak z ostatnią, więc nie dziw, że, jak ci to nagle przed oczyma stanęło, życzyłaś mu wspaniałomyślnie, by go gdzieś pod ziemią robaki stoczyły... in pace!

I całe szczęście, że Karska tak doskonale twoją przeszłość znała. I Chrześniak i Gajecki słyszeli waszą rozmowę o pensjonacie — ogólnie cię obżałowywano, żeś ty — niedoświadczona pensjonarka, półdziecko — dostała się w ręce szubrawca, z którego rąk ja cię wyrwałem, otoczyłem najczulszą opieką i miłością.

Tylko, proszę cię usilnie, nie unoś się! Zróbmy prosty, suchy obrachunek: Stałaś się legendową bohaterką, „ogólnie“ zauważono, jak musisz być czystą i niepokalaną, jeżeli samo wspomnienie pogwałcenia twej niewinnej duszy przez jakiegoś tam szubrawca wywołuje w tobie ataki nerwowe. Straszne rzeczy, jakie z tym pierwszym, tym łotrem przechodziłaś, wzbudziły „ogólnie“ dla ciebie jak największą sympatję i współczucie, a przy tej sposobności mogę ci powiedzieć. że nie masz lepszej przyjaciółki nad Karską. Opowiadała o tobie wprost rozczulające szczegóły — ona, zwykle taka skryta, mówiła o tobie z takiem ciepłem, do jakiego jest jedynie tylko zdolne niekłamane przywiązanie, co bezwarunkowo nadzwyczaj dobrze mnie dla niej usposobiło, czem się tłumaczy, że teraz idę do niej, by jej podziękować, czego mi oczywiście za złe nie bierzesz...

Widzisz, to są twoje plusy.

Ja też — coś nie coś — na tej „tranzakcji“ zyskałem — robię obrachunki, więc używam kupieckiego terminu technicznego... Przedewszystkiem wzmocniła, a nawet ustaliła się o mnie opinja, jako o dobrym i szlachetnym człowieku, który niewinną ofiarę wyrwał ze szpo-

nów dzikiego zwierzęcia — tak! tak! Jak w mycie: tyś Andromedą, ja Perseuszem — ogólną uwagę całego tego wieczoru zwracało, jak cię uwielbiam i na rękach noszę. Zieleniak słyszał nawet, że ci trzykrotnie powiedziałem „żono", z czego wnioskowano, że zamierzam z tobą ślub zawrzeć, a równocześnie, psychologicznie, stało się zrozumiałem, że w chwili najwyższego szczęścia wyłoniło się przez kontrast ohydne wspomnienie tamtego przeżycia i żal, że przedemną już ktoś śmietankę zebrał.

A ponieważ ten idjota Borsuk roztrąbia między uczciwymi ludźmi, bo on, niewiniątko, tylko z takimi przestaje, niesłychane legendy o mojej szlachetności... — Bielecki chwilę się zastanowił: — do Borsuka jeszcze powrócę — pomyślał — więc jednem słowem jestem nie tylko literacką wielkością, ale i szlachetnym człowiekiem, tem szlachetniejszym, że, według słów ewangelji: jego lewa ręka nie wie, co prawa czyni... bal nawet ty, moja Łusiu, nie masz wyobrażenia, jak nad tem pracuję, by cię szanowano i wielbiono.

Ponieważ zatem po obu stronach są plusy i znaczne zyski, więc między nami może w dalszym ciągu panować zgoda i harmonja

najczystsza, której nawet twój nietakt nie zdołał zamącić.

Czym ci chociaż jeden wyrzut zrobił? A przecież, przyznasz sama, żeś mnie wpakowała w bardzo niebezpieczną Samo-Sierrę.

Przeciwnie, uspokajałem cię, rozwiałem twoje podejrzenia, urwałem łeb hydrze zazdrości i, abyś zbyt często nie potrzebowała z ludźmi przestawać, po cichu wyprowadziliśmy się na przedmieście, mimo, że oficjalnie w dalszym ciągu mieszkamy tam, dokąd Kotowicz, mógłbym przysiąc na to, bezowocnie już drugi raz zachodził.

Kotowicz! Kotowicz! Jestem człowiekiem roztropnym, zimnym, rozważnym; byle czego się nie lękam, ale przyznam się, że, gdy sobie, zapomocą mego daru twórczej wizji — jak wiesz, Łusiu, jedyne kryterjum prawdziwego twórcy — uprzytomnię jego gębę, jego dobroduszny, figlarny uśmiech, gdym z ciebie oną mityczną Andromedę konstruował, to mi skóra na głowie cierpnie i czuję dokładnie, jak mi jeden włosek po drugim dęba staje, a ponieważ wskutek nienagannego życia włosów mam obfitość, więc możesz sobie wystawić, jaki mnie lęk na takie dziwne fenoma ogarnia.

Ale teraz trzeba dojść ostatecznie do konkluzji.

Wprawdzie rozmowa z tobą robi mi niezmierną satysfakcję, bo choć cię tu niema, widzę cię dokładniej jeszcze, aniżelibym cię widział przed sobą oczyma, z czego mogę śmiało wnosić, iż jestem istotnie twórczym człowiekiem, bo tylko taki ma dar tak intensywnej wizji — ale niedługo już rozmai się moja dusza widokiem Karskiej, więc muszę się streścić:

Ty, Łusiu, zdaje się, jesteś wielką nieprzyjaciółką mitów i wogóle rzeczy, które nie istnieją i nie istniały, a które tylko twórcza fantazja przed oczy czy to czytelnika, czy też słuchacza wyczarowuje.

Nie wiem, jakby ci się podobał ten mit o Perseuszu i Andromedzie w sprośnej, banalnej, bo realnej interpretacji Kotowicza.

To człowiek bez najmniejszego taktu, bez jakichś delikatniejszych uczuć. Mecenasa wprost ograbił, wyrwał mu z pod serca, z gardzieli 30 rubli: przed tym człowiekiem muszę cię strzedz... a ponieważ tobie, Łusiu, towarzystwo ludzi poprostu szkodzi, bo niedostatecznie jeszcze twoja dusza zahartowana, więc wybierzemy się w podróż.

W podróży dużo można się nauczyć; ja raz w drodze między Wiedniem a Rzymem widziałem człowieka, który od samej Odessy pędził bez wypoczynku, nie śpiąc wcale, rozumiesz: trzy dni i trzy noce oka nie zmrużył, nie dlatego, by nie mógł, bo miejsca było aż nadto, tylko dlatego, że lękał się przez sen popełnić jakiś nietakt. Ludzie, widzisz, którzy są dobrze wychowani i mają tę wstydliwość, by przed obcymi swej duszy nie obnażać, nie śpią w obecności drugiego: przez sen może się człowiek wypowiedzieć z najskrytszych uczuć, przeżyć, czynów, a to może człowieka stawić w fałszywe położenie...

A ty, biedna Łusiu, usprawiedliwiałaś się tem, żeś była pijana .. Więc zrozum, w jakie doświadczenie dusza się twoja w takiej podróży wzbogaci!

Człowiek taktowny i wstydliwy, nie tylko, że się nie upija, ale nawet, jeżeli zajdzie potrzeba, to i cały tydzień nie śpi...

Równiny? Tam się niczego nie nauczysz. Gładka, słodka równina źle na wolę wpływa — żadnych niebezpieczeństw, żadnych przeszkód — nic — nic! no? — nic...

Góry? Nauka mogłaby być zbyt forsowna — mogłabyś się znużyć, przestraszyć na-

piętrzonych trudności. Wciągnąć cię po linie po stromych skałach — owszem! ale kto mi sprzeda taką linę, która w sam czas zechciałaby cię milczenia na zawsze nauczyć. Przeciąć nie można, bo potem łatwo im — och, ci oni! — zbadać, czy lina przerwana, czy przecięta...

Morze? Hm, to zdaje się jeszcze najskuteczniejszy i najlepszy teren dla twojej edukacji.

Zatoka Biskajska, która podobno nigdy trupów nie wyrzuca... strome, prostopadłe skały Bretanji, a może — Porto Venere... och! wspaniała myśl — i godna, Łusiu, ciebie! Tam Byron Korsarza pisał, tam, opodal, Shelley się utopił... przejedziemy przez port wojenny Specji, potem jeszcze pół godzinki i jesteśmy w Porto Venere. Ach! z jaką rozkoszą tam ze mną pojedziesz; dziś ci jeszcze cuda o tym cudownym zakątku opowiem...

Bielecki drżał w jakiemś bolesnem prawie napięciu.

Nie, nie, teraz trzeba przestać myśleć: ta intensywna wizyjność całej rozmowy z Łusią ciężko go znużyła.

Przytem zbytnie myślenie mogłoby osłabić jego wolę, wytężoną w kierunku najwięcej uproszczonej metody, by Łusię wreszcie nauczyć taktu, to znaczy: milczeć tam, gdzie

każde słowo mogłoby dla niego, no i pośrednio dla niej, być niebezpiecznem.

Bielecki odzyskał nagle świadomość, że się coś niezwykłego z nim dzieje. Czuł, że oczy jego gorączkowo rozpalone, że ruchy raz ociężałe, raz znowu gwałtowne całkiem nie były skoordynowane, raz nasuwał kapelusz na oczy, to go znowu w tył odrzucał, przyśpieszał kroku i przystawał — o! trzeba trochę na siebie zważać — pomyślał, — jeżeli się chce kogoś taktu uczyć, to trzeba rozpocząć od siebie samego.

Przyłapał się na tem, że nie myślał słowami, ale obrazami: widział dokładnie zdechłą rybą cuchnący, niewypowiedzianie brudny, najczystszą, rybacko-włoską idylą śmierdzący, urokiem Byrona opromieniony zakątek! — tam! ach, tam Łusię powiezie... Zasiądą na cyplu skały, gdzie ongi stała świątynia Venery, a dziś ruina kościoła, bodaj, czy nie świętej Łucji... a naprzeciw trzy, cztery olbrzymie bloki kamienne gdyby naczółki baszty olbrzymiej, w morze sterczącej fortecy, a w tych skałach groty: jedna niebieska, druga biała, a o trzeciej nikt wtedy nie miał pojęcia—on ją odnalazł... Cicho! cicho! przeraził się odgłosu swoich własnych kroków: szedł na palcach.

— Oszalałem, czy co? — pomyślał, — a nuż Kotowicz idzie za mną i widzi, że ja w biały dzień, na pustej, co prawda, ale bądź, co bądź porządnie wybrukowanej ulicy, idę na palcach?

Nawet słodki Angiolotto ze Specji, który się tam wychował, każdy zakątek znał, każdy załom skały, wrzynający się w morze, każdą fałdę, co z jej grzbietu w morze spływała — nie wiedział o istnieniu tej maleńkiej groty... Otwór wąziutki jak szyjka szampańskiej butelki — ha, ha... łódką tam ani w ząb, ale człowiek wpław. — Trzeba było poczekać na falę, płynęła zdala ogromna, spieniona, coraz bliżej, teraz: za chwilę... Rozbiła się o jego plecy, powaliła go prawie, ale w tej sekundzie rzucił się na jej grzbiet i — niczem Jonasz, wyżygany przez wieloryba na morski brzeg — znalazł się — nie: po długiej chwili odnalazł się w ciemnej pieczarze. Długo się obmacywał, by się przekonać, jakim cudem na miazgę się nie rozbił...

Obejrzał się nagle, prawie wylękniony.

— O takich rzeczach nie myśli się na ulicy — strofował siebie. Kapelusz mu zawadzał, więc zdjął go i przykro mu było skonstatować, że z czoła spływał mu perlisty pot.

Co za głupia, ludzka przypadłość — brak

jeszcze zimnych dreszczów, Nietzsche'ańskiego skradania się wzdłuż cienistego muru, a będzie mógł służyć za przykład bladego zbrodniarza — ha! ha! Wstydź się, mocny człowieku: na odwagę zaśpiewaj sobie:

Nie lękaj się cienia nocy,
Nikt nie ujrzy nas —

Ujrzał nagle swą siedemdziesięcioletnią babkę, która pokryjomu wyciągała flaszeczkę anyżówki ze ściennej szafeczki, oglądając się ostrożnie, czy kto nie widzi, a zdradzała się sama cieniutkim refrenem:

Nikt nie ujrzy nas...

Zaśmiał się na cały głos, to go wyzwoliło; wrócił odrazu do równowagi. Zorjentował się w poplątanej sieci uliczek, które z małego placyku, na którym stał, na wszystkie strony się rozbiegały.

Tu jeszcze nigdy nie był.

Dziwna rzecz, że Karska właśnie w tej dzielnicy wybrała sobie mieszkanie.

— Teraz przestać myśleć — powiedział to sobie wpół żartem, wpół surowo. Wola jego, przedziwnie wytresowana, była posłuszną na każde skinienie.

Aha! to tu: teraz na lewo.

Pocóż do djabła tu właśnie w tej dzielni-

cy zamieszkała — to gorsze, aniżeli paryski Montmartre, albo okolice zniesionych wałów fortecznych...

A widzisz — uśmiechnął się — ucz się od Karskiej — tu właśnie, tu: by policja, która tu swoją główną siedzibę obrała, mogła jej w każdej chwili wystawić świadectwo nieskazitelnego prowadzenia się, wzorowego ustosunkowania swego życia między społeczeństwem a policją...

Bajeczna ta Karska!

Odnalazł numer jej mieszkania, wszedł na drugie piętro i zapukał.

Drzwi się otworzyły. Karska stała w nich z wyciągniętemi rękoma.

— Już cię od godziny wyczekuję.

— Przyznasz, że trudno nie pobłądzić, idąc pierwszy raz do ciebie.

— Prawda, — roześmiała się; spojrzała nagle uważnie na niego.

— Co ci jest?

— Mnie? nic! tylko przez drogę rozważałem, że Łusi potrzebna zmiana powietrza, i przykro mi będzie na dłuższy czas z tobą się rozstać.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

— Ja już to wtedy — wiesz — u Szotta

zauważyłam — dobrze zrobiłeś, żeś wreszcie o tem pomyślał, zwłaszcza teraz, kiedy „pogoda sprzyja"... Ten Kotowicz, czy jak on się tam nazywa, zabawia się, tak mi się zdaje, w takiego pana, co to za kulisami chmury naciąga...

Bielecki zdawał się nie słyszeć, co mówiła. Patrzył na nią jakby ją pierszy raz widział.

Stała naprzeciw niego kusząco, z wyczekującym uśmiechem.

— Co tak na mnie patrzysz?

— Wiesz, jak dotychczas nie miałem czasu dokładnie się tobie przyjrzeć.

— Dziś będziesz miał czas — przyrzekłeś mi, że przez całą noc u mnie zostaniesz,..

— Do pierwszego brzasku, Ado, — teraz przed podróżą nie mogę podejrzeń wzbudzać.

— Za miastem mieszkasz?

— Mówiłem ci już: muszę rychlej zajść do domu — ona sama się tam lęka.

— Więc jak długo zostaniesz u mnie?

— Do pierwszego brzasku...

Pociągnęła go na kanapę.

— Zdajesz się być znużonym?

— Nie! teraz nie — z chwilą, kiedym próg twego mieszkania przestąpił, uczułem się mocnym.

— A przedtem?

— Czemu pytasz? Człowiekowi, który czegoś chce i coś już postanowił, nie trzeba zadawać pytań — to go osłabia.

— Kiedy jedziecie? — zapytała po chwili.

— Czekaj — namyślę się...

Osunął się w głąb kanapy.

Karska podeszła do stolika, zapaliła spirytusową maszynkę, postawiła kociołek z wodą, nasypała do czajnika herbaty i spokojnie czekała, dopóki się woda nie zagotuje.

— Pojutrze wieczorem! — Bielecki wstał z kanapy. — A teraz już nie mówmy o tem: to już sprawa załatwiona.

Zrobił ruch jakby się z czegoś otrząsał.

— No już!

Podszedł ku niej.

— Poczekaj, w tej chwili herbata będzie gotowa. Tęskniłam za tobą, po raz pierwszy tęskniłam za jakimś człowiekiem; tak długo nie przychodziłeś: nie wiem, cobym z sobą poczęła, gdybyś nie był przyszedł.

— Ado! to ty umiesz tęsknić? Ach, ach — Ado — ja myślałem, żeś ty wyzwolona z takich biednych i szkodliwych uczuciowych przypadłości.

— I ja tak myślałam, ale odkąd ciebie po-

znałam tak „en face", jakby mnie zły duch opętał — ani za dnia, ani w nocy nie mam spokoju, ustawicznie cię widzę przed sobą... o ty słodki łotrze: gdybyś ty wiedział, co się ze mną działo, gdyś Łusię sobie posadził na ramieniu... Mocny jesteś! Byłam zdumiona, jakiś ty mocny, gdyś ukląkł z Łusią na ramieniu i tę flaszkę, czy też pół flaszki szampana wypił...

— A jednak miałaś na tyle przytomności, by tę „świętą Łucję" wyśpiewywać.

— Widziałam, że cię Łusia zaskoczyła.

— Wdzięczny ci jestem za to — mruknął — ale *n'en parlons pas plus* — przypomniało mi się, że po francusku dobrze mówisz.

Spojrzała na niego pytająco.

I on na nią spojrzał.

— A, wybacz, jestem trochę roztargniony — widzisz, to nie jest zbyt łatwem, tak: chłast, trzask, zdecydować się na wyjazd, zwłaszcza z osobą, która prawdopodobnie już nie powróci...

— *N'en parlons pas plus, mon cheri* — cóż mnie to wszystko może obchodzić wobec przykrego zdziwienia, że ja za kimś zatęskniłam...

— Ada!

— Co?

— Nie kłam!

— Naco by mi się kłamstwo zdało, kiedy aż nadto dobrze wiem, że ci to piekielnie obojętne, czy kto za tobą tęskni, czy nie„.

Patrzył na nią z cichym uśmiechem.

— Przebiegła bestja — pomyślał — do czego ona zmierza?

Nagle przeraził się — cóż on przed chwilą powiedział? „Osoba, która prawdopodobnie nie wróci".

— Masz piękne mieszkanie — powiedział, by ukryć lęk i zmieszanie, jakie go ogarnęły na myśl, że wypowiedział głośno, co w najtajniejszej głębi swego mózgu ukrywał.

— Prawda? — zapytała przeciągle i zachichotała. — To zarobiłam mojem ciałem, nikomu go nie oddając — za tobą zatęskniłam, a ty — ty się lękasz, że ja chciałabym się wdzierać za kulisy dramatu, który masz na myśli inscenizować... Mnie się nie bój — ja o niczem nie wiem, ani wiedzieć nie mogę — co mnie zresztą obchodzi, czy ty z Łusią wrócisz, czy bez Łusi.

Bielecki ochłonął, wstydził się swego podejrzenia. Zdradził się niem.

Urwała, a po chwili:

— Nie! skłamałam! chciałabym cię mieć bez Łusi.

— A skąd wiesz, że wtedy do ciebie przyjdę?

Uśmiechnęła się tajemniczo.

— My należymy do siebie — może ci to nie na rękę — ja nie jestem tak głupią, by cię chcieć do siebie przykuć. O! jednym, szerokim giestem pozbyłbyś się mnie, anibym się nie spodziała kiedy... o nie! Przez głowę mi nie przeszło, by się do ciebie przyczepić...

— Zdumiewająca artystka — pomyślał Bielecki.

— Ale, ale zatęskniłam za tobą, a ja nigdy za nikim nie tęskniłam, i zapragnęłam cię mieć— jakeś powiedział? Do pierwszego brzasku?... A, teraz wiesz wszystko — więcej naga, jak ci się pokazałam, pokazać ci się nie mogę.

Mrok zapadał.

— Napijesz się herbaty?

— Gorące mieszkanie, prawda? — zapytała, — ale mówiłam ci już, że w afrykańskich upałach nie byłoby mi jeszcze dość ciepło.

— Ale może pozwolisz zrzucić marynarkę przynajmniej? — pytał z uśmiechem.

— Poczekaj!

Ściągnęła z niego marynarkę i kamizelkę — siedli na kanapie. Wsunęła rękę za jego koszulę.

— Gładkie i piękne masz ciało — szepnęła mu do ucha.

— Tylko nie drap!

— Łusi się boisz?

— To nie! Tylko nie trzeba zakłócać spokoju wtedy, gdy jest najwięcej potrzebny...

— To prawda! Ciało twoje zresztą tak słodkie, że żal byłoby je podrapać.

Zerwała się nagle.

— Mam lęk, żebyś mi mógł się wyrwać — pobiegła do drzwi, zamknęła je szybko na klucz. Widział, że go gdzieś rzuciła, ale w coraz gęstszym zmroku nie mógł się zorjentować, gdzie.

— Masz zbyt dużo taktu, by się ordynarnie do zamkniętych drzwi dobijać — roześmiała się sucho, ale w jej śmiechu świszczało chciwe pragnienie.

Schwycił ją w pół, rzucił na łóżko.

— Sam, sam mnie rozbierz — głos jej przedzierał się z trudem jak przez grubą mgłę...

XII

Bielecki przechylił się z łóżka, zaświecił zapałkę, popatrzył na zegarek, leżący obok na stoliku.

— Chwała Bogu, to dopiero północ — jeszcze czas...

Zapalił papierosa i wyciągnął się rozkosznie. Jeszcze parę godzin czasu,

Karska siedziała obok niego, rękami oplotła kolana, wlepiła oczy w smugę światła, która z ulicznej latarni rozciągała się na podłodze.

— Teraz już zostaniesz moim na zawsze — myślała. — Teraz już cię nie puszczę. Chcę, muszę cię mieć; za chwilę odejdziesz, ale powrócisz i musisz już przy mnie pozostać. — Wreszcie znalazła mężczyznę, którego przy sobie mieć pragnęła... Czuła jak wola jej z każdą chwilą potężnieje: wszelka choćby najpotworniejsza zbrodnia wydała jej się drobnostką,

wobec tego pragnienia, by go do siebie przywiązać. Ale z tem mu się zdradzić nie może, powoli, po cichuteńku trzeba go pętać, ostrożi z tysiąc zną przebiegłością, by nie zdołał się spostrzec, jak się wikła, jak jednym nieostrożnym krokiem dostanie się do wilczego dołu.

Czekaj! będę cię miała, ty, ty... Tylu różnorodnych ludzi znała, ale ten, ten tu — spojrzała na Bieleckiego — piękna bestja! i o całe niebo przewyższa wszystkich w łotrostwie — takiego jeszcze nie znała.

Moim będziesz, moim — powtarzała sobie bezustannie w duchu z jakąś zaciekłą mocą. A w żyłach kipiała jeszcze krew przeżytych rozkoszy. Chciałaby go teraz gryźć, drapać, chciałaby się na niego rzucić, w uścisku kości mu połamać. O! tysiąckroć razy stawi bezpieczeństwo swego życia na jedną kartę, jeżeli tego zażąda, ale już go od siebie nie puści.

Tylko ostrożnie, myślała, by się nie spostrzegł. Zimny jest, bezwzględny, okrutny, — w tej samej chwili, w której poczuje najdelikatniejszy nacisk musu, zerwie się jak dziki zwierz i zmiażdży...

Czekaj! — zacięła zęby — prędzej, czy później cię ujarzmię.

— Co się z Borsukiem dzieje, nie wiesz? — zapytał nagle Bielecki.

— Musisz lepiej wiedzieć odemnie — przecież rozmawialiście wtedy w kawiarni.

— A ty go widziałaś od czasu, jakem cię u niego poznał?

— Poszłam do niego na drugi dzień, by mu pozować do drugiego portretu — wiesz co zrobił?

— No?

— Zaledwie mnie przyjął, zachichotał złośliwie, pokazał mi mój portret: cała twarz zamazana brudną farbą, i twierdził, że ten portret jest tak doskonały, że sam ruch rąk, spleciony wokół kolan, mowi aż nadto...

Bielecki nad czemś głęboko rozmyślał.

— Czy wiesz, że zmienił mieszkanie?

— Nie!

— Został zaproszony na wieś przez hrabiego Nieckiego — ma malować portret jego żony...

— Tak?

— Wynająłem mu mieszkanie, a raczej poradziłem mu, by je sam sobie wynajął... bardzo ciekawe mieszkanie — jedno piętro, właściwie dwa pokoiki nad stajnią i szopą suchego siana.

Karska słuchała z natężoną ciekawością.

— Tam złożył wszystkie swoje obrazy, płótna, rysunki...

Karska poczęła kombinować.

— Wejście do tego mieszkania — mówił powoli i dobitnie — zagrodzone ścianą z cienkich desek sosnowych, w tych deskach są sęki, naokół sęków, jak ci wiadomo, gromadzi się żywica. Wskutek strasznych upałów żywica się stopiła, drzewo zeschło, sęki odstały tak, że je łatwo wyciągnąć i łatwiej jeszcze włożyć z powrotem.

— Aha! aha! Rozumiem. — Karska była rzadko pojętnym okazem człowieka... — Stanąć na schodach, wyciągnąć sęk, wrzucić zapałkę do środka w suche siano — najlepiej woskową, silnie fosforem przepojoną, by tak szybko nie gasła, otwór znowu sękiem zatkać, a tymczsem suche siano wnajlepsze się pali — doskonale! Ale jaki w tem sens? Jaki cel?

— Mam słabość do Borsuka, zabezpieczył swoje obrazy na dwadzieścia pięc tysięcy rubli... rozumiesz?

— Aha! Chciałbyś, żeby odrazu...

— No tak! inaczej się zmarnuje...

— Zaraz — zaraz! Dlaczego pan wynajął

mieszkanie nad szopą siana? to będzie pierwsze pytanie.

— Jakto? Skąd ja miałem o tem wiedzieć? — powie Borsuk z całą niewinnością.

— To on o tem nie wiedział?

— Skąd?

— No, dobrze — ale jak się zapytają, czemu on nagle zaasekurował obrazy?

— Powie, że ja mu poradziłem, widząc, jak się to wszystko po ziemi wala. Rzucić nieostrożnie papierosa, a wszystko w płomieniach stanie.

— I ty to zeznasz?

— Oczywiście.

— A jak go zapytają, na kogo ma podejrzenia, że ewentualnie mógł wzniecić ogień i chcieć zniszczyć całą jego pracę?

— Uprzedzę Borsuka, że ja to zrobiłem — mnie jako sprawcy, nie poda: raz, że Borsuk ma wdzięczne serce, a po drugie, że mnie wtedy tu nie będzie.

— Ja mam to zrobić?

— Jeżeli czujesz siły po temu?

— A gdy powie, że to Karska jedyna mogła to zrobić?

Bielecki się uśmiechnął.

— To zupełnie wykluczone. Znam kobietę,

która uroczyście przysięgnie, że właśnie w tym czasie byłaś u niej z wizytą; a mieszka na przeciwległym końcu miasta.

— To chyba nie Łusia?

— Żartujesz...

— To masz tu jeszcze jedną kobietę?

— A cóż ci to przeszkadza?

— Potrzebna ci?

— Przed chwilą słyszałaś, że mi potrzebna i to nawet bardzo.

— Kochasz ją?

— Od ciebie tak naiwnego pytania się nie spodziewałem — może niezadługo zapytasz mnie, czy ciebie kocham... Słuchaj, Ado, powiedziałaś kiedyś, może nawet nie powiedziałaś, ale w każdym razie pomyślałaś, że my do siebie należymy. Czy ci to nie starczy?

Zamyśliła się.

— No, ale przecież na wszelki wypadek ją poznać muszę.

— Oczywiście — sama już jutro do ciebie przyjdzie.

Przygarnęła się do niego. Bielecki spokojnie palił papierosa.

— Więc ostatecznie co mam zrobić?

— Czy ja powiedziałem, że masz coś zrobić? Mówiłem tylko, że płótna i obrazy, obra-

mowane i obrzęptane, paskudnie uszkodzone i zupełnie świeże, są złożone w dwóch pokoikach nad stajnią i szopą suchego siana. Powiedziałem dalej, że schody do tych pokoików — no, chyba ci drugi raz powtarzać nie potrzebuję...

— No, dobrze! Ja mam tę zapałkę rzucić — ale co mnie Borsuk obchodzi? I co tobie na tem zależy, czy otrzyma te dwadzieścia pięć tysięcy, czy nie?

— Co mnie na tem zależy? Nieskończenie dużo...

— Teraz chciałabym twoje oczy widzieć— szepnęła.

— Moje oczy? Nie warto — posłuchaj zato uważnie, co ci powiem, a w każdem słowie moje ślepia zobaczysz... Otóż słuchaj, co mi na tem zależy. Nasamprzód idealny powód: ciekaw jestem, czy Borsuk, któremu się całą dwuletnią pracę zniszczy, będzie miał siłę na nowo rozpocząć... Dalej: czy Borsuk na tyle jest mocnym artystą, że machnie ręką i powie sobie: lepsze rzeczy zrobię! to tam nic nie warte... Leonardo da Vinci — słyszałaś, czytałaś pewno o tem — patrzył spokojnie, jak mu niszczono, w kawałki rozwalano jego pomnik, nad którym siedem lat pracował, i je-

szcze jedno: jak będzie wyglądał Borsuk, który od kilku lat się zagładza, gdy nagle stanie się posiadaczem dwudziestu pięciu tysięcy rubli! A teraz dajmy Borsukowi spokój, mnie twoja psychologja więcej obchodzi, aniżeli to, co Borsuk zrobi. — O! widzisz, teraz zapalimy świecę, byśmy nawzajem nasze oczy widzieli.

Zapalił świecę i świeżego papierosa.

Długo patrzyli na siebie.

— Piękne masz piersi, i oczy twoje rozlane, i biodra jakby z kości słoniowej utoczone...

Zaciągnął się papierosem i patrzył obojętnie w sufit.

— Mówmy uczciwie — największą cnotą tak zwanych łotrów, to uczciwość.

Zerknął ku niej filuternie.

— A jesteś w stanie posłuchać mężczyzny, gdy mówi uczciwie?

Roześmiała się.

— To jeszcze mnie nie znasz?

— Uczciwości męskiej kobieta zwykle nie znosi.

— Tysiąc centnarów uczciwości twojej możesz przede mną wyładować, a jeszcze będę zdumiona, że tak mało i skąpo.

— To dobrze — zgaś świecę — patrząc

na twoją nagą piękność, jasno myśleć nie mogę.

Zgasiła świecę.

— Więc — no, chodź bliżej, będziemy mówili pocichu: od pierwszej chwili, kiedy mnie ujrzałaś, nie wiedząc jeszcze, kto ja jestem, co pomyślałaś?

— Nic! Podobała mi się twoja twarz, twoje oczy, wlepione w Łusię, a widziałam, że były złe i o miljony mil od niej odbieżałe...

— I co dalej?

— Widziałam, jakeś się zaśmiał. Ktoś gwałtownie i namiętnie na ciebie nacierał, a tyś się tylko śmiał. Twój śmiech mnie... no? jakby to nazwać? pokonał mnie. Mogłabym się twoim śmiechem roześmiać, ja go mam w sobie...

— Mów dalej!

— Dalej? — schwyciła go za ramię, położyła się na nim. — Powiedziałam sobie, że zajmę miejsce Łusi.

— Aha! to już to wtedy sobie powiedziałaś?

— Tak, już wtedy — a kiedy cię spotkałam u Borsuka, wtedy wszystkie moje siły skupiłam w tem jednem pragnieniu, byś był moim...

— Ha, ha, ha! — śmiał się.

— A ponieważ nie posłyszałam nic innego, prócz twego szyderskiego śmiechu, więc...

Nasłuchiwał uważnie:

— Więc?

— Zrozumiałam, że ty jesteś niczyim.

— I co dalej?

— Potem wszystkiemi zmysłami zapragnęłam, o niczem innem nie myślałam, jak tylko o tem, by ciebie mieć — i mam cię! mam! — przeciągała się wzdłuż jego ciała, ocierała się o nie.

— Za małoś mi jeszcze nagi! — szepnęła.

— Do rzeczy, do rzeczy! — naglił.

— Aha! do rzeczy... Nie byłam pewną ciebie — tuś słówko rzucił, tu znowu dałeś mi co innego do myślenia. Przyznasz: byłam bardzo dyskretną, nigdy się ciebie o nic nie pytałam. Wiem teraz to jedno, że wyjedziesz z Łusią zagranicę — to mnie nic nie obchodzi, bo cieszę się już na myśl, że bez niej wrócisz...

Bielecki patrzył ustawicznie głęboko zamyślony w sufit.

— Jesteś tego pewną? — zapytał.

— Tak pewną jak... — urwała.

— Czekaj, dopomogę ci — w tej chwili o Górskim myślałaś...

— No i cóż z tego? A co mnie to obchodzić może? Twoją Łusię owszem, ale mnie?

Nagle odsunęła się od niego,

— Daj mi papierosa. Teraz już całkiem zimno i obojętnie z sobą pogadamy.

Bielecki podał jej papierosa, zapalił, oparł się na ramieniu i słuchał.

— Teraz ci powiem całą prawdę: Chcę cię mieć, ale nie na parę godzin, kradzionych Łusi, lub też tam tej tajemniczej pani, o której mówiłeś, że gotowa w każdej chwili krzywoprzysiąc. Powiedziałam sobie — czekaj — będę paskudnie, obrzydliwie szczerą. Wtedy dopiero, gdy wziąłeś nagrody na konkursie — ha, ha, ha — coby mi przyszło z człowieka, któryby w świecie nic nie znaczył?!

Zaległo długie milczenie.

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale dłonią zakrył jej usta.

— Milcz!

Długo leżeli w milczeniu obok siebie.

— Ja cię nie znam, ja cię bardzo mało znam, przeczuwam cię więcej. Dałeś mi dowód zaufania: to z Borsukiem...

— Zrobisz?

— Zrobię!

— Ucieszyło mnie, żeś mi taką propozycję zrobił. Wiesz dlaczego?

— No?

— Ja nie potrzebuję miłości, nie! nie! źle się wyraziłam. Ty nie wiesz, co to miłość. — Znowu głupstwa gadam. — Miłość po twojemu, to znaczy: idź i zrób to, o co cię proszę. Nie! nie proszę, tylko wymagam! Prawda?

— Tak!

— A gdybym ja stawiła moje wymagania?

— Ado, Ado — poco niepotrzebnie tyle słów? Dałem ci dowód najwyższego zaufania, więcej jeszcze, oddałem się w twoje ręce...

— Ho, ho — śmiała się — a równocześnie trzymasz mnie w swoich jak w krogulczych pazurach... O co ci właściwie chodzi? Aha! Czy dobrze cię zrozumiałam? Chciałbyś mieć przy sobie kobietę, kochankę, towarzyszkę, może nawet — ha, ha ha — żonę, brr... któraby wszystkie twoje plany wykonywała. Poco zatem tyle dalekich obchodzeń, naco te półsłówka, poco to wszystko? Powiedziałem ci, że zrobię, to zrobię...

Teraz Karska odsunęła się od niego, zrzuciła kołdrę, by swobodniej odetchnąć.

Uśmiechała się w sobie z cichą, łagodną ironją.

Och, ty mocny człowieku! Jesteś bezwzględnie, do szpiku kości łotrem, niezwykle inteligentnym, niezwykle bystrym, ale twoja piękna, brunatna skóra więcej warta, niż twój mózg... Gdybyś ty teraz mógł moje myśli odgadnąć, pewniebyś niepomiernie był zdumiony... Tobie się zdaje, żeś mnie opanował, że teraz już jestem biernem narzędziem w twoich rękach — ha, ha... Jeżeli tam jakąś budę podpalę, to nie dlatego, bym twoje życzenie spełniała. Poza tem, że ci daję rozkosz, a może stokrotnie większą od ciebie biorę, jednym palcem nie ruszyłabym dla ciebie... Nie, braciszku, zrobię to, bo tem cię ze sobą zwiążę. Nic tak ludzi nie sprzęga jak zbrodnia... Jaka bestja zapamiętała i zaślepiona w swej megalomanji! Nawet na chwilę nie przypuszcza, że niezadługo stanie się narzędziem w mojem ręku, ani mu przez głowę nie przejdzie, że jest dla mnie przydrożną stacją, na której się posilę, wzmocnię, wszystko z niej zabiorę, a potem bądź zdrów, holenderski śledziu...

Miała serdeczną ochotę na cały głos się roześmiać. Widziała go w ciemnym zmroku, tego Napoleonika czynu, jak ciężko rozważał,

plany układał w najdrobniejszych szczegółach, wszystkie możliwości rozglądał, z najniklejszym włoskiem się liczył, któryby go mógł zdradzić. Aby się upewnić, przypuszczał nawet niebezpieczeństwa, które już zgoła były nieprawdopodobne, a nie pomyślał o tem, że to wszystko dla niej robi, dla niej, która zapewne wcale w jego plany nie wchodziła.

Niejasno jeszcze to sobie wyobrażała, o tem jednem była tylko jasno przeświadczona, że w życiu jej nastąpił ogromny przełom, nieprzeczuwana nawet perspektywa przed jej oczyma się rozwarła, przed nią pięła się drabina — nie wiedziała, dokąd ona sięga, ale czuła, że stanęła na pierwszym szczeblu.

Pogłaskała go pieszczotliwie.

— Ty, mocny Bielecki, ani nie wiesz, że jesteś moim szczeblem — pomyślała i otarła się znowu lubieżnie o jego ciało.

— Poczekaj — powiedział nagle Bielecki — przy tobie daleko jaśniej myślę, niż zwykle — obecność twoja jest niejako ostrogą, co podnieca leniwy kałdun mojej fantazji do intensywnejszej pracy.

Karska była szczęśliwa, że mogła wreszcie dać upust swoim rozbawionym myślom i roześmiała się na cały głos.

— Niesłychane! Ja ostrogą dla leniwego kałduna jego fantazji! — zanosiła się od śmiechu.

Zaraził go jej śmiech, śmiał się jak psotny ulicznik, któremu się figiel udał.

— Ktoby pomyślał, że człowiek, który tak się śmieje, myśli równocześnie o tak strasznych rzeczach, jakie ludzie przestępstwami nazywają! Tyś niebezpieczny człowiek z swoim śmiechem gamina — powiedziała nagle i przytuliła się do niego gorąco.

— Wiesz, mam wrażenie, że gdybym ci była niebezpieczną, tobyś mi jedną ręką łechtał podeszwy, bym się zanosiła od śmiechu, a drugą najswobodniej brzytwą gardło podrzynał — prawda? I z tym samym śmiechem, co teraz, starałbyś się we mnie wmówić, że to wesoła śmierć...

— Tak, to istotnie byłaby wesoła śmierć — nawet najbliżsi sąsiedzi musieliby nazajutrz zgłupieć — słyszeli przecież wesoły śmiech — doskonale! Ale spoważniej teraz na chwilę, mam ci ważną rzecz do powiedzenia.

— No?

— Jutro, a raczej dziś jeszcze złożę w mieszkaniu Borsuka moje rzeczy — no! i oczywiście Łusi też. Między rzeczami Łusi są

prawdopodobnie rozmaite dokumenta, które są najzupełniej zbyteczne, ale między mojemi jest mój trzeci dramat, a więc manuskrypt nieocenionej wartości. I nie zapomnij o tem, że w danym wypadku — bo najniemożliwsze wypadki w danym wypadku są możliwe — widziałaś go na własne oczy... Aha! między rzeczami Łusi będą, a raczej mogą się znajdować klejnoty, któreś też widziała, od twej fantazji będzie w owym danym wypadku zależało, jaką wartość przedstawiały... mogłyby się tam nawet znaleźć familijne klejnoty, których jej matka nigdy nie posiadała, ale któraż to matka powie prawdę, któraż wyjawi w takim wypadku, że to widocznie córka ją okradła?...

— To wszystko?

— Zbadaj przedewszystkiem gruntownie teren.

— To już mnie pozostaw — możesz być całkiem spokojny. A teraz przestańmy myśleć nad tą drobnostką.

Znikła smuga światła na podłodze, widocznie zgaszono latarnię na ulicy, a w ciemnym pokoju jarzyły się jeszcze dwa punkciki papierosów, ale i te wkrótce zgasły.

Bielecki zapalił świecę i spojrzał niespokojnie na zegarek.

— Teraz muszę iść.

— Łusia się niepokoi — zaśmiała się Karska.

— Mniejsza o Łusię — ja jestem niespokojny, czy zdążę wszystko przez dzisiejszy dzień załatwić.

Ubierał się pośpiesznie.

Karska zapaliła świeżego papierosa.

— Kiedy cię znowu zobaczę?

— Jak wrócę.

— Kiedy wrócisz?

— Na premjerę mego dramatu, za miesiąc.

— Dokąd właściwie jedziesz?

— Jeszcze nie wiem: moje zadanie trudniejsze, niż twoje. Cały mój mózg: jedną mapą geograficzną — uśmiechnął się. — Trzeba tam jechać, gdzie już byłem i mniej więcej stosunki znam — oczywiście do Włoch, samo się przez się rozumie, że do Włoch, bo gdzieżby indziej artysta mógł jechać? Ale ten but apeniński bardzo długi i, psiakrew, wszędzie turystami zawszawiony.

— Dosadnie się wyrażasz.

— Bo rzeczywiście szewcka pasja może człowieka porwać na myśl, że niema prawie

zakątka w Europie, gdzieby można przeżyć... miodowe miesiące bez świadków...

Roześmieli się oboje wesoło.

— Więc przez cały miesiąc nic o tobie nie będę wiedziała?

— Możliwie, że z gazet coś wyczytasz — uśmiechnął się.

Był już ubrany, siadł na łóżku i popatrzył na nią, potem wziął jej rękę i pocałował ją.

— Jestem ci bardzo wdzięczny za dzisiejszą rozkosz — powiedział z jakąś serdeczną intonacją. — Do widzenia.

— Do widzenia — okażę się godną ciebie — zaśmiała się cicho.

Wstała, otworzyła mu drzwi, nasłuchiwała, aż zamknął na dole bramę domu, potem rozciągnęła się rozkosznie na łóżku.

— Niezwykle szarmancki łotr — pomyślała, usypiając.

XIII

Późną nocą zajechał Bielecki z Łusią do Wenecji.

Łusia była śmiertelnie znużona. Zatrzymali się parę godzin w Weronie. W straszliwym upale wdrapywała się na najwyższe stopnie amfiteatru, dostała zawrotu głowy tak, że Bielecki z trudem ją na dół sprowadzał. Odetchnęła trochę w ogrodach Giust'ego. Majaczył jej się jeszcze nadzwyczajny widok stamtąd na całe miasto, ale po całonocnej podróży mało utkwiło jej w pamięci.

Słaniała się ze znużenia.

Na dworcu krzyk, gwar, setki, jak jej się zdawało, hotelowych portjerów wykrzykiwało nazwiska hoteli, widziała, jak Bielecki się z jakimś drabem umawiał, jak dwóch czy trzech ludzi pochwyciło ich pakunki, przemocą prawie wsadzono ją do czarnej gondoli, która miała kształt trumny. Wahała się chwilę, tak

przykre wrażenie na nią ta trumna zrobiła. Chciała już wyskoczyć, ale Bielecki ją pochwycił i zmusił łagodnie usiąść na wygodnem siedzeniu. Ktoś krzyknął *avantil* i cicho wypłynęła gondola na Canale Grande.

Cała drżała w jakimś dziwnym niepokoju.

— Dokąd jedziemy?

— Nie bój się, ja miasto znam. — Bielecki schwycił ją za rękę. — Dopóki jesteś ze mną, niczego się bać nie potrzebujesz.

Z Canale Grande popłynęli wkrótce w boczne, wąskie, ciemne kanały. W głuchej ciszy raz po raz tylko odzywały się nawoływania gondolierów na zakrętach, słychać było delikatny plusk wiosła, uderzającego miarowo o wodę — znowu nawoływania przy wymijaniu się z jedną, potem drugą gondolą z kołyszącemi się cieniami gondolierów. Łusię zbiegł zimny dreszcz.

Miała wrażenie, że tu w mrokach nocy trupy wywożą, by za dnia żywych nie straszyć.

Wreszcie na rogu elektryczna lampa.

— To pewno hotel — pomyślała.

— Hotel? — pytała Bieleckiego.

— Tak.

W drzwiach stał portjer.

— Wszystko zajęte.

Łusi na płacz się zbierało. Coraz większe znużenie ją ogarniało. Słyszała, jak Bielecki zamienił kilka zdań z portjerem i gondola popłynęła dalej.

Najprzykrzejszem było to, że nie mogła pozbyć się wrażenia, że siedzi w trumnie.

— Zmęczona jesteś? — zapytał troskliwie Bielecki.

— Śmiertelnie.

— Czekaj — niezadługo zajedziemy do innego hotelu, tam już napewno znajdzie się pokój.

Jazda po tych ciemnych, ponurych kanałach wydała jej się nieskończenie długą. Noc była ciemna, a oświetlenie tak skąpe, że w głębokim cieniu wszystko wydawało się groźnem i straszącem.

Dobili wreszcie do drugiej przystani, skąd prowadziły schodki do hotelu.

— Przepełniony!

Jechali dalej. Z największym wysiłkiem woli opanowywała Łusia rozdrażnienie. Najchętniej rzuciłaby się na dno gondoli i ulżyła sobie w głośnym płaczu...

Bielecki trzymał ją silnie za rękę.

— Uspokój się, dziecko, teraz za chwilę spoczniemy.

Stanowczy, pewny głos Bieleckiego zwolna ją uspokoił.

— Siedzimy jak w jakiejś trumnie — szepnęła cicho — jakbyśmy na cmentarz jechali.

— Istotnie, nieprzyjemne wrażenie. Pierwszy raz nocą jestem w Wenecji — ale teraz jeszcze dwie, trzy minuty, a będziemy na miejscu. Aha! tu w pobliżu — zaraz obok placu św. Marka... O! Już...

Gondola przystanęła.

I wreszcie znalazł się wolny pokój na pierwszem piętrze za niemożliwie wysoką cenę, ale już Bielecki się nie namyślał — i jemu samemu podczas tej nocnej jazdy po ciemnych, pustych prawie kanałach było jakoś nieswojo.

Wjechali liftem na pierwsze piętro, kelner otworzył im drzwi numeru, wsunął pakunki, skłonił się głęboko, bo czuł w dłoni papierek pięciolirowy — zostali sami.

I w tej samej chwili Łusia rzuciła się na łóżko w kapeluszu i ubraniu, tak jak z gondoli wysiadła i na cały głos się rozpłakała.

Bielecki siedział obok niej i trzymał ją za ręce.

Sam był ciężko zdenerwowany i podrażniony, ale hamował się.

— Płacz, biedactwo — mówił cicho — głos

jego rozegrał się na najdelikatniejszych strunach — zaraz przyjdziesz do siebie — to twoja pierwsza podróż — ja to znam doskonale — nawet mnie samemu to się zdarzało, gdym do jakiegoś kraju, całkiem obcego, pierwszy raz zajeżdżał... Ale przecież jestem przy tobie — ludzi znam, język znam, tu bywałem już nieraz, przy mnie więc nic ci się złego stać nie może.

Uspokoiła się nagle i spojrzała na niego z wdzięcznością.

— Nie bierz mi za złe — ocierała łzy z oczu — ale takie mnie dziwne przykre uczucie ogarnęło, jakbym się dostała w miasto śmierci.

— Sam nie wiedziałem, że Wenecja w nocy może takie przykre wrażenie zrobić.

Pomógł jej się rozbierać.

— Połóż się teraz, spocznij — jutro innemi oczyma będziesz na to miasto patrzyła.

Całą ją rozebrał, położył do łóżka, zasunął szczelnie tiulowe firanki wokół łóżka.

— Dlaczego to robisz?

— Moskity!

— A, prawda, mówiłeś mi, och! jakiś ty dobry — i w tej chwili usnęła Łusia kamiennym snem.

Bielecki zgasił światło i chwilę patrzył w ciemną przestrzeń pokoju.

Ogarnął go nagle jakiś bolesny, szarpiący wstyd.

Przymrużył oczy, znowu je rozwarł, coraz szerzej same mu się roztwierały, tak że uczuł w nich dotkliwy ból... Ujrzał nagle... och! co za przykre widzenie... Wyszedł kiedyś za miasto. Drogą, w kierunku miasta, prowadził rzeźnik cielę... Jakie ono było wesołe, jak wyskakiwało i brykało — obchwąchiwało jego ręce, ocierało się, patrzyło pełnemi młodego życia, nic nieprzeczuwającemi oczyma...

— Haniebne świństwo — pomyślał.

Och, jaki ten rzeźnik był dobry i łagodny! Przystawał, pozwolił mu się paść na łące — omal, że nie brał udziału w jego podskokach i niewinnej zabawie — przemawiał do niego łagodnie i dobrotliwie — a potem, za małą godzinkę może, poderżnął mu w szlachtuzie gardło...

Wtedy się nad cielakiem litował, a teraz... Cóż u djabła mu się stało? Poczynał się roztkliwiać? Jakiś straszny ciężar opadł mu na serce — nie mógł pozbyć się ohydnej wizji rzeźnika...

Aż się cały zatrząsł.

Nasłuchiwał.

Łusia oddychała głęboko znużonym, ciężkim snem przemęczenia.

Z taką radością zarzuciła mu ręce na szyję, gdy wtedy od Karskiej do niej powrócił i powiedział jej, że nazajutrz wyruszają w podróż. Jak była mu wdzięczną za opiekę podczas całej drogi, z jakim zachwytem patrzyła na niego, że wszystko sam załatwiał, ona nie potrzebowała się o nic zatroszczyć — z jakiem bezgranicznem zaufaniem pod jego pieczę się oddała...

A teraz wiezie ją na rzeź.

I już przeczuła — ta gondola trumną jej się wydała — a ja, ja... mam być takim prostym, takim haniebnym rzeźnikiem.

Wyprostował się nagle.

Ujrzał przed sobą Karską, ale nie tę, z którą niedawno temu spędził parę godzin rozkosznej rozpusty, ale tę, którą Borsuk namalował.

Patrzyła na niego szyderczo, wyzywająco, a dzikie, złe jej oczy krzyczały: Tchórzysz? He?

Uczuł głęboką nienawiść ku niej — zrozumiał teraz, dlaczego Borsuk całą jej twarz zamalował — dlaczego nagle nie był w stanie na nią patrzeć — nawet na portrecie...

Nie!

Wzdrygnął się.

Nie!

Nie, nie, nie! — wkrzykiwał w siebie, ale w tej samej chwili opamiętał się. — A co się z tobą stanie? Łusia prędzej czy później się zdradzi — ciebie zdradzi. — Do czego Łusia w danej chwili zdolna, wiedział aż nadto dobrze. — „Górski requiescat in pace — Górski in pace" — brzmiało mu aż nazbyt rozgłośnie w uszach. — O! Łusiu, Łusiu, jak fatalnie się złożyło dla ciebie, żeś to wykrzykiwać musiała! Żeby nie to, możeby się było obeszło bez tego — tego... że jestem teraz zmuszony — no? powiedzieć sobie otwarcie!—stać się rzeźnikiem...

Zwolna rozprzęgał się jego mózg, powieki zapadały, chciał się przy Łusi na obszernem łożu położyć, ale lękał się, że gdy roztworzy szczelnie zaciągnięte firanki, mogą moskity Łusię opaść — wyciągnął się na kanapie. Jeszcze chwilę chciał jasno, logicznie, całkiem na zimno wszystko ogarnąć, ale nie był w stanie.

Zmęczenie przemogło — sen stłaczał mu powieki, bronił się jeszcze, bo coś musiał jeszcze do końca przemyśleć, coś musiał stanowczo, bez najmniejszego już wahania po-

stanowić, jakiejś słabości się zawstydzić. Siedział w gondoli, a obok niego leżała trumna, w której cicho i spokojnie spoczywała martwa Łusia — teraz jadą w stronę ku Lido — czemu koniecznie tam? Przecież na Lido niema żadnego cmentarza... Jakieś dwa jarzące się punkciki palących się papierosów rozrywały ciemnię pokoju — aha! wtedy, przed paru dniami — zapadł w gorączkowy półsen, z którego jednakowoż rychło się obudził — moskity nie pozwalały mu spać, a gorsze tysiąckrotnie, zjadliwsze moskity gryzły mu duszę.

Zdjął go taki niepokój, że uczuł się zimnym potem zlany — pragnął myśleć, a równocześnie wszystkiemi siłami myśli odganiał, wiedział, że musiał coś postanowić — nieodwołalnie, a lękał się bramę świadomości otworzyć, choć kołatanie było już tak gwałtowne, że wszystko w nim trzeszczeć i załamywać się zdawało.

Siedział bezradny i żarł oczyma ciemność.

Przerażony był swoim stanem. Czyżby go gorączka opadła, malarja mu krew psuła, mózg przestał normalnie działać?

Siły go opadały, zwątpienie, lęk, niepewność przytłaczały mu duszę jakimś bezmiernym ciężarem, czuł się coraz słabszy, miękł

jak wosk na coraz gorętszym płomieniu wybuchającej litości, wspomnień chwil najpiękniejszych, jakie z Łusią przeżył, i czuł, jak się wprost roztkliwiać poczyna.

Łusia oddychała coraz szybciej, przewracała się w niespokojnych snach — pewno jasnowidząca jej dusza już coś przeczuwała. — Bielecki zadrżał.

Wyprężył się, obejrzał dookoła, jakby skądś ratunku szukał — tak! ratunku, bo czuł, że chwilę jeszcze, a padnie do nóg Łusi, będzie je całował, będzie się kajał w pokorze, wstydzie i skrusze, że choć na chwilę mogła się w nim zagnieździć zbrodnicza myśl, by ją, tę Łusię, która go tak kochała, która z taką ufnością mu się powierzyła, podstępnie ze świata zgładzić, i to w podróży, z której się jak dziecko cieszyła. Otrząsnął się nagle.

A! to wspaniałe! — zachichotał szyderczo — duszyczka mi się rozmazgajać poczyna. — Bądarzewska poczyna w niej wygrywać „modlitwę dziewicy" i „wspomnienie mojej chatki" — ha, ha, kapitalne, niezrównane, tego jeszcze było potrzeba!

Co za śmieszny sentymentalizm! Jakaś Łusia miałaby go z pół drogi nawrócić i wprząc napowrót w jarzmo ciężkiej, codziennej pracy

dziennikarskiej? Z litości nad Łusią ma pewno publicznie ogłosić w pismach, że zmistyfikował zacnych panów komitetowych i podszył się pod cudze dramaty? Dla ckliwej litości nad jakąś tam gąską narazić się na gorszą jeszcze hańbę? — bo ta gąska może się lada chwila z głupoty, zazdrości, nieobliczalnego kaprysu przemienić w drapieżne zwierzątko, na drobne strzępy poszarpać ten obcy łachman, w który się przyodział — nie!

I jak w gorączce przelatywały mu przez mózg jak najpotworniejsze wizje: przepełniony teatr, publiczność porwana, wsłuchana z najwyższem napięciem cała widownia, jeden stężały, zaparty oddech, a nagle głośny piorun obłąkanego krzyku: Górski! Górski! Autor Górski!

Zamajaczył mu się Kotowicz, okrążał Łusię coraz ciaśniejszemi kręgami, jakby wysnuwał z niej nitki, niteczki i już, już dochodził po nich do kłębka. Siebie samego widział dławionego bezustannie przez piekielną zmorę spotniałego lęku, słyszał szyderczy, pogardliwy śmiech Karskiej, cała kawiarnia parskała śmiechem na jego widok — ordynarny srom błocił mu duszę...

Zacisnął pięście.

Nie! Teraz już nie mógł zawracać — klamka zapadła. Wprost nie odważył się myśleć nad tem, co go czeka, jeżeli tej małej, marnej przeszkody z swej drogi nie usunie. Przez ten próg, nawet nie to — tak poważnie tej przeszkody nazwać nie można — miałby się on, on, mocny Bielecki, świadom swej drogi, świadom celu, do którego zdąża, wywalić jak pierwszy lepszy zbrodniarz, który o wszystkiem myśli, tylko nie o tem, co go najprędzej zdradzić może? Całą swą przyszłość poświęcać, całe swe życie zmarnować dla głupiego sentymentu? nie! — wrzasnął to w siebie z całą mocą.

To jedno tylko wiedział, że musi szybko działać, że nie może się wdawać w dysputy z samym sobą: to osłabia, paraliżuje, hamletyzuje duszę. Przecież ma jeszcze na tyle logiki, że jeszcze kilka takich napadów roztkliwienia, a sam własnemi rękoma się pogrzebie. Siła woli może się nadwyrężyć, zbytniem, długiem napięciem zwolna wyczerpać, a potem nie będzie nawet czasu na pożałowanie siebie samego.

„Car il faudra chanter:
Requiescat in pace..."

Tak, tak, Łusiu, Górski jest już in pace — ale ja na to jeszcze ochoty nie mam.

Jednym silnym rozmachem podpisał ostateczny wyrok na Łusię, zaszczękał zębami, zatoczył wielkie koło w powietrzu, jakby coś chciał ogarnąć, zrozumiał, że tylko w jego niezłomnem, żadnemu „ale", żadnemu „może" niepodlegającem postanowieniu cały jego ratunek, i odetchnął głęboko.

Rozległ się nagle głośny płacz.

— Heniu! Heniu! — wołała Łusia.

Siedziała w łóżku i trzęsła się jak osika.

— Jezus Marja! Ja tu nie wytrzymam — takie straszne sny miałam... Nie wiem, co mi się stało, ale musimy stąd wyjechać... te czarne kanały, czarne trumny, to wszystko... nie, nie! Jedźmy dalej — jak będziemy wracać, to tu wstąpimy, ale teraz jedźmy.

— Dobrze, Łusiu — ja sam już nad tem pomyślałem. Ty potrzebujesz spoczynku — pojedziemy nad morze, posiedzimy tam ze dwa tygodnie, nerwy ci się uspokoją, przyjdziesz do siebie, a potem mamy jeszcze czasu dosyć na zwiedzanie miast. Jutro już wyjedziemy na włoską Rivierę do Rapallo albo Nervi, nie, nie, tam teraz rozpanoszył się motłoch z całej Europy — pojedziemy dalej, gdzie jest całkiem zacisznie, gdzie sami będziemy, tam spoczniesz, a i mnie teraz potrzeba ciszy i spokoju.

Pomyślał chwilę.

— Aha! już wiem, pojedziemy do Spezii, tam, w pobliżu, cudowna miejscowość, gdzie Byron swego Korsarza pisał, gdzie — chciał dodać, że tam się Shelley utopił, ale w sam czas się spostrzegł. — O! doskonały pomysł — cudownie tam — nigdzie morze nie jest tak piękne, jak tam — i nigdzie nie widziałem takich niesłychanych, majestatycznych brzegów...

— Jak dobrze, że mi się to przypomniało.— Bielecki podniecał się — Capri w porównaniu z Porto Venere jest wprost banalne — powiadam ci: będzie ci się to wszystko wydawało jak jakiś fantastyczny, rozkoszny sen — tak! tak! — to rzeczywiście świetna myśl — ach! jak nam tam będzie dobrze — sami jedni — ani na lekarstwo żadnej angielskiej mordy i ani jednego ziomka.

— Dobrze, — dobrze, — byleby się tylko czemprędzej z tego miasta śmierci wydostać— o! patrz, jak mnie moskity pogryzły! nie! nie! jedźmy tam czemprędzej.

Rychłym rankiem byli w drodze do Spezii.

XIV

Premjera dramatu Bieleckiego stała się dla całego miasta „pierwszorzędną sensacją“ dnia, jak opiewały dziennikarskie wzmianki.

Nie przebrzmiały jeszcze echa tragicznej katastrofy, której ofiarą przed miesiącem zaledwie stała się Łucja Szumska, towarzyszka Bieleckiego w podróży po Włoszech, dokąd pojechał, by wytchnąć po chlubnie odznaczonej pracy.

Tydzień cały o niczem innem prawie nie pisano: nie było w mieście człowieka, szanującego się, a więc uczęszczającego do kawiarni i czytającego gazety, któryby tej katastrofy nie znał z najdrobniejszymi szczegółami...

Pancernik wojenny włoski „Ildefonso", nie wiadomo z jakich powodów nie wjechał do portu wojennego w Spezii, ale zarzucił kotwicę

przy wejściu do portu, na pełnem morzu w pobliżu miejscowości, słynnej tem, że Byrona natchnęła swą dziką pięknością do jego poematu „Korsarz": Porto Venere.

Pomiędzy pancernikiem a miastem samem kursowały ustawicznie szybkie łodzie motorowe, a pośpiech i służbowa bezwzględność nie pozwalały widocznie na zachowanie jakichkolwiek ostrożności wobec bark rybackich, bo inaczej smutna katastrofa nie miałaby miejsca.

Bielecki był na tyle nieostrożny, że pod wieczór sam ze swoją towarzyszką puścił się na pełne morze — chociaż winić go nie można, bo znał miejscowość doskonale, gdyż już dawniej tam przez jakiś czas przebywał. Mógł się nawet poszczycić, że w olbrzymich skałach, które tworzą wybrzeże Śródziemnego morza nieopodal tej miejscowości, odnalazł grotę, o której nawet miejscowi rybacy i marynarze nic nie wiedzieli.

Ale najniespodziewaniej zerwała się burza, fale rzucały barkę na wszystkie strony, Bielecki stracił nad nią panowanie, barka, spadając z grzbietu olbrzymiej fali, wpadła na przejeżdżającą całym pędem łódź motorową, wywróciła się: Szumska, widocznie od silnego wstrząśnienia, wywołanego zderzeniem, już

przedtem z łodzi wyrzuconą została, a ponieważ pływać nie umiała i przytomność od razu straciła, więc zanim się zorjentowano, zanim wogóle można było myśleć o jakimś ratunku, poszła pod wodę.

Wprost bohaterskie wysiłki Bieleckiego, by towarzyszkę ratować, na nic się nie zdały; tonącego już zdołano uratować, i o mało ratunek na nicby się nie zdał, bo Bielecki, zaledwie go wyciągnięto na pokład, w rozpacznym wprost szale rzucił się poraz drugi w morze, by ratować towarzyszkę, która już dawno Bogu ducha oddała.

Szczególne współczucie i ogólną, pełną podziwu sympatję wzbudził właśnie ten ostatni fakt — to rozpaczne, beznadziejne rzucenie się w fale na niechybną prawie śmierć: to już było wprost szaleństwem—ale rycerskiem szaleństwem.

Bielecki urósł do legendarnych rozmiarów prawdziwego bohatera.

Co jednakowoż było wprost zdumiewające, to, że podczas pożaru w pracowni artysty malarza Borsuka spłonęły prawie równocześnie rzeczy Bieleckiego i towarzyszki jego, które u swego przyjaciela przed wyjazdem był złożył. Pożar ten nie trudno było wytłumaczyć,

bo mieszkanie malarza Borsuka było położone nad szopą suchego siana, o czem p. Borsuk nie wiedział, a za co właściciel domu został już przez towarzystwo asekuracyjne, w którem obrazy p. Borsuka były na szczęście zabezpieczone, do odpowiedzialności pociągnięty, że takie mieszkanie wogóle wynajmował.

Ale wypadek ten katastrofalnym rzeczywiście stał się dlatego, że między rzeczami p. Bieleckiego znajdował się caluteńki manuskrypt nowego jego dramatu, który według opowiadań jego znajomych, którzy mieli szczęście go czytać, siłą i oryginalnością przewyższał dwa nagrodzone jego utwory.

To, że podczas pożaru zmarniał cały ogromny dobytek artystyczny Borsuka, o tem sumienny wzmiankopisarz całkiem zapomniał, raczej nie uważał za stosowne o takiej bagateli wspomnieć wobec niepowetowanej straty, jaką rodzime piśmiennictwo poniosło wskutek spalonego dramatu Bieleckiego. Również nic nie znacząca wobec tragicznej śmierci była szkoda, jaką ś. p. Szumska poniosła — jej drogocenne klejnoty rodzinne widocznie się stopiły.

W takich iście tragicznych okolicznościach nie pozostawało nic innego, jak tylko chlu-

bnie znanemu, a tak ciężko dotkniętemu laureatowi wyrazić jak najgłębsze współczucie, przesłać wyrazy gorącej sympatji i życzenia, aby jego młode siły te ciosy nieubłaganego jakiegoś fatum zwycięsko zniosły.

Nic więc dziwnego, że przy takiem zbiegu tak dziwnych i tragicznych okoliczności, teatr już z góry na trzy przedstawienia był wyprzedany.

Na krótko przed rozpoczęciem przedstawienia zjawił się w loży autorskiej Bielecki sam...

Nie dziwiono się temu, umiano delkatnie uszanować jego rozpacz po utracie towarzyszki, rozpacz, która, jak najbliżsi jego znajomi twierdzili, chwilami z obłędem graniczyła — publiczność była mu wdzięczną, że się wogóle pokazał.

Siadł niedbale i roztargnionym wzrokiem błądził po przerażająco wprost napchanej widowni.

Naturalnie, że człowiekowi, który tak straszne, wstrząsające dramaty życiowe przeżył, musiały być obojętne losy dramatu pisanego.

Wyglądał blado i zmęczono, ale już widocznie zdołał męską siłą pokonać cierpienie, bo inaczej nie byłby się narażał na bądź co

bądź silne wstrząśnienia, jakie pierwszy raz wystawiany autor przechodzić musi.

Światła pogasły. Przedstawienie się rozpoczęło.

Bielecki nawet nie spojrzał na scenę, wsunął się głęboko w fotel, i głęboko się zamyślił.

Opętała go jakaś chora manja; bezustannie musiał rozważać, czy to wszystko, co on zrobił, było warte tego, na co tyle nadludzkiej siły zużył, co o mało życiem nie przepłacił — bo, mimo że doskonale pływał, ten drugi skok w morze już go z wiecznością kumał: jedna jeszcze fala, a byłby się pod motor dostał...

Teraz naprzykład siedzi jak małpa jarmarczna na widoku głupiej gawiedzi, która się zleciała, by się na niego gapić i słuchać przerażających bredni Górskiego. — Coby dał za to, żeby mógł zatkać uszy i nie słuchać tych obmierzłych, całą mocą swej duszy znienawidzonych głupstw. — Czy warto było długiemi dniami i jak wieczność długiemi nocami przemyśliwać nad tem, jakby Łusi z tego padołu płaczu pomóc, przenieść się na inny, gorszy może jeszcze?

Warto było siły swe wytężać aż do obłąkańczego napięcia, by znaleźć sposobność

i wykorzystać odpowiednią chwilę, i tym sposobem pozbyć się, bądź co bądź przywiązanego, bal nawet po swojemu kochającego człowieka, i tu teraz siedzieć i czekać na poklask głupiej tłuszczy?

Warto to wszystko, by niszczyć biednemu Borsukowi jego płótna, z których każde, choćby najlichsze, było więcej warte, aniżeli dziesięć idjotycznych dramatów Górskiego?

Zdjął go wstręt i obrzydzenie, a przedewszystkiem dławiła go wściekła nienawiść ku Górskiemu... a równocześnie — zadumał się — czuł pragnienie, by mieć teraz Karską przy sobie, rzucić się na nią, zwalić się kolanami na jej piersi, pochwycić za gardło, dusić, słuchać chrapliwego jej rzężenia, czuć pod kolanami dreszcze, wstrząsy, konwulsje, konanie...

Czekaj, psia krew! pomyślał, teraz już mam wprawę. Wprawdzie jedna zmarła na ślepą kiszkę, druga się wskutek swej głupoty utopiła — Widzi, gęś jakaś, że umyślnie na motor kieruję — niechby się była silnie łodzi uchwyciła, ale nic, tylko gębę otworzyła, no i naturalnie musiała wylecieć jak z procy przy sromotnem zderzeniu łódki z rozpędzonym motorem. — Tak, to wszystko fatalne wypadki — dla ciebie, kochana Ado, dla ciebie,

kastalskie źródło, które mnie natchnęło do zabawienia się w Pana Boga i zaimprowizowania tego ostatniego wypadku — o! z tobą będzie coś innego — to będzie rozmyślny czyn, do którego się z dumą przyznam, a nie jakiś tam fatalny przypadek.

Ze sceny dochodziły go urywane zdania, podniesione głosy, wybuchy płaczu — miał ochotę się zerwać, pluć na publiczność, prać aktorów po gębie, krzyczeć na cały głos: hołoto, warjaci — idjoci — i nagle się ocknął.

Zimny pot spływał mu z czoła. Obejrzał się niespokojnie dokoła.

— Co mi było? — zapytał się przerażony sam siebie.

Lękał się uświadomić sobie, co przez cały czas tak natężenie w sobie przemyślał — że ujrzał w sobie coś, czego dawniej nie widział, mogiłkę krecią — tak, tam gdzieś w podziemiu minował pracowicie wytrwały, cierpliwy kret... Strzeż się kreta! krzyczało coś w nim — bacz pilnie, bacz!

— Autor! Autor!

Przez jedną chwilę nie wiedział, co się stało.

Oślepiało go nagle światło widowni. Spojrzał. Cała publiczność stała — wrzeszczała,

biła z wszystkich sił brawa — jakby się dostał do domu warjatów...

Drzwi loży się otworzyły, wpadł zziajany dyrektor, schwycił go za rękę:

— Chodź pan, chodź czemprędzej, publiczność szaleje, musi się pan pokazać — niebywały sukces — zwycięstwo na całej linji...

— Aha — a więc niby zwyciężyłem — uśmiechnął się.

Uczuł lekki zawrót głowy, ale nagle się szarpnął i pewnym krokiem szedł, a raczej biegł za dyrektorem, który go ciągnął przez mroczne korytarze — prowadzące z couloiru na scenę.

Mistrzu! wołano po drodze, i chwytano go za ręce...

— Psiakrew! pomyślał — już się mistrzem stałem — przez pół godziny.

Całkiem oprzytomniał na scenie.

Kłaniał się poważnie, bo przypomniał sobie właśnie, że w wyjątkowo tragicznych okolicznościach, jakie go boleśnie dotknąć musiały, powinien mieć minę wyjątkowo poważną i jakby mgłą smutku przysłoniętą...

Nie zapomniał złożyć głębokiego ukłonu i w stronę aktorów: wogóle całe jego zachowanie było napiętnowane godnością artysty,

który sobie może śmiało powiedzieć: słusznie mi się to należało.

Z każdym aktem rósł jego triumf. Nigdy nie pamiętano takiego entuzjazmu niekłamanego, — tak go przynajmniej zapewniał dyrektor — a gdy ostatni akt zakończono, zerwała się taka burza oklasków, że cały teatr drżał w posadach.

Podczas ostatnich dwóch aktów siedział Bielecki za kulisami w garderobie głównego aktora.

Ochłonął już całkiem.

Co to mogło być ten niepojęty, głupi napad, gdy siedział w loży? — Skąd ta nienawiść do Górskiego — do Karskiej? Cóż Karska zrobiła mu złego, prócz tej istotnie wielkiej przysługi, że jego trzeci dramat i dokumenty Łusi poszły z dymem pożaru — a Górski? jaki Górski?

Ten, ten grafoman, na którego próbkę mizernego talentu pisarskiego ja raczyłem zwrócić uwagę, doszczętnie ją przerobić — a również dobrze mógłbym się poczuwać do jakiegoś zobowiązania wobec pierwszej lepszej reporterskiej wzmianki z sali sądowej, lub czegoś podobnego w pierwszej lepszej gazecie codziennej.

To moje — moje — szeptał do siebie pocichu — moje! powiedział już głośno. — Uwierzył nagle — nie, nie nagle, bo oddawna już był o tem przeświadczony, że to jego — teraz dopiero sobie to ostatecznie uświadomić zdołał:

Moje, moje! powtarzał — Zapomniał, że jakiemuś niedołędze pracę tak doszczętnie poprawił, że z Górskiego własnej pracy śladu nie zostało.

Autor — autor! darł się parter, darła się galerja.

Wyszedł po raz ostatni — tym razem swobodny, uśmiechnięty i kłaniał się na wszystkie strony, dziękując za należny mu hołd.

Teraz dostałem się na bitą drogę, pomyślał. *Sic itur ad astra.*

BIBLIOTEKA
W GDAŃSKU

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA GDAŃSK
0374/1
Nie pożycza się do domu